

BOHATEROWIE NIEPODLEGŁEJ: PIERWSZY Z CYKLU 12 DODATKÓW O LUDZIACH, DZIĘKI KTÓRYM POLSKA ODZYSKAŁA PAŃSTWOWOŚĆ

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE

Nr 5 (270) 2018
29 stycznia–4 lutego
CENA: 6,90 zł (w tym 8% VAT)

SIECI I wPOLSCE.PL UJAWNIAJĄ

WSTRZĄSAJĄCE TAŚMY

JAK WROBILI BŁASIKA

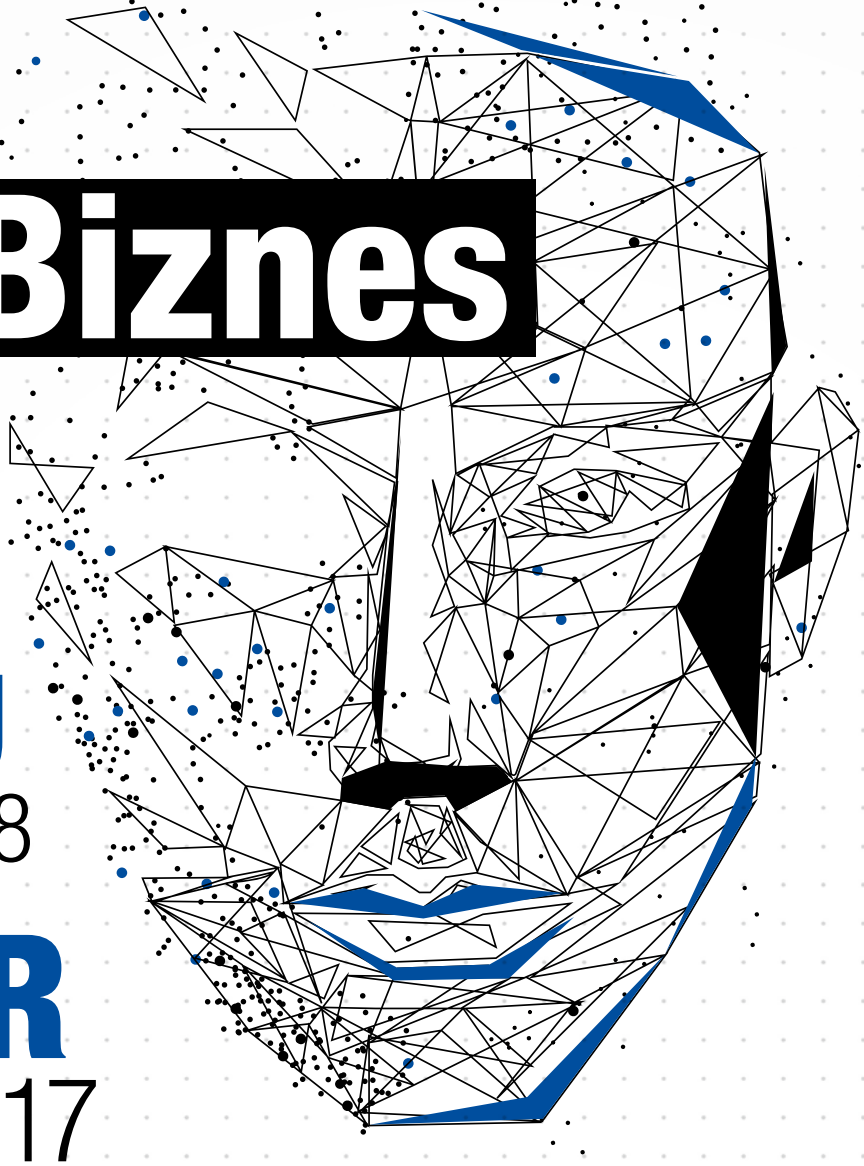
KULISY TWORZENIA RAPORTU KOMISJI MILLERA TO OKRUTNA FARSA

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694

TYLKO W TV W POLSCE PL OGLĄDAJ NAGRANIA Z KOMISJI MILLERA

GAZETA BANKOWA
NAJSTARSZY MAGAZYN EKONOMICZNY W POLSCE

TechnoBiznes 2018



Konkursy Technologiczne:

HIT ROKU 2018

LIDER 2017

w kategoriach:

- **Bankowość**
- **Ubezpieczenia i inne usługi finansowe**
- **Przemysł 4.0**

Zgłoszenia w dniach:
10.01-28.02.2018 r.

HIT ROKU 2018 MIESIĘCZNIKA GAZETA BANKOWA

LIDER 2017 MIESIĘCZNIKA GAZETA BANKOWA

Szczegóły na: **gb.pl/konkursy**

eprasa.pl 4ec64585d0

Kogo cieszą naziści?

Opowiadanie się po stronie jakiejkolwiek zbrodniczej ideologii jest splunięciem na groby jej ofiar. W przypadku nazistów są to głównie Żydzi zagazowani w obozach śmierci i Polacy zabijani tylko za to, że byli Polakami. To splunięcie na wysiłek żołnierzy Wojska Polskiego, na gruzy Warszawy zamordowanej w powstaniu, na tragedię milionów ludzi. Ktoś, kto tego nie pojmuje, nie kwalifikuje się do tego, aby być Polakiem. Pytanie, czy w ogóle posiada ludzkie uczucia i rozum.

Mimo to debata na ten temat jest jałowa. Bo od razu można było przewidzieć jej ciąg dalszy. Że oto pokazane w TVN obrazki świadczą o tym, że większość Polaków to dobrze zakamuflowani naziści. Że winę ponosi PiS, które rzekomo sprzyjało takim wybrykom. Że stoi za tym Kościół katolicki itd., itp.

Potem ten stek bzdur, niepopartych żadnymi dowodami, trafia do zagranicznych mediów, gdzie tworzy się wizję Polski jako kraju bez mała nazistowskiego, w którym codziennie bije się Murzynów i Żydów na ulicach i który do tej pory nie rozliczył się ze swoich „win" za Holokaust.

Przepraszam, ale w takiej debacie nikt uczciwy, o zdrowych zmysłach oraz o choćby minimalnej wiedzy uczestniczył nie będzie. Mogą to robić jedynie ci, którym wyskoki marginalnej grupki nazistów sprawiają rzeczywistą radość i satysfakcję, dając marne oparcie dla ich mocno naciąganych tez o „faszystowskiej naturze" Polaków.

Konrad Kołodziejski

Wielka szansa

W wywiadach, które podczas Światowego Forum Ekonomicznego w Davos przeprowadziłem (dla wPolityce.pl) z prezydentem Andrzejem Dudą i premierem Mateuszem Morawieckim, wybrzmiewają dobitnie dwie tezy. Pierwsza – że nagonka na Polskę była efektem dostrzeżenia w nas poważnej konkurencji. I druga – że najgorsze za nami; że widać zmianę podejścia i możemy się przebijać z pozytywnymi przekazami o naszych reformach.

– Moi rozmówcy zauważają nacisk na innowacje, rozwój, widoczne także w moim, prezydenckim, wsparciu dla start-upów i polskiej ekspansji gospodarczej za granicą. Wielu tak ambitny program imponuje – mówi prezydent Duda. – Nasz dialog z Brukselą i obrona reform są już dostrzegane. Kiedy pokazuję, że w budżecie za rok 2017 mieliśmy 40 mld więcej, a deficyt jest mniejszy o kilkadziesiąt miliardów mimo przekazania na cele społeczne dużych sum, to moi rozmówcy się zgadzają, że to, co robimy, ma sens; że ten model działa bardzo dobrze – dodaje premier Morawiecki.

Gdy dodamy do tego aktywną obecność w Davos polskich koncernów, w tym Banku Pekao i prezesa Michała Krupińskiego, PZU i prezesa Pawła Surówki, obraz jest pełny.

Polski przykład miał być w zamyśle autorów antypolskiej histerii ostrzeżeniem przed odejściem od skrajnie liberalnego, a często złodziejskiego, modelu. Zaczyna być poważną zachętą. Dla odważnych narodów i mądrych rządów.

Michał Karnowski



Autopromocja

SIECI

spis treści



51--66 Dodatek historyczny *Bohaterowie Niepodległej*



28 Z prezydentem Andrzejem Dudą *rozmawia Michał Karnowski*



31 Z premierem Mateuszem Morawieckim *rozmawia Michał Karnowski*

NA POCZĄTEK

6 **Z ŻYCIA KOALICJI, Z ŻYCIA OPOZYCJI**
Robert Mazurek, Igor Zalewski

8 **NIEOFICJALNY PRZEGLĄD TYGODNIA**
Sygnalista

10 **JUTRO ZACZYNA SIĘ DZIŚ**
Krzysztof Feusette

11 **TRENDY I OWĘDY**
Ryszard Makowski

11 **KORSUN CHILI KORSUN**
Michał Korsun, Paweł Korsun

12 **„POLSKA POWSTANIE, BY ŻYĆ!"**
Jan Pietrzak

13 **WYROK ZA ŻART**
Bronisław Wildstein

14 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

15 **RECEPTA NA SAMOTNOŚĆ**
Marta Kaczyńska

16 **ŚWIAT JEST FASCYNUJĄCY**
Dorota Łosiewicz

17 **PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort

18 **FELIETONY**
Tomasz Łysiak, Piotr Cywiński

TEMAT TYGODNIA

20 **JAK WROBILI GEN. BŁASIKA**
Marek Pyza

POLSKA W DAVOS

28 **Z PREZYDENTEM ANDRZEJEM DUDĄ**
rozmawia Michał Karnowski

31 **Z PREMIEREM MATEUSZEM MORAWIECKIM**
rozmawia Michał Karnowski

KRAJ

34 **OPERACJA „URODZINY HITLERA"**
Stanisław Janecki

37 **ZMIANA W „GOŚCIU NIEDZIELNYM" I CO DALEJ**
Konrad Kołodziejski

40 **Z PIOTREM MÜLLEREM**
rozmawia Piotr Czartoryski-Sziler

42 **ZEJŚCIE Z BAGNETÓW**
Piotr Skwieciński

46 **WIRTUALNA MODA NA POLSKĘ**
Dorian Urbanowicz

48 **KASTA CELEBRYTÓW**
Krzysztof Feusette

SIECI KULTURY

67 **Z HALINĄ ŁABONARSKĄ**
rozmawia Piotr Zaremba

71 **ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM**
Piotr Zaremba

72 **PADEREWSKIEGO NIGDY DOSYĆ**
Adam Ciesielski

73 **ORBITOWSKI: POWROTY I UCIECZKI**
Jerzy Kopański

74 **CZYTANIE JAKO SPORT EKSTREMALNY**
Wojciech Stanisławski

76 **POLECA**
Łukasz Adamski

OPINIE

78 **POKOLENIE ŚNIEŻYNEK**
Aleksandra Rybińska

81 **TOWIAŃSZCZYZNA**
Wojciech Wencel

82 **ZRÓWNOWAŻONY ROZWÓJ**
Wojciech Reszczyński

83 **TOMASZ MORUS**
Dariusz Karłowicz

ŚWIAT

84 **ATAK NA ROŻAWĘ**
Jan Rokita

88 **DOOKOŁA EUROPY**
z Krystyną Grzybowską

GOSPODARKA

90 **RZĄDOWE OCZKO W GŁOWIE**
Janusz Szewczak

SPORT

100 **KUBICA JAK ROCKY**
Cezary Kowalski

KUCHNIA

104 **MOJE SMAKI: MATEUSZ PAWŁOWSKI**
Jolanta Gajda-Zadworna

105 **SŁODKO-SŁONY/WINNICA MAZURKA**
Anna Monicka, Robert Mazurek

NA KONIEC

106 **NORMALNA EPOKA**
Piotr Skwieciński

107 **FELIETONY**
Witold Gadowski, Lech Makowiecki

108 **KANAŁ OBOWIĄZKOWY**
Wiktor Świetlik

109 **CZKAWKA Z PRL**
Aleksander Nalaskowski

110 **RZADZIEJ NIŻ JOGA**
Robert Mazurek

111 **FELIETONY**
Jerzy Jachowicz, Katarzyna Łaniewska

114 **LUSTRO MROKU**
Andrzej Zybertowicz

2/0118/F

eprasa.pl 4ec64585d0



Prezentowane produkty i usługi dostępne są na wybranych stacjach ORLEN.

Chwila ODPOCZYNKU?

Dla przejezdnych i przechodniów.
By złapać kawę lub zasięg.
Po nastrój i atmosferę.
Dla wszystkich i o każdej porze.

Kierunek jest jeden...

ORLEN

eprasa.pl 4ec64585d0

Z życia koalicji



Zaimponował nam ***Mariusz Błaszczak***, i to po raz drugi w życiu. Po raz pierwszy zaimponował nam, kiedy doszliśmy do wniosku, że facet z żelazną grzywką nawet śpi w garniturze, a po raz drugi teraz, kiedy wyszło, że z niego lepszy cwaniak. Bo Błaszczak wziął sobie z MSW do MON co przytomniejszych zastępców, ale zostawił jednego, najważniejszego. W ten oto sposób za policję nadal będzie u JoJo Brudzińskiego odpowiadał Jarosław Zieliński, człowiek, którego chce tam oglądać tylko Kaczyński. I producenci konfetti.

I nie tylko grzywkę ma Błaszczak stalową, rękę też. Otóż w ciągu kilku dni, a w zasadzie jednego wieczoru, Błaszczak wywalił z MON nie tylko wszystkich – prócz jednego – wiceministrów, lecz i prawie wszystkich dyrektorów departamentów. No i co? Kochające Antoniego prawicowe media milczą, bo to przecież Mariusz, czyli jakby sam Prezes czyścił. Oj, doczekamy się jeszcze opowieści, że ten Kaczafi w zasadzie też jest z WSI, doczekamy się.

O tym, że „Prezes ma prozwierzęcego zajoba", nie musiał nam mówić pewien ważny polityk PiS, bo to wiedzieliśmy od dawna i zasadniczo to w nim lubimy. Niemniej strasznie zabawne jest obserwowanie, jak pęcznieją w partii szeregi ekologów i fanatycznych przeciwników futrzarstwa. Czekamy tylko, jak paradujący w futrze z jenota poseł Tarczyński (stąd sejmowa ksywa „Jenot") przykuje się teraz do fermy, protestując przeciwko losowi biednych zwierzątek.

Ale na razie szeregi ekologów najbardziej pęcznieją wśród pisowskich posłów do Parlamentu Europejskiego. Niektórzy nawet z jakimiś lewakami zrobili antyfutrzarską wystawę. Oczywiście nie ma to żadnego związku z tym, że wybory do Parlamentu Europejskiego są już za rok.



Czy ktoś z państwa ma bałagan na biurku albo w pokoju? No wiecie, taki, że nie wiadomo, gdzie ta cholerna książka albo rachunek, i nie bardzo wiadomo, czy ktoś z domowników przełożył, więc nijak opieprzyć? Tak? No to wiecie, jak się czuje ***Mateusz Morawiecki***, który w wyniku rekonstrukcji rządu tak pogmatwał te działy, że za nic nie można się połapać. Otóż minister Kwieciński (inwestycje i rozwój) pochwalił się, że podlega mu również budownictwo i mieszkalnictwo. OK, ale już Mieszkanie+ podlega ministrowi kultury. Logiczne, nie? Ej, a ten od ryb słodkowodnych dostanie domy, pod warunkiem że nad jeziorem. I z pomostem.

Pan Prezydent Doktor Andrzej Sebastian Duda, syn Jana i Janiny, pojechał do szwajcarskiego kurortu Davos. Siedział tam na forum ekonomicznym z mądrą miną, przysłuchiwał się, potakiwał, uśmiechał, czyli robił wszystko to, co do niego należy. No i wyobraźcie sobie państwo tę scenerię – obok wielkie Alpy, śniegu po pas, a on ani razu na nartach nie śmignął, nie wyrwał się ze spotkania z tymi nudziarzami, nic. I jak on musiał się czuć. Mniej więcej tak, jak my na diecie, przechodząc obok cukierni.

Aha, nasz serdeczny Adam Lipiński zachorzał, ale dobre wiadomości są takie, że już wyszedł ze szpitala i wraca do siebie. Adam, trzymaj się, byle do wakacji, znów zakwitniesz! W końcu lipiec za pół roku.



PRZEGLĄD

Mazurka

Fot. Julita Szewczyk x2

eprasa.pl 4ec6458

Z życia opozycji

Najpierw internetowe trolle i warszawscy dziennikarze, a potem niezawodny poseł Tarczyński zaczęli opowiadać, że siostra Borysa Budki to działaczka Ruchu Narodowego i pewnie przyjaciółka tych nazioli z reportażu w TVN. Przepraszamy, ale jak poznaliście? Też łysa?

No dobra, pokazali zdjęcie, łysa nie jest. Faktycznie siostra Budki działa w Ruchu Narodowym, co najbardziej ucieszyło pisowców. Hm, żeby nie psuć wam samopoczucia, nie powiemy, czym zajmuje się brat prezesa TVP ani jakie poglądy ma siostra Kryśki „Tępić lewaków" Pawłowicz.

O, dowiedzieliśmy się o istnieniu Mieczysława Baszki. Kto zacz? To poseł PSL, który przeszedł do pisowskiej poczekalni, czyli Gowinowego Porozumienia i w ten sposób zlikwidował klub PSL. No, jest to zawsze jakiś sposób na przejście do historii, w końcu pamiętamy tego, który podpalił Bibliotekę Aleksandryjską, a nie tego, który ją zbudował.



Oczywiście z tą likwidacją klubu PSL to nie tak prosto. Co prawda jest tam na razie tylko 14 posłów, czyli o jednego za mało, ale jakby co, to koło UED może przejść do PSL w całości albo detalicznie. W końcu ludowcy: ***Niesioł*** (szczaw i mirabelki), Protasiewicz (rektyfikacja zbóż i ziemniaków) czy Miś Kamiński (Chjeno-Piast, ale jednak bardziej Chjeno), i tak chcieli założyć Koło Gospodyń Wiejskich.

OK, w dniu, w którym to piszemy – ale sytuacja jest zmienna – do PSL przeszedł tylko Chjeno-Kamiński. Biorąc pod uwagę, że Miś był wcześniej w NOP, ZChN, AWS, Przymierzu Prawicy, PiS, PJN, PO i w Unii Europejskich Demokratów, to można śmiało postawić tezę, że facet ma konstytucyjną większość.



Nie tylko większości, ale nawet własnego klubu nie ma za to ***Rysiek z Planu***. Teoretycznie jest w Nowoczesnej, ale w praktyce zajmuje się tam wyłącznie dokładaniem Lubnauer, która mu się odwzajemnia. Najfajniejsza jest trójka stronników Ryśka z Planu, czyli dwie Joanny: Schmidt, Scheuring-Wielgus oraz wariatuńcio Mieszkowski. Cóż, ten Tercet Egzotyczny w polityce nie zamiesza, ale na scenie byłby nie do pobicia.

Kto przygarnie? Całkiem jeszcze młody, lecz już doświadczony i wykształcony, przy tym uczciwy, ale nie fanatyk – jest polityk do wzięcia. W Poznaniu. Były prezydent tego miasta Ryszard Grobelny szuka, kto by go przytulił i wystawił w wyborach. Z Platformą się rozstał, a ona wybrała innego, z PiS mu nie po drodze, to może Rysiek z Planu by ekonomistę Grobelnego przygarnął? Były takie rozmowy, ale do konsumpcji związku dwóch Ryśków jeszcze daleko. Jakby co, to dajcie znać, TVN24 powinien to transmitować na żywca.

W tym tygodniu nie piszemy o: SLD, bo wiemy, że taka partia teoretycznie istnieje, ale to wszystko, co możemy o niej powiedzieć; planowanej na wybory samorządowe koalicji Kukiz–Korwin, bo mamy nadzieję, że Kukiz się jeszcze ogarnie; krakowskiej koalicji absolutnie wszystkich przeciwko PiS, zawartej pod patronatem Majchrowskiego, bo nie śmiejemy się z niepełnosprawnych, a im smog do głowy uderzył; oraz o tym, że Barbara Nowacka tak się przejęła losem kobiet, że tuż po aborcyjnych głosowaniach w Sejmie pojechała na wakacje na Bali czy gdzieś tam, bo w gruncie rzeczy zrobilibyśmy to samo.



TYGODNIA Zalewskiego

FOT. ANDRZEJ WIKTOR

Fot. Andrzej Skwarczyński, Julita Szewczyk

eprasa.pl 4ec64585d0

Nieoficjalny przegląd *tygodnia*

Walka z nazizmem trwa. Paru kretynów wspólnie z TVN postawiło na nogi cały kraj. W tle jasna sugestia: PiS hoduje nazizm, a naziści wspierają PiS. I tak oto wróciliśmy do tezy komunistów z czasów utrwalania władzy ludowej, że wszystko, co przeciw nam, to spod znaku swastyki. Pewne rzeczy siedzą w ludziach, choćby minęły pokolenia.

Cała sprawa arcyciekawa. ***TVN przechował materiał*** parę miesięcy i odpalił tuż przed wizytą amerykańskiego sekretarza stanu w Europie, właśnie wówczas, gdy rząd w Warszawie wychodzi z ofensywą wizerunkową. To mogło być zaplanowane, ale niekoniecznie. Ci ludzie po prostu tak mają: cieszą się, gdy zdołają zapaskudzić polską zupę.

Rząd musiał zareagować, ale czy nie przesadził? Jeszcze trochę tej histerii, a świat uwierzy, że z neonazizmem mamy wielki problem. Skoro tak się napinają, to coś musi być na rzeczy... Chyba najwyższy czas zmienić temat i przestać grać tak gorliwie w orkiestrze manipulantów spod znaku KPP. W końcu my z PPS, a to zobowiązuje.

„Jesteśmy w bardzo podłym miejscu w historii naszego kraju" – ogłosił ***Daniel Olbrychski.*** Biedak. Tylko on, Sikorski i „Wyborcza" nie skumali, że to nie rok 2015, ale 2018 i nowy etap. Panowie, jesteście już marginesem, a za chwilę będziecie egzotyką! PiS rozsiadło się w centrum i teraz to pisowskość jest normalna, a wy jesteście wariatami. !Ya hemos pasao! Madryt padł, posprzątane.

Platforma spadła do 14 proc. Kiedyś miała nawet powyżej 60 proc. Jak do tego doszło? Nie obwiniajcie, kochani platformersi, ani pisowców, ani Kościoła, ani Polaków. Spójrzcie obiektywnie: to Donek Tusk was wydał na rzeź w zamian za stanowisko. Myśleliście, że skoro dla władzy wyprzedał Polskę, to dla kariery nie sprzeda i was?

W liście do członków PiS ***Jarosław Kaczyński*** podkreślił pozycję ustrojową prezydenta jako pierwszej osoby w państwie oraz wkład Andrzeja Dudy „w nasz wspólny sukces, otwarcie drogi ku dobrej zmianie". Dziś jest już jasne, że po wetach prezes PiS zamiast konfrontacji wybrał głęboką przebudowę całego obozu. Czym znów zaskoczył i swoich fanów, i śmiertelnych wrogów. I czym w sumie bardzo zaimponował.

„W polityce personalnej kierujemy się zasadą, którą można określić jako »ekonomia sił«. Oznacza to, że obsada poszczególnych stanowisk zależy od oceny możliwości poszczególnych osób w danych okolicznościach i czasie" – to kolejny fragment listu Kaczyńskiego.

A więc może twarda ***pisowska prawica*** ma jeszcze przed sobą jakąś przyszłość?

List zasadniczo jest poświęcony sprawie ***senatora Koguta***, którego immunitet obronili senatorowie. Zabrzmiało to fatalnie, ale w kuluarach hulają też ciekawe interpretacje. Według jednej z nich nie chodziło wcale o obronę kolegi, ale o sygnał, że nowy kurs nie wszystkim w partii się podoba. Coś może być na rzeczy.

Metropolita katowicki ***abp Wiktor Skworc*** podziękował ks. Markowi Gancarczykowi, który przez lata kierował „Gościem Niedzielnym". Ponoć za bardzo bronił linii Jana Pawła II, a za mało entuzjazmował się coraz bardziej kosmiczną linią papieża Franciszka. Zapamiętujmy takie zdarzenia. Później, gdy już Kościół w Polsce podzieli los Kościoła na Zachodzie, okaże się, że nie ma winnych.

Część episkopatu wyraźnie zaostrza kurs na antypisowski. Idzie zarówno o awanse, jak i o coś więcej: o tęsknotę za III RP, której ***Kościół hierarchiczny*** był współtwórcą i w której czuł się chyba znacznie lepiej niż wierni. Cóż tam zresztą wierni, skoro „Wyborcza" pochwali... Wiernych będzie żal dopiero wówczas, gdy ich naprawdę zabraknie.

Sukces plotkarskiej książki „Fire and Fury" o kulisach Białego Domu Trumpa zachęcił kilku rodzimych naśladowców, którzy chcieliby opisać tak Nowogrodzką. Sygnalista nie wie, czy uda im się cokolwiek napisać, bo niejeden już próbował. Ciekawy jest jednak adres, do którego chętni zamierzają skierować pierwsze kroki: Adama bywałego w świecie, który mówi językami. Wiedzą, że jako dostawca przecieków, nigdy nie zawiódł. I nikomu nie odmawia, nawet prasie niemieckiej. A może jej zwłaszcza.

Sygnalista



29/1017/F

eprasa.pl 4ec64585d0

PGE
Zapewniamy energię



Prąd, jak wszystko w życiu,
może być lepszy z dodatkami.
Wybierz energię od PGE w stałej
cenie i dowolną usługę dodatkową.

JEST LEPSZY Z DODATKAMI

Świeć przykładem
i wybierz nawet
10 żarówek LED
firmy Philips.

Poznaj receptę
na brak zdrowia
i energii.

Wykonaj dobry ruch
i ubezpiecz własność
ruchomą z Link4.

Jeśli nie lubisz zmian,
wybierz niezmienną
cenę gazu.

Koniec napięcia
z powodu przepięcia,
wybierz pomoc
fachowców.

Zadzwoń
422 222 222
lub wejdź na
www.zapewniamyenergie.pl

eprasa.pl 4ec64585d0

Jutro zaczyna się dziś



KRZYSZTOF FEUSETTE

Różne są koleje. Szybkie, wolne i kończące się w szczerym, jak reportaże TVN, polu. Podobnie ma się sprawa z kolejami losu publicysto-felietonisty. Mogli zacni koledzy trafić do dziennikarstwa z science fiction (ostatnio chyba wracają...), mogę i ja podążyć chociaż raz w kierunku przeciwnym. Z realu – raz ciężkiego jak wstyd za Koguta w Senacie, raz lekkiego jak sierść kota Prezesa – wybieram się niniejszym w rejony czystej fantastyki.

Wyobraźmy sobie zatem taką oto historię: jest rok 2018, dzień dzisiejszy (prawda, że zaskakujący początek jak na science fiction?), Polska. Najpiękniejszy kraj wszechświata. Kraj, o który biją się najtęższe głowy Europy, z Jarosławem Kaczyńskim i Donaldem Tuskiem na czele, przy czym w tym drugim przypadku chodzi mi bardziej o ciężar win i wyuczoną ociężałość. Nazwijmy ją roboczo „papkinadą", bo polega na zawsze spóźnionej, choć wielce głośnej, reakcji. Tak było w Polsce, gdzie głos w danej sprawie musiały najpierw zabrać wszystkie media, i tak jest w Brukseli, w której król Słońce Peru może świecić wyłącznie światłem odbitym, i to od tych, którym zupełnie już odbiło. Spóźnionej reakcji na tragedie i afery, patologię i butę nadzwyczajnej kasty.

Jakżeby zresztą mogło być inaczej, skoro samemu miało się udział i w tragedii, i aferach, i patologii, i kaście, gdzie nadal posiada się wiernych towarzyszy. Tusk nie zając z bajki Krasickiego, wśród serdecznych przyjaciół psy go nie zjedzą.

No więc jesteśmy w takim właśnie czasie i oto, zupełnie jak w science fiction, rodzą się na naszych oczach cztery nowe partie. Z PiS wyodrębniają się trzy patriotycznie usposobione odnogi, jak trzech jeźdźców dobrej apokalipsy: partia Andrzeja Dudy – platformersko-nowoczesno-pisowsko-umiarkowana; partia Mateusza Morawieckiego – liberalno-konserwatywna, menedżerska; oraz partia Jarosława Kaczyńskiego – nowa pisowska, socjalna, twarda i prawicowa, najmocniej z nich katolicka i największa.

Za dwa lata prezydentem, w tymże science fiction, zostaje Mateusz Morawiecki, na fotel premiera wraca jeszcze lepsza Beata Szydło. Były prezydent Duda tworzy nowe ugrupowanie, mając świadomość, że tzw. twardzi pisowcy i tak nie podadzą mu już ręki, choćby Antoniemu Macierewiczowi kwiaty przysyłał codziennie. Nabija sobie jednak tą niechęcią pisowskiego jądra mnóstwo punktów u ludzi rozpaczliwie poszukujących kogoś, kto nie umoczył się w PO, ale mógłby chociaż trochę zniwelować potęgę Kaczyńskiego, dla niektórych będącego złym duchem winnym wszystkich ich niepowodzeń.

Partia Morawieckiego też ma kapitał na starcie, bo jego gabinet tzw. apolitycznych fachowców wymieszanych z twardymi graczami plus kilkoma kredytami zaufania może osiągnąć co najmniej dobre wyniki. Na razie jego elektorat negatywny to dużo mniej niż łącznie elektoraty PO, Nowoczesnej i kodziarzy (zawsze to jakaś liczba po przecinku...). Taki rząd może dać Morawieckiemu najważniejszą elekcję. A więc to nie na myśl o pojedynku z Tuskiem (choć ten swoje zbierze), ale właśnie z obecnym premierem, powinny blednąć policzki obecnego prezydenta. Wiele rzeczy się na to złożyło, lecz niech mnie ręka boska broni, żebym już dziś obstawiał, na kogo zagłosuję, poza tym, że na każdego, kto zmierzyłby się w drugiej turze z Donaldem „Muhammadem" Tuskiem.

Ten „Muhammad" – aluzja do jego, mimo wszystko, rangi na politycznym ringu, a nie umiłowania imigrantów, bo to nie on podejmował kluczowe, fatalne decyzje. Wystarczy mi win Tuska w kraju, by dodawać mu je za czas brukselski. Jeśli ktoś miał złudzenia, że będzie milczał w sprawach polskich, musi być naiwny jak pani Beger w całej prawdzie całą dobę.

No więc rodzą się w tym science fiction trzy takie partie: Kaczyńskiego, Dudy i Morawieckiego. Ta pierwsza zawsze będzie jądrem, pozostałe mogą zapewnić skrzydła. Czwartą partię tworzą, oczywista oczywistość, Tuskoidy. Zapewniam wszystkich zadowolonych misiów prawicy, że jest ich wystarczająco dużo. Mają skrajne odłamy, życzące w internecie śmierci najwyższym rangą urzędnikom Rzeczypospolitej Polskiej. Mają wielkie skrzydło lewicowe, które bez „ostatniej nadziei salonu" nigdzie samo nie poleci, a które Wielki Haratacz przyjmie z pocałowaniem nie tylko ręki.

Czy to jest zły krajobraz po bitwie o nowy rząd i po odważnej próbie samostanowienia przez prezydenta Dudę? Dla mnie pachnie płótnami van Gogha, bo jest i piękny, i na wariackich papierach. Tak czy owak, to obraz science fiction. Jeśli się spełni, proszę nie dzwonić z gratulacjami. Proszę raczej puknąć się w czoło już teraz i przestać tak strasznie rozpaczać nad podziałami na prawicy. Niech każdy idzie swoją drogą. Są organizmy, które właśnie przez podział się rozmnażają. Przy odpowiedniej koniunkturze polska prawica, wszystkie jej odłamy i środowiska mogą skutecznie zepchnąć do narożnika lewacko-nowoczerskich z ich antypolskim usposobieniem oraz walką o równouprawnienie ludzi i dziwolągi w rodzaju baby-dziwa. O tych ostatnich i ich nocach poślubnych z Tuskoidami mógłby traktować dalszy ciąg mojego science fiction.

Nie wiem tylko, czy kiedykolwiek jeszcze sięgnę po ten gatunek. Bo w sumie po co, skoro tylu kolegów po piórze wciąż go uprawia pod szyldem „chłodnych", jak dobrze ustawiony bałwan, „kalkulacji"? Przyjdzie wiosna, znów będą lać wodę, że nie myli się tylko ten, kto niczego nie pisze. Taki to już cykl przyrody pod naszą szerokością geograficzną.

eprasa.pl 4ec64585d0

TVN ze swastyką

Czy tylko dla hecy media III RP metodycznie robią z nas faszystów i antysemitów?

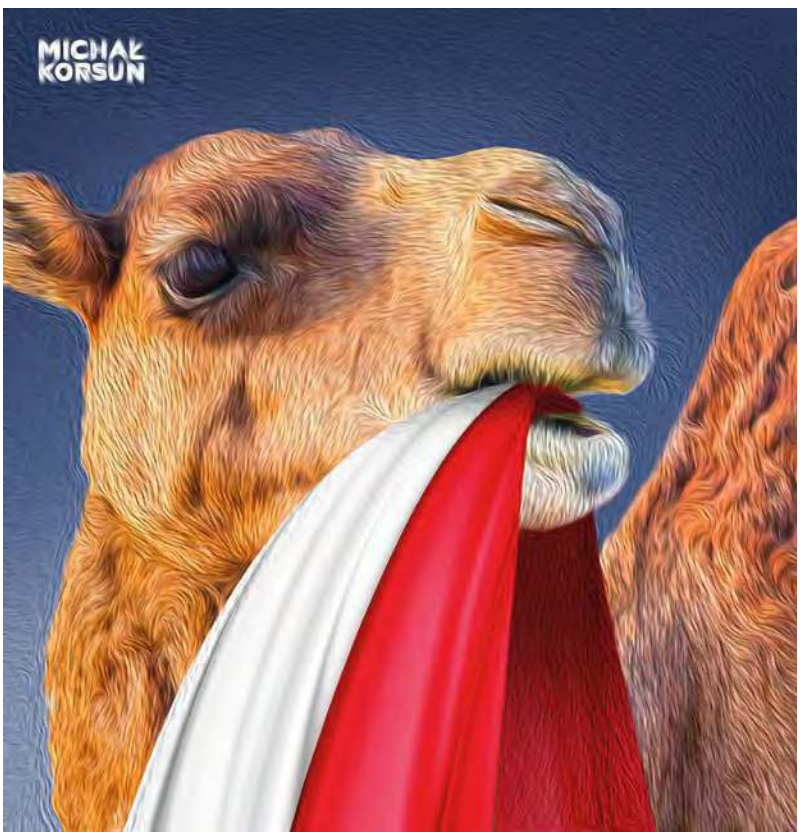


Ryszard Makowski

Wojna informacyjna przeciwko Polakom jest prowadzona bez zbędnej finezji. Taktyka infobejsbolem po umyśle została uznana za wystarczającą na tubylców. Telewizja TVN chlubi się, iż jej dziennikarze wzięli udział w leśnych obchodach urodzin Hitlera, nagrali to ukrytą kamerą i mają dowód, że wszyscy Polacy to jedna faszystowska rodzina. To, że urodziny niemieckiego oprawcy wypadają w kwietniu, a materiał wyemitowano w styczniu, niczego nie zmienia. Faszyści zawsze są faszystami, czego dowodem jest 60-tysięczny marsz w Warszawie, z biało-czerwonymi flagami w Święto Niepodległości. Trzeba pilnować, żeby świat o tym nie zapomniał. Któż to może zrobić lepiej niż wyszkoleni żurnaliści z TVN? Zatroskane miny i przerażenie w głosie lektorów. Ludzie dobrej roboty.

I nic to, że zarzucanie Polakom – którzy w czasie II wojny światowej najwięcej ucierpieli od Niemców – faszyzmu to podłość poza sortem. Nic to. Statystycznie w tak wielkim narodzie jak nasz znajdą się i zdrajcy, i szmalcownicy, i niedojdy ubierające się w hitlerowski mundur, i dziennikarze TVN. To jednak jest margines. Gdyby reporterzy TVN zrobili przegląd kadr w domach wariatów, pewnie i paru Hitlerów mogliby widzom przedstawić. Najgorsze, że nielicznych wyznawców faszyzmu łatwo spacyfikować, ale telewizję z premedytacją szkodzącą Polsce – już nie. KRRiT wycofała się rakiem z kary dla TVN. Dziwić się, że to ośmiela...

KORSUN *chili* KORSUN



Do rysunku wykorzystano fot. Shutterstock



Paweł Korsun

Polska nie wielbłąd, swoich obozów nie miała. I trzeba o tym, mimo że Polacy nie gęsi, informować w różnych językach. Ktoś się bardzo (PO) stara(ł), byśmy całą energię zużywali na udowadnianie „wielkiego błędu", zamiast na przypominanie o wielkich czynach Polski, które też pokryła jakaś zmowa kaleczenia (historii). Bo Polacy nie koguty, najpotężniejszy ruch oporu mieli.

Tymczasem to pojęcie „rezistans" służy na salonach za symbol oporu wobec III Rzeszy, a słynny kolaboracyjny Vichy wszystkim wisi, w myśl zasady „swoje wybielamy, cudze obalamy". Próżno zatem w najnowszej książce Maxa Hastingsa „Tajna wojna 1939–1945" szukać wzmianki o Agencji Afryka gen. Słowikowskiego, która umożliwiła operację „Torch". Autor zapomina o gwieździe wywiadu Krystynie Skarbek i o potrójnym agencie Czerniawskim, który tak skołował dowództwo Abwehry, że ta na D-Day zamiast w Normandii czekała w Norwegii.

Jak na 890-stronicową książkę o podtytule „Szpiedzy, szyfry i partyzanci" przystało, nie znajdziemy nic o wkładzie partyzantów AK w rozpracowanie broni V-1/2, a geniusz Rejewski, którego zespół zmienił bieg historii (szyfrów), pojawia się w jednym wierszu. Natomiast Turing, który przy fanfarach „złamał" złamaną przez Polaków Enigmę, wychwalany jest na 30 stronach. Może zatem pogadajmy o tym, dlaczego alianci nie zbombardowali NIEMIECKICH obozów, o których raportowali... Polacy. Wiel(ki)błąd.

eprasa.pl 4ec64585d0

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

„Polska powstanie, by żyć!”



Jan Pietrzak

Styczeń 1863. To był czas, w którym Polacy już wiedzieli, że dalsza wegetacja pod jarzmem cara uwłacza ich godności, jest nie do zniesienia. Carskie państwo było dla Polaków koszmarem. Od powstania listopadowego minęły trzy dekady, od kongresu wiedeńskiego prawie pół wieku... Rządziło Święte Przymierze czarnych orłów. Znikąd nadziei dla orła białego. Jak pisał Józef Piłsudski: „Pamiętajcie, że dusza Rosjanina, jeśli nie każdego, to prawie każdego, jest przeżarta duchem nienawiści do każdego wolnego Polaka i do idei wolnej Polski [...]. Jeśli własna wolność jest nieosiągalna, wolność cudza wzbudza zawiść i odrazę”.

Byliśmy w wyjątkowo drastycznej sytuacji: wolni ludzie pod panowaniem narodu niewolników. Zabarwiony nienawiścią zwrot „polskie pany” jest stale obecny w rosyjskiej literaturze, a przede wszystkim w propagandzie. Nie dlatego, że Polacy zachowują się jak „pany”, lecz dlatego, że oni czują się jak niewolnicy. A tacy osobnicy lubią w określonych okolicznościach pokazywać, „kto tu rządzi”. Imperialistyczna paranoja sąsiadów przesądziła o naszym losie.

Istotą polskości jest walka przeciwko notorycznym oprawcom. Bez wojen, buntów, powstań już by nas nie było. „Czy umrzeć nam przyjdzie wśród boju, czy w tajgach Sybiru nam zgnić, z trudu naszego i znoju Polska powstanie, by żyć. Żadna nas siła zdradziecka zniszczyć nie zdoła ni zgnieść. Śmiało, drużyno strzelecka, sztandar do góry swój wznieś!”.

Polska z pieśnią na ustach w 1918 r. powstała, by żyć. Niepodległość była odłożonym w czasie zwycięstwem powstania styczniowego. To był czas wielkiej radości, brutalnie przerwany w 1939 r. przez kolejny wojenny amok sąsiadów. Dopiero bunt „Solidarności” zakończył półwiecze zmagań z niemieckim faszyzmem i rosyjskim komunizmem, które chciały nas zlikwidować.

Wygląda na to, że dzisiaj żadne siły zdradzieckie nie zdołają nas zniszczyć ni zgnieść. Najlepszym sposobem walki o niepodległość jest po prostu jej nie tracić. Jak głosi inna ważna pieśń z lat niewoli: „Twierdzą nam będzie każdy próg, tak nam dopomóż Bóg!”. Powinna być dewizą Wojsk Obrony Terytorialnej.



Z piosenkarką Darią Zawiałow rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Fot. Wiktor Franko

Wszystko na jedną kartę

Pewnie niejednemu z nas zdarzało się opracowywać plan B. W jakich okolicznościach pani się na to zdecydowała?

Daria Zawiałow: Nigdy nie opracowywałam takiego planu. Postawiłam wszystko na jedną kartę, jaką jest tworzenie muzyki. Oboje z mężem się tym zajmujemy, to nasze życie.

A jednak przyjęła pani propozycję wejścia na filmowy „Plan B”. Ekspresyjnie przetworzony utwór Wojciecha Młynarskiego śpiewa pani bardziej bohaterom czy bohaterkom filmu Kingi Dębskiej?

„Jeszcze w zielone gramy” śpiewam wszystkim, którzy potrzebują pokrzepienia. Bez względu na płeć.

A kiedy pojawiła się możliwość stworzenia takiego covera, i to do filmu, w którego obsadzie są m.in. Kinga Preis, Marcin Dorociński i Roma Gąsiorowska, długo się pani zastanawiała?

Chwilę. Nie ukrywam, że kiedy ja i Michał Kush (producent albumu „A kysz!”, mój przyjaciel) dostaliśmy zadanie stworzenia własnej wersji tego utworu, byliśmy trochę przerażeni. Trudno brać na warsztat utwór, który jest wybitny w swej oryginalnej wersji – Wojciech Młynarski niewątpliwie był mistrzem. Niemniej lubimy wyzwania, więc podjęliśmy ryzyko.

Czy „Plan B” okazał się dla pani planem A? Przyspieszył inne projekty?

Na pewno to, że tym utworem zdobyliśmy szczyt Listy Przebojów Programu Trzeciego, dało nam dużo radości. Nie sądziłam, że już jako debiutująca wokalistka będę miała zaszczyt się znaleźć na pierwszym miejscu Trójkowej listy.

eprasa.pl 4ec64585d0

BRONISŁAW WILDSTEIN

Wyrok za żart

W PRL skazywano za żarty. W czasie stalinizmu dowcipy, który mogły nie podobać się władzy, kwalifikowane były jako „szeptana propaganda". Wyraźnie elity III RP tęsknią za podobnymi rozwiązaniami

W poprzednim numerze „Sieci" Tomasz Łysiak napisał, że skazanie Jacka Piekary jest wystarczającym dowodem na potrzebę gruntownej reformy polskiego wymiaru sprawiedliwości. Zgadzam się z nim w całej rozciągłości, niemniej uważam, że nie wolno nam zostawić tej sprawy.

„Do aborcji potrzebne jest zapłodnienie... Do zapłodnienia potrzebny jest seks... Dobrze wiedzieć, że Dorocie Wellman nie grozi aborcja!" – skomentował pisarz na Twitterze zaangażowanie celebrytki. Ta podała go do sądu. Sędzia Agnieszka Wlekły-Pietrzak, nie troszcząc się o to, czy pisarz otrzymał zawiadomienie o procesie, skazała go na karę, która w sumie sięga prawie 0,5 mln zł. Zasadnicza jej część to przeprosiny, które Piekara ma ogłosić... no naturalnie w „Wyborczej", tudzież jej agendach.

Za żart pisarz skazany został na rujnującą nawet dobrze prosperującego człowieka karę. Nie użył słów uznawanych za obraźliwe, nie odsądzał antagonistki od czci i wiary. Zakpił z niej. Słyszę, że to niedobry dowcip. Brak w nim subtelności. Rozumowanie to pokazuje, dokąd doszliśmy. Okazuje się, że jakość żartów oceniać będzie sąd, a jeśli uzna je za nieokrzesane, srogo karał będzie ich autorów. Na szczęście klasycy od Arystofanesa poczynając, przez François Rabelais'go, na Monty Pythonie kończąc, z różnych względów nie znajdują się w jurysdykcji polskiego sądu. Doskonale wiemy jednak, że zainteresowanie sądów w Polsce humorem zależy od tego, kto i przeciw komu swoje szyderstwa kieruje. Chamstwo Palikota i jego czeredy, tudzież obelgi totalnej opozycji przeciw rządowi i tym, którzy go w rozmaitych sprawach wspierają, nie są dla nich interesujące.

W PRL skazywano za żarty. W czasie stalinizmu dowcipy, które mogły nie podobać się władzy, kwalifikowane były jako „szeptana propaganda". Wyraźnie elity III RP tęsknią za podobnymi rozwiązaniami.

Wyroki za niewłaściwe dowcipy to krok dalej niż dokonywana w majestacie prawa interpretacja publicystyki, którą wcześniej zajmował się wymiar sprawiedliwości III RP. Za niewłaściwe odczytanie Michnika – do pewnego czasu – wyrok był nieuchronny.



Fot. Andrzej Wiktor

Skazanych zostało za to wielu polskich pisarzy i publicystów, m.in. Jarosław Marek Rymkiewicz, Rafał Ziemkiewicz czy Andrzej Zybertowicz. Naczelnego „Wyborczej" można było tylko cytować lub wychwalać.

Sprawa Piekary to niejedyny ostatnio wyczyn polskich sędziów. Zresztą Agnieszka Wlekły-Pietrzak zajmuje się także sformułowaniami Jarosława Kaczyńskiego na temat lepszego sortu, a więc wszystko jeszcze przed nami. Naturalnie to przypadek, że prezes sądu powierza jej takie sprawy.

Szczególne znaczenie miał ostatnio wyrok, jaki wydał osławiony sędzia Tuleya, nakazując prokuraturze ponowne śledztwo w sprawie ubiegłorocznego głosowania budżetu w Sali Kolumnowej Sejmu. Niezwykły jest już sam pomysł, aby to sąd oceniał decyzje Sejmu. Opozycja motywowała to „nieprawnym przeniesieniem" obrad. Tyle że nigdzie nie jest napisane, gdzie Sejm ma się zbierać i podejmować postanowienia. Jeśli sędzia będzie mógł zakwestionować rozstrzygnięcia władzy ustawodawczej pod dowolnym pretekstem, np. przeniesienia obrad, to władzę ustawodawczą należy po prostu rozwiązać. Po co ludziom mydlić oczy. Przecież opozycja zawsze może stwierdzić, że większość stosowała wobec niej niedopuszczalną presję lub uniemożliwiła jej należyte egzekwowanie właściwych uprawnień. A Tuleya przyzna jej rację, opatrując swój wyrok podobnym do ostatniego uzasadnieniem, które brzmiało: „16 grudnia pogrzebano demokrację, bezkarnie zgwałcono prawo, tamtej nocy umarła zwykła ludzka przyzwoitość".

Ale problemem nie jest błazen w sędziowskiej todze – naturalnie nie piszę o Tulei, to taka retoryczna figura, nie chcę być skazany. Chodzi o warunki, w jakich może on panoszyć się bezkarnie, i o uprawnienia, jakie sędziom przyznajemy. Jeśli mają oni rozstrzygać, co wolno pisać publicystom, jakie dowcipy mogą robić autorzy internetowych wpisów i wreszcie, które decyzje władzy ustawodawczej są ważne, to nie tylko powinniśmy skończyć zabawę w demokrację, lecz także uzmysłowić sobie, że nie żyjemy w państwie prawa, ale pod tyrańską władzą bardzo specjalnej kasty.

OGNIEM NA WPROST

Załamany Soros

Szwecja. Ten spokojny kraj, niegdyś mlekiem i miodem płynący, znany z tolerancji i otwartości dla wszystkiego, co ludzkie i nieludzkie (np. aborcja), wzór do naśladowania przez inne liberalne demokracje, zastanawia się poważnie, czy nie wyprowadzić na ulice sił zbrojnych. W tamtejszym Riksdagu (parlamencie) odbyła się ostatnio debata. Starli się socjaldemokratyczny premier Stefan Löfven i lider antyimigranckich Szwedzkich Demokratów Jimmie Åkesson. Tematem dyskusji były wojny imigranckich gangów, podpalenia samochodów i ataki na komisariaty. Åkesson nie owijał w bawełnę i zaproponował wprowadzenie do akcji wojska do walki ze zorganizowaną przestępczością. Premier co prawda nie wykluczył rozmieszczenia sił zbrojnych na ulicach miast, ale dodał, że zanim podejmie się tak drastyczne działania, należy najpierw zbadać inne możliwości. Tuż po zakończeniu debaty „inne możliwości" zbadali natomiast goście z Południa. Dokonali zamachu na posterunek policji w Malmö, ciskając w niego granatem. Uszkodzili kilka samochodów i budynek. Na szczęście nie było ofiar w ludziach. Tym razem. Według danych policji w ub.r. doszło do 306 incydentów z użyciem broni palnej, w wyniku których zginęło 41 osób.



George Soros jest załamany. Przyznaje to w rozmowie z „Financial Times". „Unia Europejska zmierza ku upadkowi" – stwierdził bez ogródek. Powód? „Nacjonalistyczny populizm rozpala serca i umysły ludzi Zachodu". Nie trzeba być miliarderem, globalistą ani nawet intelektualistą, aby wiedzieć, że akcja budzi reakcję. Niekontrolowana realizacja jego chorego pomysłu zrobienia z naszego kontynentu poligonu multikulti musiała się tak skończyć. „UE jest instytucją, która jest na krawędzi rozsypania się. A Rosja jest teraz odradzającą się siłą, opartą na nacjonalizmie" – kontynuuje, by w następnym zdaniu nieco się pocieszyć. „Putin mnie nie lubi" – orzekł. Zaprawdę wielkie to pocieszenie dla tysięcy Europejek zgwałconych przez imigrantów. Z drugiej strony Soros pokazuje, że ma poważne problemy z logicznym myśleniem. Skoro imigranci rozbijają spójność Unii Europejskiej, to Władimir Władimirowicz powinien mu przyznać order za ten wiekopomny pomysł.

Turcy w operacji tworzenia strefy buforowej wzdłuż swojej granicy („Tarcza Eufratu") zaatakowali w ub.r. „państwo" ISIS. Choć odnieśli sukces, stracili aż 10 czołgów Leopard II. Powód? Brak odpowiedniego opancerzenia i wyposażenia w aktywny system ochrony klasy hard-kill, który pozwala na wykrycie zbliżających się pocisków i ich zneutralizowanie. Od tamtego czasu stosunki na linii Ankara–Berlin pogorszyły się na tyle, że nawet nie było sensu prosić Merkel o cokolwiek. Spór osiągnął apogeum po aresztowaniu przez tureckie służby kilku obywateli Niemiec, w tym dziennikarza gazety „Die Welt" Deniza Yücela. Teraz Turcy zmieniają front i chcą się godzić. Przy okazji wpadli na szatański pomysł. Podczas negocjacji w Goslar u podnóża gór Harz szef tamtejszej dyplomacji zaproponował... wypuszczenie Yücela w zamian za modułowy system ochrony AMAP oraz podsystem umożliwiający kinetyczne zwalczanie nieprzyjacielskich pocisków przeciwpancernych ADS do trefnych leopardów. Niemcy są skłonni pójść na ugodę. Tak to się robi w Ankarze, panie ministrze Czaputowicz.

Reżyser Krystian Lupa ruszył śladami Róży grafini von Thun und Hohenstein i wziął udział w filmie. Nie trzeba dodawać, że obraz został zrealizowany na zlecenie telewizji niemieckiej, pod znamiennym tytułem „Rewolucja kulturowa po polsku". Zestawiono w nim fragmenty zeszłorocznego Marszu Niepodległości, którego uczestników lektor określa jako przedstawicieli „skrajnej prawicy", ze zdjęciami z faszystowskich stron internetowych. Lupa puentuje, mówiąc do kamery: „System chce postawić w stan oskarżenia społeczeństwo. Ten rodzaj manipulacji widzimy w systemach totalitarnych, takich jak komunizm czy faszyzm. To dzieje się teraz u nas". Już się martwiłem długim milczeniem, a co za tym idzie – niedostatkiem głębi przemyśleń na temat bieżącej polityki w wykonaniu sławnego kwartetu żeńskiego w składzie: Cielecka, Janda, Ostałowska, Stalińska. Stanowiły one niekiedy wdzięczną kanwę dla felietoników w tej rubryce, ale – jak widać – całkiem niepotrzebnie. Pałeczkę przejął sam Lupa, składając pokornie w ofierze u stóp swoich niemieckich przyjaciół to, co mu na sercu leży. Swoją drogą, cokolwiek by o paniach mówić, wylewały krokodyle łzy przed rodzimą widownią, robiąc to na użytek wewnętrzny. Herr Lupa to prawdziwy Europejczyk. Kabluje Niemcom.

Andrzej Rafał Potocki

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 4ec64585d0

Recepta na samotność



Marta Kaczyńska

Premier Theresa May powołała wiceminister Tracey Crouch na stanowisko pełnomocnika rządu ds. walki z samotnością. Według statystyk aż 9 mln Brytyjczyków czuje się samotnie. Zdaniem Fundacji im. Jo Cox ok. 200 tys. starszych osób w Wielkiej Brytanii nie odbyło w ciągu ostatniego miesiąca choćby jednej rozmowy z bliskim lub przyjacielem. W związku z procesem starzenia się społeczeństwa przewiduje się, że problem ten będzie się stawać coraz bardziej dostrzegalny. W Wielkiej Brytanii zainicjowano więc prace nad strategią walki z samotnością. Specjalny dokument ma zostać opublikowany jeszcze w 2018 r.

Według analiz przeprowadzonych przez Czerwony Krzyż w Szwecji blisko połowa dorosłych Szwedów cierpi z powodu samotności. Naukowcy wskazują, że jedna na cztery osoby w Sztokholmie umiera w samotności, a społeczeństwo coraz częściej zmaga się z depresją, na co wskazuje wzrost sprzedawanych antydepresantów.

Za skrajny przypadek państwa zmagającego się z problemem samotności może być uznana Japonia, borykająca się z obniżoną liczbą urodzeń. Wielu dorosłych mieszkańców tego kraju rezygnuje z pozostawania w związku na rzecz życia w pojedynkę, ale z lalką. W filmie dokumentalnym poświęconym temu zjawisku mężczyzna w średnim wieku wyznaje: „Nieważne, jaki mam problem, Mayu [lalka – przyp. red.] zawsze czeka na mnie. Kocham ją mocno i chcę być z nią na zawsze. Nie umiem już sobie wyobrazić powrotu do związku z człowiekiem. Chcę być pochowany z nią i pójść z nią do nieba".

Charakterystyczną cechą współczesnego człowieka jest dążenie do niezależności, dawania sobie rady ze wszystkimi obowiązkami w pojedynkę. Dominujący liberalizm dewaluuje znaczenie więzów rodzinnych. W mediach promowane są młodość i dobrostan – przede wszystkim materialny. Ludzie starsi pozostają nierzadko wykluczeni, a przeważnie nie są traktowani jako naturalne autorytety w sprawach bardziej lub mniej błahych trudności życia codziennego. Można sądzić, że wspólnie spędzające czas wielopokoleniowe rodziny to obrazek odchodzący do lamusa.

Papież Franciszek niezwykle trafnie ujmuje problem, wskazując, że rodziny to nie muzealne eksponaty. Zdaniem papieża rodziny są niczym zaczyn, który pomaga w rozwoju świata bardziej ludzkiego i braterskiego, gdzie nikt nie czuje się wykluczony ani porzucony. Według Franciszka rodzina pozostaje strukturą najbardziej adekwatną do zapewnienia tego, co jest niezbędne do zdrowego rozwoju człowieka. Benedykt XVI twierdził, że „fałszywa logika rynku wzmacnia tylko egoistyczne postawy prowadzące do wynaturzeń", a „rynek kierujący się jedynie zasadą równowartości zamienianych dóbr nie potrafi doprowadzić do jedności społecznej, której zresztą potrzebuje, aby dobrze funkcjonować". Receptą na bolączki współczesnego społeczeństwa jest, zdaniem kardynała Josepha Ratzingera, powrót do wartości etycznych jako fundamentu, aplikacja do zasad pomocniczości i solidarności. Papież Franciszek głosi, że osoby starsze powinny być nauczycielami mądrości. Wyznacznikiem kondycji społeczeństwa jest dla papieża stosunek do dzieci oraz osób starszych. W homilii z września 2014 r. stwierdził, że „nie ma przyszłości dla ludu bez spotkania między pokoleniami". „Młodzi dają bowiem siłę, aby lud mógł iść naprzód, a starsi umacniają tę moc pamięcią i mądrością życiową".

Papież Franciszek niezwykle trafnie ujmuje problem, wskazując, że rodziny to nie muzealne eksponaty

Jesteśmy więc sobie nawzajem potrzebni. Różnice wynikające z wieku mogą nas tylko wzbogacać. Może więc zamiast powoływać pełnomocników rządu ds. samotności poza instytucjonalnym wsparciem dla osób starszych, warto po prostu zacząć promować rodzinę?

Z głębokim smutkiem zawiadamiam,
że 15 stycznia 2018 roku zmarła w Warszawie

ŚP

PROF. DR HAB.

BARBARA OTWINOWSKA

PS. „WITEK BŁĘKITNY", „BAŚKA"

urodzona 11 czerwca 1924 r. w Toruniu.
Od lutego 1943 r. żołnierz Armii Krajowej w Okręgu Warszawskim AK.

Podczas Powstania Warszawskiego łączniczka, sanitariuszka i wartowniczka w 100. kompanii sztabowej Obwodu AK Śródmieście.

Po upadku Powstania deportowana do Niemiec.
W maju 1947 r. zatrzymana przez Urząd Bezpieczeństwa pod zarzutem uczestnictwa w organizowaniu przerzutu z Polski na Zachód rodzin oficerów 2. Korpusu Polskiego, następnie przesłuchiwana w Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego. We wrześniu 1947 r. skazana na trzy lata pozbawienia wolności. Do czerwca 1950 r. odbywała karę w więzieniu mokotowskim oraz Zakładzie Karnym w Fordonie.

Wieloletni pracownik naukowy Instytutu Badań Literackich PAN, redaktor miesięcznika środowiska więźniarek Fordonu „Nike", Kanclerz Orderu „Polonia Mater Nostra Est".

Uhonorowana Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski, Brązowym Krzyżem Zasługi z Mieczami, Krzyżem Armii Krajowej, Warszawskim Krzyżem Powstańczym oraz innymi odznaczeniami.
Laureatka nagrody IPN Kustosz Pamięci Narodowej.

Niech odpoczywa w Pokoju Wiecznym.

Cześć Jej Pamięci!

Jan Józef Kasprzyk
Szef Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych

41/0118/F

eprasa.pl 4ec64585d0

Zebrała ***Dorota Łosiewicz***

Niedozwolony botoks

Szok! Wielbłądy próbowały wygrać konkurs piękności, oszukując. Aż 12 z nich zdyskwalifikowano w konkursie w Arabii Saudyjskiej. Powodem wykluczenia zwierząt z rywalizacji było niedozwolone wstrzykiwanie botoksu w pyski wielbłądów przez właścicieli, głównie w wargi i szczęki. Oszuści chcieli w ten sposób powiększyć łby zwierząt, by zdobyć wysokie nagrody finansowe. Na szczęście są inne dozwolone metody upiększania zwierząt: golić i farbować wielbłądy wolno. Uff.



4 mln zł

tyle wydali w 2017 r. polscy posłowie na bilety lotnicze.

403 tys.

tyle dzieci urodziło się w 2017 r. według wstępnych danych GUS. To ok. 20 tys. więcej niż rok wcześniej.

56 mld dol.

taką kwotę dostanie Elon Musk, jeśli Tesla przez 10 lat osiągnie wartość 650 mld dol.

Rasizm z BBC

Brytyjski nadawca BBC poszukuje praktykanta do swojego programu Newsbeat. Program emitowany jest na antenie BBC Radio 1 i skierowany do osób w wieku 16–25 lat. Wydawcy opublikowali na Twitterze informację o możliwości odbycia praktyk. Jeden z wymogów dotyczył koloru skóry kandydatów. „Praktyki są dostępne dla kandydatów czarnoskórych, Azjatów i niebiałych przedstawicieli mniejszości etnicznych" – czytamy w ogłoszeniu. W następnym anonsie pewnie napiszą, że nie chcą białych ani heteroseksualnych, a w kolejnym, że nie chcą osób, które nie zmieniły płci. Postęp ma w końcu swoje wymagania.



Krzyż – a kysz!

Przed procesem islamisty w Bawarii sędzia usunął krzyż z sali sądowej. Afgański uchodźca był sądzony za groźby karalne. Groził innemu Afgańczykowi śmiercią za to, że ten przeszedł na chrześcijaństwo i zaczął w niedzielę uczęszczać do kościoła. 21-latek twierdził ponadto, że jest talibem, co spowodowało, że znalazł się na celowniku niemieckich służb. Procesowi w bawarskim Miesbach przewodniczył sędzia Klaus-Jürgen Schmidt. Sędzia uznał, że w celach „wychowawczych" należy usunąć przed rozprawą krzyż z sali sądowej, co też uczynił. W rozmowie z rozgłośnią Bayerischer Rundfunk Schmidt tłumaczył, że „religijne symbole nie są obowiązkowe na salach sądowych", uznał też „obecność krzyża za mało pomocną". Sędzia skazał młodego uchodźcę na najwyższą możliwą karę, a krzyż, który wisiał w głównej sali rozpraw sądu w Miesbach, teraz przeniesiono na korytarz. I tam ma według sędziego Schmidta na razie pozostać. Widać, że Bawaria jest z każdym dniem coraz bardziej ubogacona kulturowo.



eprasa.pl 4ec64585d0

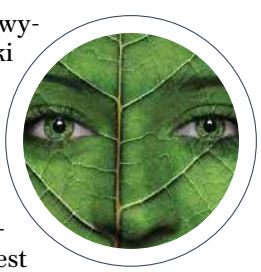


Dzień jak co dzień

Do gigantycznej bijatyki z udziałem prawie 200 osób doszło w hali odlotów lotniska w Hanowerze w Niemczech. Policja potwierdziła, że musiała użyć gazu pieprzowego, aby stłumić przemoc po tym, jak Turkowie starli się z protestującymi Kurdami. W Niemczech dzień bez rozróby z udziałem imigrantów to dzień stracony, czyli blaski i cienie lewackiej „normalności". A Angela Merkel patrzy i zaciera ręce.

Uważam, że orzeł z czekolady jest lepszy niż orzeł ze stali czy styropianu" – stwierdził Bronisław Komorowski. Trudno się dziwić, że w wyborach wywinął orła.

Kompost z ludzi



Belgijscy Zieloni chcieliby wykorzystywać ludzkie zwłoki jako kompost, bo ich zdaniem to ekologiczne. Działacze partii Ecolo z belgijskiego Mons uważają, że obecne prawo, które pozwala jedynie na dwa sposoby postępowania z ludzkimi zwłokami (pochówek i kremacja), jest przestarzałe i niewystarczające, a przede wszystkimwpływ na zanieczyszczenie środowiska. Dlatego zwrócili się do rady gminy, aby ta uznała promowany przez nich pomysł, czyli humusację (humus to warstwa próchnicza gleby). Humusacja to – jak twierdzą – „kontrolowany proces transformacji organizmu za pomocą mikroorganizmów w kompost, przetwarzający w ciągu 12 miesięcy szczątki w zdrową i płodną próchnicę". Co więcej „zwłoki pokryte warstwą kruszonego materiału roślinnego stworzą swego rodzaju żywy pomnik" – głosi strona humusation.org. Działacze Ecolo zachwalają: „Humusacja, w przeciwieństwie do pochówku, nie wymaga: trumny, okresowych opłat za miejsce na cmentarzu, kosztów nagrobku" itd. Jeszcze chwila i zaczną w Belgii puszczać spoty reklamowe w stylu: „Denerwuje cię utyskująca babcia? Proponujemy eutanazję i na kompost. Z dziadkiem w komplecie – 30 proc. taniej!".

Fot. Andrzej Wiktor, Shutterstock (x3)

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Brunatna kawa, czerwone wino



Dominik Zdort

Tak jak wszyscy przytomni ludzie jestem z całego serca za ukaraniem osób, które wiosną 2017 r. urządziły sobie obchody urodzin Adolfa Hitlera. Pewnie sprawa kwalifikowałaby się bardziej do psychiatry niż do prokuratora, ale nie ma co dzielić włosa na czworo – nazizm to nazizm. Powinien być wypalany ogniem wszędzie, gdzie pojawia się jego ślad. Szczególnie jeśli dzieje się to w Polsce, i to z dwóch powodów. Po pierwsze i najważniejsze, dlatego że to nasz kraj padł na samym początku wojny ofiarą nazistowskich Niemiec. Po drugie – co ważne współcześnie – bo „przyjaciele" Polski z Unii Europejskiej tylko czekają na taką okazję, aby zakrzyknąć, że w państwie dobrej zmiany dobrze ma się też hitleryzm.

Moje wątpliwości dotyczą wyłącznie jednego aspektu: grupce szurniętych neonazioli, którzy wybrali się do lasu, aby we własnym gronie napić się piwa, pośpiewać i zjeść tort ze swastyką ułożoną z czekoladowych batoników, mają być postawione zarzuty „propagowania nazizmu".

Otóż nie jestem pewien, czy prywatny wyjazd kilku osób w odosobnione miejsce można nazwać propagowaniem czegokolwiek. Po pierwsze, w wyprawie wzięli udział ludzie przekonani do swoich idei, wśród których nie trzeba ich propagować. Po drugie, swoje gusła odprawiali w tajemnicy przed światem. Czy można coś propagować w tajemnicy, w ukryciu? Próbując udowodnić tak karkołomną tezę, prokuratura będzie chyba musiała przywołać na świadków jedyne ofiary tej propagandy, czyli ptaki i wiewiórki. Wystarczyłoby poprzestać na innych zarzutach, bo karalne jest też utrwalanie i posiadanie przedmiotów mogących służyć do promowania nazizmu.

Na wszelki wypadek jeszcze raz podkreślę: lansowanie ideologii totalitarnych powinno być karane. Warto jednak zawsze zadać sobie pytanie o prawo do prywatności, o prawo do posiadania osobistych, nawet najbardziej kretyńskich poglądów. Czy jeśli mąż z żoną wypiją w domu do podwieczorku brunatną kawkę, a potem na głos będą czytać sobie „Mein Kampf", to sąsiad, który usłyszał to przez szklankę przyłożoną do ściany, powinien na nich donieść, że propagują hitleryzm? A kiedy przyjaciele z dawnych lat po paru lampkach czerwonego wina odśpiewają prywatnie – w mieszkaniu jednego z nich – „Międzynarodówkę", to znaczy, że krzewią stalinizm?

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl

eprasa.pl 4ec64585d0

RZECZY POSPOLITE

SS – SuperSchizofrenia



Tomasz Łysiak

Wokół nazistowskiego cyrku nagranego w lesie przez ekipę TVN wybuchła afera, która rosła i rosła. Nagrania natychmiast stały się narzędziem do ataku nie tylko na Ruch Narodowy, lecz także na PiS, przez pokrętne łączenie faktów i wypowiedzi. Mniej biegli w polityce obywatele pewnie nawet nie rozróżniają PiS od narodowców, wrzucając wszystkich do jednego wora nazywanego „prawicą" – to dla nich m.in. tworzone są tego typu zbitki. Ale głównym odbiorcą przekazu ma być cała zagranica, która na pewno żadnego rozróżnienia widzieć nie będzie. I tak grupa niebezpiecznych świrów zostaje użyta do wykreowania fatalnego wizerunku Polski.

Tu warto podkreślić – tego typu „akcje" ze swastykami i mundurami SS powinny być (i na szczęście są) natychmiast zwalczane przez odpowiednie służby. Zresztą, z jednej strony przebieranie się w niemiecki mundur i czczenie urodzin Hitlera, a z drugiej mienienie się polskim patriotą jest tak logicznie sprzeczne z sobą, że wymaga chyba jakiejś analizy klinicznej. Obchodzenie urodzin człowieka bestii, odpowiedzialnego za śmierć milionów Polaków, wyklucza z polskiej wspólnoty samo przez się.

Pojawia się pytanie – dlaczego na równi z nazistowskimi nie są także potępiane i ścigane symbole komunistyczne? To także prawda, powinny być.

W całej tej sytuacji oburza mnie nie tylko ów naziolski, skretyniały, wyzuty z polskości marginalny światek, lecz dodatkowo wścieka mnie wykorzystywanie go do rzucenia kalumnii na innych Polaków, do robienia z nas narodu faszystów i nazistów. Oburza mnie to budowanie wokół przeróżnych manipulacji. Szczególnie biorąc pod uwagę to, że krytyczny stosunek do tych półmózgów w mundurze SS jest w Polsce powszechny i identycznie brzmiący – należy ich przykładnie ukarać. Ale na Boga, nie zakładajcie nam wszystkim na rękę opaski ze swastyką!

Na koniec zaś jeszcze jedna uwaga – gdyby to wszystko działo się w trakcie okupacji i gdyby owych typów, którzy przebrali się w niemieckie mundury, złapali Niemcy, ciężko by zapłacili za podszywanie się pod prawdziwe SS. Albo od razu w tym lesie. Albo w jakimś niemieckim obozie koncentracyjnym.

Komu wisi krzyż



Piotr Cywiński

Nazywa się Klaus-Jürgen Schmid. Jak po polsku Kowalski. Jest sędzią. Rozstrzygał ostatnio w sprawie 21-letniego imigranta z Afganistanu. Przy czym wiek tego azylanta należy traktować umownie, gdyż „zagubił" dokumenty w drodze do Niemiec i sam podał te dane.

Przed rozpoczęciem procesu z jego udziałem na ławie oskarżonych sędzia Schmid nakazał usunięcie krzyża ze ściany na sali rozpraw. Dlaczego? Ponieważ uznał, że krucyfiks może być „obciążeniem dla oskarżonego" i „naruszać jego uczucia religijne". Chodziło o to, aby Afgańczyk przypadkiem sobie nie pomyślał, że jest „prześladowany" i „skazany z powodów religijnych" – tłumaczył jurysta w bawarskiej rozgłośni. Bo, rzecz jasna, „Niemcy są państwem prawa z wyraźnym rozdziałem od Kościoła" – podkreślił. Schmid powołał się przy tym na orzeczenie Federalnego Trybunału Konstytucyjnego, który obecność krzyża na sali rozpraw zostawił w gestii sędziów: jeśli uczestnicy postępowania sądowego czują, że przez to ograniczana jest im „w sposób niewyobrażalnie obciążający wolność wyznania", można go usunąć.

Sędzia Schmid zatem go usunął, żeby sprawca nie czuł się ograniczany.

Głos w sprawie postawy sędziego zabrał sam minister spraw wewnętrznych katolickiej Bawarii Stephan Mayer: „Nie mam żadnego zrozumienia dla jego decyzji. Niemcy są i pozostaną państwem ukształtowanym poprzez chrześcijaństwo" – zapewnił. Czyli wilk syty i owca cała: islamski kandydat na Niemca nie poczuł się źle z powodu widoku krzyża, sędzia poczuł się dobrze z powodu zdjęcia Jezusa ze ściany, minister wywodzący się z Unii Chrześcijańsko-Społecznej (CSU) zapunktował u wierzących w Boga lokalnych wyborców, a Niemcy są i pozostaną...

W kwestii formalnej, Afgańczyk sympatyzuje otwarcie z talibami. Na ławie oskarżonych zasiadł dlatego, że groził śmiercią rodakowi, który stał się katolikiem i zaczął chodzić do kościoła. Ponoć nawet oberwał za to od islamskich pobratymców. Na poczet kary domniemanemu 21-latkowi zaliczono kilka tygodni spędzonych w areszcie śledczym i skazano go na rok więzienia w zawieszeniu, jako że dotąd nie był karany, przynajmniej w Niemczech.

Sędzia nazywa się Klaus Schmid, jak po polsku Kowalski. Na szczęście rzecz nie dzieje się jeszcze w naszym kraju, a sędzia z Miesbach nie jest Polakiem.

eprasa.pl 4ec64585d0

Szanowni Państwo, dziękujemy za wszystkie listy i zachęcamy do korespondencji: redakcja@fratria.pl, lub tradycyjnie: Redakcja tygodnika „Sieci", ul. Finlandzka 10, 03-903 Warszawa

Uwaga, Olsztyn! Można pomóc

Hospicjum Domowe Caritas w Olsztynie od 2001 r. służy opieką paliatywno-hospicyjną dzieciom z województwa warmińsko-mazurskiego w ich rodzinnych domach. Hospicjum domowe jest formą opieki paliatywnej świadczonej w domu chorego, do którego dojeżdża zespół specjalistów. […] Towarzyszymy rodzinom od momentu zdiagnozowania nieuleczalnej choroby dziecka w codziennym zmaganiu się z jego chorobą.

W październiku tego roku pozyskaliśmy od Urzędu Miasta Olsztyn budynek, który wymaga gruntownego remontu, przebudowy i dostosowania do wymogów pozwalających nam sprawować kompleksową opiekę nad dziećmi.

W związku z tym przygotowujemy się do organizacji balu charytatywnego i planujemy przeprowadzić loterię fantową oraz aukcję przedmiotów wystawionych na licytację.

W zorganizowaniu balu przyświeca nam cel zebrania środków finansowych na Hospicjum Stacjonarne dla Dzieci w Olsztynie […].

Powyższa aukcja charytatywna zostanie przeprowadzona 10 lutego 2018 r. w Olsztynie w hotelu Omega. W związku z powyższym liczymy na Państwa otwarte serce i zwracamy się z serdeczną prośbą o ufundowanie nagród rzeczowych, które będą przedmiotem aukcji i loterii fantowej. Fundatorzy nagród zostaną przedstawieni podczas licytacji na balu, jak również będą mogli przedłożyć foldery reklamujące ich działalność, które zostaną udostępnione uczestnikom balu.

Środki finansowe, jakie pozyskamy ze zbiórki pieniężnej z loterii fantowej i aukcji, zostaną w całości przekazane na remont/modernizację budynku, jak również na wyposażenie sal/pokoi w sprzęt oraz aparaturę medyczną; to konieczne do dostosowania infrastruktury do standardów, jakim musimy sprostać, by przyjąć małych pacjentów i ich opiekunów do pierwszego Hospicjum Stacjonarnego dla Dzieci w Olsztynie.

W kwestii przekazania przedmiotów na aukcję i loterię prosimy się kontaktować z p. Elżbietą Dryją, nr tel.: +48 663 200 130 lub z p. Katarzyną Zarecką: + 48 663 200 006.

W imieniu Caritas Archidiecezji Warmińskiej serdecznie zapraszamy na bal charytatywny, który odbędzie się 10 lutego 2018 r. w Olsztynie, w hotelu Omega.

Osoby zainteresowane udziałem w balu charytatywnym prosimy o kontakt. E-mail: psycholog@hospicjum.artneo.pl, kierownik@hospicjum.artneo.pl.

Z wyrazami szacunku,
Zespół Hospicjum Domowego w Olsztynie

Od redakcji:
Szanowni Państwo, ręczymy za powyższą inicjatywę, znamy i cenimy pracę Hospicjum Domowego w Olsztynie. Jeśli ktoś może pomóc, jeśli ktoś może wziąć udział w balu, bardzo prosimy o uczestnictwo.

SIECI

ISSN 2544-2694

www.wSIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCA REDAKTORA NACZELNEGO:
PIOTR SKWIECIŃSKI

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL
TEL. (22) 616 36 00
UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY:
ŁUKASZ ADAMSKI, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWIŃSKI (BERLIN), LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, MARCIN FIJOŁEK, WITOLD GADOWSKI, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, KRYSTYNA GRZYBOWSKA, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, JACEK KARNOWSKI, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, PAWEŁ KORSUN, GRZEGORZ KOSTRZEWA-ZORBAS, CEZARY KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ ŁYSIAK, RYSZARD MAKOWSKI, ROBERT MAZUREK, MAJA NARBUTT, MARZENA NYKIEL, MACIEJ PAWLICKI, JAN PIETRZAK, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, MAREK PYZA, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ANNA SARZYŃSKA, PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI, PIOTR SKWIECIŃSKI, WOJCIECH STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIETLIK, EWA WESOŁOWSKA, MARCIN WIĄKO, BRONISŁAW WILDSTEIN, IGOR ZALEWSKI, PIOTR ZAREMBA, RAFAŁ ZAWISTOWSKI, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: JOANNA MAZUR, JOANNA.MAZUR@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY:
MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE:
ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI – KIEROWNIK
ANDRZEJ.SKWARCZYNSKI@FRATRIA.PL,
MACIEJ MAJTCZAK, LIDIA SŁOWIKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA:
EWA FALKIEWICZ, EWA.FALKIEWICZ@FRATRIA.PL,
ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL,
MATEUSZ ZELNIK, MATEUSZ.ZELNIK@FRATRIA.PL
OBRÓBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

FRATRIA grupa medialna

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 15 70, WWW.WSIECIPRAWDY.PL,
PRENUMERATA@FRATRIA.PL

WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL.
EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL: PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH" POD NUMERAMI: 22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE W GODZINACH 7^{00} – 17^{00}.
KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE
NAKŁAD: 129 570 EGZ.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL
BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL
TEL. (22) 616 36 00
TOMASZ DĄBROWSKI, TOMASZ.DABROWSKI@FRATRIA.PL
PAULINA KĄKOL – MENEDŻER DS. REKLAMY
PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
WOJCIECH KOPACZ – MENEDŻER DS. REKLAMY
WOJCIECH.KOPACZ@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW.
COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE).

PBC POLSKIE BADANIA CZYTELNICTWA

NA OKŁADCE: RADEK PIETRUSZKA/PAP, STEFAN MASZEWSKI/REPORTER, TOMASZ ADAMOWICZ/FORUM, BEATA ZAWRZEL/REPORTER, PAP/EPA/SERGEI CHIRIKOV

eprasa.pl 4ec64585d0

Jak wrobili gen. Błasika

Dotarliśmy do nagrania z ostatniego posiedzenia komisji Millera. Dyskusja ekspertów, którzy mają wyjaśnić śmierć państwowej elity, wygląda na farsę. Do ostatnich minut toczone są absurdalne spory, jak zapisać w raporcie to, czym nas karmiono przez długie miesiące, a co nie daje się udowodnić. Przyznają to sami członkowie KBWLLP. Mimo to założone przez nich na początku tezy – wina załogi i naciski ze strony gen. Błasika – zostają podtrzymane, choć nic tu nie trzyma się kupy



MAREK PYZA

Jest 25 lipca 2011 r. Tego dnia Komisja Badania Wypadków Lotniczych Lotnictwa Państwowego przyjmuje raport końcowy z badania katastrofy w Smoleńsku. Zanim to nastąpi, odbywa się dyskusja nad kilkoma newralgicznymi punktami tego dokumentu.

Centralną postacią jest szef komisji, jednocześnie minister spraw wewnętrznych i administracji Jerzy Miller. Chwilami można odnieść wrażenie, że wciela się on w rolę adwokata diabła, by sprowokować swoich podwładnych do klarownego wyjaśnienia wątpliwych fragmentów dokumentu. Być może tkwi w tym nawet jakaś siła, bo w ostatnim dniu pracy swojego zespołu z pozycji laika zadaje „ekspertom" wiele trudnych pytań. Ci nie umieją jednak wytłumaczyć mu kluczowych ustaleń. Powstaje niewyobrażalny chaos, którego nie potrafi uporządkować sam przewodniczący. Słychać, że przez 15 miesięcy pracy nie opanował podstawowej terminologii. Jego wypowiedzi brzmią tak, jakby komisja właśnie zaczynała badanie, a jej szef – niemający wcześniej do czynienia z tymi zagadnieniami – brał korepetycje z lotniczego elementarza.

ZIGNOROWANE PRZEPISY

Komisja jest święcie przekonana, że w ostatnich chwilach lotu w kokpicie znajdował się gen. Andrzej Błasik (nie ma na to dowodów, o czym przekonamy się za chwilę). Ale nawet przy tym założe-



eprasa.pl 4ec64585d0



Fot. Stefan Maszewski/REPORTER

eprasa.pl/e-prasa/

niu dyskutanci nie potrafią się zgodzić, czy obecność dowódcy Sił Powietrznych zakłócała pracę załogi, czy nie. Słychać usilne starania, by obarczyć go winą za tragedię. Nie są ustalane fakty, ale wydźwięk raportu. Błędów załogi mają dowodzić... wrażenia badaczy. Minister pyta, co to jest próbne podejście do lądowania. Chwilami jest nawet... wesoło, sala wybucha śmiechem.

Komisja deliberuje nad istnieniem zasady „cichego kokpitu" (ostatecznie dochodząc do wniosku, że takowa nie istnieje), powinnościami rosyjskich kontrolerów i wieloma innymi kwestiami. Konsensu brak. Nie byłoby to aż tak niepokojące, gdyby nie fakt, że mówimy nie o starcie działania komisji, lecz jej ostatnim posiedzeniu. Zrezygnowany Miller w pewnym momencie załamuje ręce: „Właściwie możemy zacząć pracę od początku".

Przyjrzyjmy się fragmentom tej dyskusji.

Jerzy Miller: *Ja nie przypuszczam, żeby „pozostawienie włączonego autopilota wynikało z nadmiernego obciążenia pracą dowódcy statku powietrznego, który w ten sposób chciał ułatwić sobie pilotowanie samolotu"* [cytat z raportu, s. 225. – przyp. red.].

Wiesław Jedynak: *Tak samo żeśmy zrobili w raporcie, bo jednak ja uważam, panie ministrze, że to było właśnie tak. Ten chłopak był sam, nie miał wsparcia od załogi, mówił przez radio, więc pozostawienie... Normalnie powinien odłączyć tego autopilota i iść w rękach, zgodnie z instrukcją użytkowania w locie. Więc albo to wynikało z tego, że oni w ogóle każdy lot tak robili – nie mamy na to dowodów – a w tym konkretnym przypadku myślę jednak, że będąc na jego miejscu, chyba bym zrobił podobnie. Tak się trochę w jego buty ubrałem.*

Jak widać, członkowie komisji zajmowali się zmyślaniem. Warto tu przypomnieć inny kłamliwy fakt. Przez wiele miesięcy z załogi Tu-154M robiono źle wyszkolonych samobójców, którzy – wbrew sztuce – zamierzali przeprowadzić nad Smoleńskiem (lotnisko bez systemu ILS) odejście w automacie. W lutym i kwietniu 2011 r. komisja dowiedziała się od Rosjan, że to prawidłowe działanie. Przeprowadziła testy na tupolewie o numerze 102. Okazało się, że to wykonalne, więc załoga zachowała się prawidłowo. To członkowie komisji wyszli więc na nieuków.

Osoby znające kulisy pracy KBWLLP opowiadają nam o jej spotkaniu z psychologiem w kwietniu 2011 r. Ekspert prowadził wykład o tym, jak to piloci w Smoleńsku wpadli w zgubne myślenie tunelowe, czego dowodem jest właśnie próba odejścia w automacie. Gdy mu przerwano, informując, że to jednak możliwe, miał tylko powiedzieć: „O cholera...".

Miller się orientuje, że podstawowe założenie raportu – przypisanie winy załodze – jest fałszywe. Bo w tej sytuacji odpowiedzialność spada na rosyjskich kontrolerów. Czuje, że jego ekipa stąpa po bardzo grząskim gruncie

Kwintesencją niekompetencji okazuje się sam przewodniczący Komisji Badania Wypadków Lotniczych Lotnictwa Państwowego. Minister sprawia wrażenie, jakby naprawdę w niczym się nie orientował.

Miller: *Zrozumiałem, że podejście na wysokość tych 100 metrów państwo uznają, że jest bezpieczne, i w związku z czym nikt nie ma prawa zabronić podejścia na 100 metrów. A co to... A to nie jest to próbne podejście?*

To szokujące, że szef komisji 15 miesięcy po katastrofie jeszcze się nie dowiedział, czym jest próbne podejście, czyli zejście do tzw. wysokości decyzji – w tym przypadku właśnie 100 metrów. Dalej mamy ciekawy spór dotyczący obowiązujących 10 kwietnia w Smoleńsku przepisów. Okazuje się, że rosyjscy kontrolerzy przy takich warunkach pogodowych nie powinni byli pozwolić załogom wykonywać nawet próbnych podejść.

Miller: *Przepraszam bardzo, ale to w takim razie pytanie następne. To znaczy, że nie mieli prawa podejść na 100 metrów?*
Jedynak: *Ale z którego punktu widzenia patrząc, panie ministrze?*

Miller się orientuje, że podstawowe założenie raportu – przypisanie winy załodze – jest fałszywe. Bo w tej sytuacji odpowiedzialność spada na rosyjskich kontrolerów. Szef MSWiA czuje, że jego ekipa stąpa po bardzo grząskim gruncie.

Miller: *Nie miał prawa zezwolić im na podejście na 100 metrów, czyli nie mieli... no nie, chwileczkę... bo teraz to ja za chwilę wywrócę przyczynę. Czyli co było praprzyczyną łańcucha kończącego się wypadkiem?*
Jedynak: *To jest ten szczegół. Dobrze. Bo zapomnieliśmy, że ten przepis dotyczy lotnictwa państwowego Federacji Rosyjskiej, a nie samolotu ze świata zewnętrznego, że się tak wyrażę.*

Jedynak się myli, co za chwilę sprostują jego koledzy.

Mjr Robert Benedict: *Z uwagi na to, że przyjęliśmy to, że to jest lotnisko wojskowe, a takie jest całe założenie, więc obowiązujące przepisy na tym lotnisku były przepisami lotnictwa państwowego Federacji Rosyjskiej. Niezależnie od tego, czy jest to nasz samolot, czy to jest ich. Takie mamy całe założenie. Bo inaczej, jeżeli mówimy, że tak nie jest, to całą wstawkę z ruchu lotniczego możemy wyrzucić do kosza i całą analizę tak samo. Dlatego, jeżeli... jeżeli...*
Miller: *To dlaczego panowie tu przytaczali AIP* [zbiór „cywilnych" przepisów lotniczych – przyp. red.] *rosyjskie, że dowódca załogi podejmuje decyzję? No to albo dowódca podejmuje, albo SKL* [kierownik strefy lądowania – przyp. red.] *podejmuje. Nie da się podejmować równolegle w dwóch miejscach decyzję dotyczącą tego samego...*

eprasa.pl 4ec64585d0



Wątpliwości Millera rozwiewa mjr Benedict.

Benedict: *Ta wersja, jeżeli chodzi o AIP, powstała w momencie, gdy my przytoczyliśmy w Moskwie przepisy dotyczące lotnictwa państwowego i w tym momencie powstała taka decyzja w MAK-u, że jest to lot międzynarodowy, nieregularny i rządzi się tylko i wyłącznie przepisami AIP. Bo doszli do wniosku, że to nie jest lotnisko wojskowe i nie obowiązują tam te przepisy. My udowodniliśmy, że obowiązują te przepisy, bo jest to lotnisko wojskowe i cała służba grupy kierowania lotami znała tylko i wyłącznie przepisy wojskowe, więc trudno było, żeby się opierała na przepisach międzynarodowych. I dlatego całość analizy poszła w tą stronę, że kierownik lotów powinien zabronić wykonywania próbnego podejścia i odesłać ten samolot na lotnisko zapasowe.*
Miller: *O ile pamiętam treść raportu, wcale tak tam nie jest napisane. A AIP na lotniskach wojskowych nie obowiązuje?*
Benedict: *[...] Po wyjściu z przestrzeni kontrolowanej decydują o tym przepisy lotniska, do którego się wykonuje loty. A takie przepisy to są przepisy wojskowe.*

Szef komisji wydaje się załamany „ustaleniami":

Miller: *Właściwie możemy zacząć pracę od początku.*

Tyle że to był koniec ich pracy. Ostatecznie raport się nie zmienił, główną winę przypisano załodze, a pośrednią – dowódcy Sił Powietrznych. Dywagacje z 25 lipca na niewiele się zdały.

CICHY KOKPIT NIE ISTNIEJE

Jeszcze ciekawiej wygląda dyskusja o „zakłócaniu pracy załogi". Znów zaczniemy od ignorancji przewodniczącego komisji.

Miller: *Łączymy cichy kokpit z wysokością. Czy Kazana wchodził na takiej niskiej wysokości? Moim zdaniem na przelotowej.*

Koledzy szybko prostują, że absolutnie nie miało to miejsca na 10 tys. metrów (tyle wynosi wysokość przelotowa). Na co Miller przytomnie zauważa:

Miller: *W związku z tym ja nie wiem, czy trafne jest w ogóle łączenie tych dwóch kwestii w jednym akapicie. To się czyta w ten sposób, że wchodzili im do kokpitu w sytuacji, kiedy poziom lotu był poniżej granicy, od której obowiązuje zasada cichego kokpitu.*

I tu zaczyna się prawdziwa tragikomedia. Szef komisji domaga się stanowczej decyzji co do jednej z głównych tez narracji MAK i ówczesnego obozu władzy w Polsce.

Miller: *Albo jest zasada cichego kokpitu, która obowiązuje poniżej pewnej granicznej wysokości – co oznacza, że powyżej nie obowiązuje; co oznacza, że wolno wchodzić do kokpitu – albo w ogóle nie przywoływać... Ja czegoś nie rozumiem z tą zasadą.*
Jedynak: *To znaczy, jak zwykle dobre chęci brukują piekło i za dużo chcieliśmy dobrego tutaj przekazać. Prawda jest taka, że w wojsku nie obowiązują żadne tego typu zasady, w związku z czym możemy ten akapit wyrzucić.*

To sensacyjne stwierdzenie. Przypomnijmy bowiem: od samego początku, gdy tylko pojawiła się teza o naciskach, setki razy „eksperci" lotniczy wbijali Polakom do głów, że ważni pasażerowie złamali zasadę cichego kokpitu – nie mieli prawa się pojawić w kabinie pilotów. To bajki, co wprost potwierdza (awangardową polszczyzną) oficer z Inspektoratu MON ds. Bezpieczeństwa Lotów:

Ppłk Dariusz Majewski: *Tak szczerze mówiąc, to powiem szczerze, że nie rozumiem tych wszystkich uwag. No bo albo jest jedna zasada, o którą przez cały czas, można powiedzieć, przez 14 miesięcy było mówione, że jest zasada cichego kokpitu od momentu, jak załoga ten... szefowa pokładu i całe porozumiewanie jest się przez interkom. Wewnętrzny. Czyli nie ma nikt w ten... A teraz wychodzi to, że są*

eprasa.pl 4ec64585d0

jakieś odstępstwa, że można wchodzić na tej wysokości, na tamtej nie można, może w takiej odległości, więc nie rozumiem... Powiem tak... i taka uwaga, że w wojsku nie ma zasady, to może i nie ma zasady, ale powiem, że teraz te słowa mnie przekonują, że w lotnictwie cywilnym też nie ma tej zasady.

Jedynak denerwuje się na kolegę i – zapominając, co powiedział przed chwilą – przekonuje jednak, że sterylny kokpit... obowiązuje. Choć nie do końca.

Jedynak: *Darek, nie rozpędzaj się, bo idziesz w złą stronę. Bo napisałem ten fragment, ja napisałem ten fragment, ja jestem tego autorem. Najzwyczajniej w świecie chciałem zaproponować rozwiązanie, które jest funkcjonalne i funkcjonuje. Nie mów, że nie ma, bo nawet są specjalne światełka w samolotach, które się zapala i są opisane „sterile cockpit", że od tego momentu z załogą można się porozumiewać tylko... My nawet mamy coś takiego jak taki pstryczek, że zamykamy drzwi i nikt nie wchodzi, nawet szefowa nie może wejść do nas. Bo musi specjalny szyfr użyć. To nie chodzi o to. Chodzi o to, że rzeczywiście to jest moment, kiedy analizujemy pewną sytuację, więc w tym miejscu, teraz to stwierdzam, że nie możemy tego typu analizy zrobić, bo musimy się opierać nie o to, co sobie wymyślamy, że dobrze, żeby było, tylko o to, co jest. W wojsku w tej chwili nie ma takiej zasady, nie ma opisanej w regulaminie lotów, nie ma się co o to obrażać, bo jej nie ma. W cywilu – jest. Jedyne miejsce, gdzie jest napisane, że trzeba mieć zgodę na wejście do kokpitu, to jest HEAD, gdzie jest napisane, że można tam wejść za zgodą komendanta. Ten pan uzyskał zgodę komendanta, więc w żaden sposób nie złamał przepisów zapisanych w instrukcji HEAD. Z tego też powodu zgłosiłem autopoprawkę w tej chwili, aby ten paragraf wycofać.*

Czy ten paragraf wycofano? Nie. W raporcie pozostawiono stwierdzenie: „Dodatkowym dystraktorem było nieprzestrzeganie niepisanej zasady »cichego kokpitu«, która nakazuje całkowitą koncentrację załogi na wykonywanym podejściu do lądowania. Tymczasem w krytycznym momencie przebywał w kokpicie dowódca Sił Powietrznych, a wcześniej dyrektor Protokołu".

Na co więc te wszystkie analizy i wnioski? Okazuje się, że nawet gdy komisja ustaliła coś zgodnie ze stanem faktycznym, zrezygnowała z umieszczania tego w raporcie.

JAK OBWINIĆ BŁASIKA

Wiele czasu KBWLLP poświęciła na analizę tego zdania raportu: „Praca załogi była chaotyczna, zakłócana przez pojawiające się w kabinie załogi osoby trzecie".

X: Na jakiej podstawie możemy stwierdzić, że pan generał Błasik był w kabinie?
Maciej Lasek: *Na podst... tutaj jest później, jest to dalej...*
X: *To jest dalej, ale ta podstawa jest wątpliwa [...]*

Benedict: *Znaczy ja mam tutaj takie, bo wcześniej mówiliśmy, że dowódca [chodzi o gen. Błasika – przyp. red.] się nie odzywał i tak dalej, i czy tutaj to nie jest za bardzo w kontekście tych wcześniejszych rzeczy, że „była zakłócana"? Może miękcej: „mogła być", ale... wcześniej mówimy, że „nie odzywał się, w żaden sposób nie ingerował". Ja mówię o dowódcy, nie? A teraz mówimy: „była zakłócana".*
Ppłk rez. Mirosław Milanowski: *Jeśli można, ja bym sugerował jednak usunięcie tego zdania, bo wszystko... ta cała analiza nasza wskazuje, że zarówno dowódca Sił Powietrznych zjawił się pod koniec lotu dopiero, kiedy wiedział, jaka jest sytuacja, jak i dyrektor Protokołu zjawił się wtedy, kiedy był potrzebny załodze. To świadczy o jednym, że tylko szefowa pokładu mogła przedtem w tej części nienagranej się pojawiać, bo te obie osoby, które się pojawiły później, się przywitały, czyli przez cały lot te osoby się nie pojawiały w kokpicie załogi, a więc to sugeruje, że to jednak był cichy kokpit. Natomiast kiedy powstała sytuacja, że trzeba po prostu określony problem rozwiązać, te osoby się pojawiły dopiero wtedy. I dlatego ja bym w ogóle tego „cichego kokpitu" i tej części, że osoby mogły zakłócać, nie zakłócać... one były tam potrzebne... bym nie eksponował w żaden sposób.*

Na to członkowie komisji nie mogli się zgodzić. Przecież trzeba było jakoś wskazać negatywną rolę gen. Błasika. Zaczyna się przerzucanie pomysłami, jak to ująć, by jak najmniej uciec od prawdy, a jednak wskazać na odpowiedzialność generała.

Milanowski: *Wiesiek, masz rację. Może odnieśmy to tylko do tej osoby, dowódcy Sił Powietrznych, a wcześniej nie kombinujmy.*
Miller: *Przepraszam, czy w takim razie zgodzilibyśmy się, że „praca załogi była zakłócana przez pojawiające się w kokpicie"... „przez pojawiającą się w kokpicie osobę trzecią"?*
Głos z sali: *Na pewno nie w tym miejscu...*
Miller: *Nie, nie, tylko że o taki wydźwięk chodzi?*

„Wydźwięk" to słowo klucz. Nie chodzi o fakty, ale właśnie o wydźwięk, wrażenie, sugestię. Cóż, że niepopartą żadnymi dowodami.

Jedynak: *Ja bym, jeżeli mogę... to zaproponował jednak odejście od słowa „zakłócana", tylko właśnie poszedł w kierunku takim, że „obecność osoby trzeciej na tym etapie lotu nie była uzasadniona potrzebami"... albo czymś takim.*

O komentarz do tego, jak ustalano treść raportu KBWLLP, poprosiliśmy Ewę Błasik. – To mnie nie zaskakuje, a wręcz satysfakcjonuje, że dowody manipulacji i fałszerstw są upubliczniane. Zachowanie członków komisji było żenująco niepoważne. Dziś widzimy to jeszcze wyraźniej. Albert Camus napisał, że „być wolnym, to móc nie kłamać". Ci ludzie już chyba nigdy nie poczują się wolni.

eprasa.pl 4ec64585d0



Nasz tygodnik od początku istnienia pilnował sprawy Smoleńska

Nie mieli żadnych podstaw, by snuć wnioski o rzekomej presji pośredniej mojego męża. Za te wszystkie cyniczne wymysły powinni być pociągnięci do odpowiedzialności. W komunizmie badanie katastrof wyglądało podobnie. Winni byli ci, którzy nie żyją. Tyle że wówczas wdów nie wystawiano na taką próbę, gdyż wszystko było utajnione. Ja byłam w innej sytuacji, mnie i moją rodzinę w wolnej Polsce publicznie skazano na niebywałą gehennę – mówi nam wdowa po generale.

ZIARNO KŁAMSTWA

Wróćmy do początku kłamstwa na temat generała. Wszystko zaczęło się 20 maja 2010 r., gdy po konferencji MAK Polska Agencja Prasowa, powołując się na źródła rosyjskie, podała, że to Andrzej Błasik był w kokpicie. Zaczynają się spekulacje: mimo fatalnej pogody kazał załodze lądować albo przynajmniej wywierał presję na pilotów. W telewizyjnych studiach wymieniają się dyżurni „eksperci" sugerujący taką przyczynę tragedii.

24 maja w TVN24 potwierdził to Edmund Klich, wtedy akredytowany przy MAK. Wskazał Rosjan jako „odpowiadających" za tę informację.

1 czerwca ujawniono rosyjski stenogram zapisów głosowej czarnej skrzynki. W tle słów „Mechanizacja skrzydła przeznaczona jest do..." przypisano niezrozumiałą wypowiedź gen. Błasikowi. Rosjanie w swoim raporcie twierdzą, że głos dowódcy Sił Powietrznych zidentyfikowali „polscy specjaliści" (do tego za chwilę dojdziemy), ale dodatkowo wspierają się „wynikami badań medyczno-traseologicznych", które „potwierdzają obecność tego wysokiego urzędnika w kabinie załogi aż do momentu katastrofy".

Chodzi o orzeczenie podpisane przez dr. n. med. A.W. Klujewa. Według niego to generał musiał być „osobą nieupoważnioną" w kokpicie, co stwierdza m.in. na podstawie obrażeń i miejsca znalezienia ciała. W ekspertyzie czytamy, że „w mniejszym stopniu świadczy o tym moment identyfikacji jego głosu". Dokument ten zawiera kilka przekłamań. Odnotujmy je, bo powoływano się na nie również w Polsce.

> Płk Kędzierski potrafił rozpoznać głos generała tylko w Moskwie, w Polsce już nie. To komisji Millera jednak nie przeszkadzało

Po pierwsze, ciała Andrzeja Błasika nie znaleziono w tym samym sektorze, co Artura Ziętka – w rzeczywistości nawigatora odnaleziono w sektorze drugim, podobnie jak technika Artura Michalaka, a drugiego pilota Roberta Grzywnę – w trzecim. W sektorze pierwszym zaś znaleziono ciało pierwszego pilota Arkadiusza Protasiuka. Czy oznacza to, że generał został odnaleziony w tym samym miejscu, co załoga? Zdecydowanie nie. Warto za to postawić inne pytanie: czy na tej podstawie można wnosić, że w kabinie pilotów w chwili katastrofy znajdowała się Jolanta Szymanek-Deresz, której ciało leżało 17 cm od dowódcy Sił Powietrznych? Albo Joanna Agacka-Indecka, też znaleziona w bliskiej odległości od generała?

Po drugie, nie jest prawdą, że „czołowa część samolotu" znajdowała się w sektorze pierwszym. Naprawdę była w drugim – na granicy z trzecim.

O tym wszystkim wiedziała komisja Millera. Nie dysponowała danymi medycznymi wszystkich ofiar (nawet ich nie poszukiwała), ale załogi – tak. Mogła je przeanalizować. Wtedy jednak podważyłaby tezę o obecności gen. Błasika w kokpicie.

KTO „ROZPOZNAŁ" GENERAŁA?

To pytanie wciąż nie doczekało się odpowiedzi. Spójrzmy najpierw na poniższy stenogram. Dotarliśmy do zapisu z posiedzenia komisji Millera 30 października 2010 r.

X: *Na jakiej podstawie możemy stwierdzić, że pan generał Błasik był w kabinie?*
Maciej Lasek: *Na podst... tutaj jest później, jest to dalej...*
X: *To jest dalej, ale ta podstawa jest wątpliwa z przyczyny prostej: każdy z nas wie, jak wygląda Tu-154 i przedział przed wejściem, że tak powiem, do kabiny. Jeżeli ktoś stał na przykład w przejściu, przykładowo, to w momencie uderzenia i jechania, że tak powiem, gwałtownego hamowania, przecież normalną sprawą jest, że jeżeli jestem w korytarzu, to znajdę się natychmiast w części czołowej i wpadnę do kabiny.*
Lasek: *Tak, ale zostało wykazane, rozpoznany głos z CVR należący do Błasika. Co prawda nie ma wyjaśnienia, jak został rozpoznany, ale myślę, że tutaj Sławek nam wyjaśnisz to i ten punkt zostanie wykreślony, bo...*

eprasa.pl 4ec64585d0



Fot. Lech Gawuc/REPORTER

Ppłk Sławomir Michalak: *Bardzo prosto: zidentyfikował go płk Kędzierski. I podpisał się pod tym.*

Michalak to pracownik Instytutu Technicznego Wojsk Lotniczych, który 10 kwietnia poleciał do Smoleńska, a następnie razem z rejestratorami do Moskwy. Uczestniczył w odsłuchach. 17 maja 2012 r. na wniosek Rosjan przesłuchiwała go prokuratura wojskowa. W protokole czytamy: „Na zadane pytanie – kto zidentyfikował mówcę odsłuchanej wypowiedzi generała Andrzeja Błasika – świadek zeznaje: nie potrafię w tej chwili jednoznacznie na to pytanie odpowiedzieć. Z całą pewnością musiał być to ktoś z przedstawicieli strony polskiej".

29 maja 2012 r. zeznawał ppłk Waldemar Targalski, pilot z PKBWL, który razem z Michalakiem (i prokuratorem wojskowym Zbigniewem Rzepą) poleciał 10 kwietnia ze Smoleńska do rosyjskiej stolicy: „Po moim powrocie do Moskwy na przełomie maja i czerwca 2010 r. zapoznałem się z dalszymi, opracowanymi pod moją nieobecność, wersjami roboczymi transkrypcji. Dostrzegłem odsłuchaną wypowiedź, która zgodnie z zapisem była przypisana śp. gen. Andrzejowi Błasikowi. Zapytałem innych doradców akredytowanego Edmunda Klicha, kto zidentyfikował głos generała Błasika. Robert Benedict powiedział mi, że głos generała Błasika zidentyfikował pułkownik Wiesław Kędzierski. Wiesław Kędzierski w rozmowie ze mną potwierdził ten fakt i stwierdził też, że jest pewien prawidłowości tej identyfikacji".

> *Zachowanie członków komisji było żenująco niepoważne. Za te wszystkie cyniczne wymysły powinni być pociągnięci do odpowiedzialności* – mówi Ewa Błasik

To kolejna osoba, która wskazuje na Kędzierskiego. A co zeznał – pod rygorem odpowiedzialności karnej – sam Kędzierski (26 kwietnia 2012 r.)? „Na zadane pytanie, czy świadek był zaangażowany w prace MAK w Moskwie nad odsłuchem i spisaniem zapisu rejestratora dźwięku MARS-BM, świadek zeznaje: Nie brałem udziału w tych pracach. W MAK pracowali przy tym członkowie komisji. Ja nie byłem członkiem komisji, zabezpieczałem jedynie prace komisji pod względem językowym. Odsłuch i spisanie treści wykonywali zarówno Polacy, jak i Rosjanie z MAK. Ja jedynie odbierałem od grupy odczytującej te zapisy spisanych przez nich treści z korespondencji radiowej w języku rosyjskim i wykonywałem ich tłumaczenia na język polski. […] Na zadane pytanie zeznaję, że ja nie uczestniczyłem w identyfikacji głosu generała Błasika na nagraniu z rejestratora. Niekiedy, sporadycznie, gdy byłem obecny w laboratorium, gdzie pracowano nad odsłuchem, słyszałem fragmenty nagrania z rejestratora głosu. Mogę powiedzieć, że barwa jednego z zarejestrowanych głosów była moim zdaniem głosem generała Błasika. Z tego, co pamiętam, podzieliłem się tym swoim spostrzeżeniem, to znaczy stwierdziłem, że słyszany przeze mnie głos na tym nagraniu był głosem generała Błasika. Nie pamiętam, jakie słowa były wypowiedziane. Pamiętam, że nagranie to było puszczone w lekko zwolnionym tempie. Pamiętam jednak, że rozpoznałem brzmienie głosu Andrzeja Błasika po specyficznym, niskim tonie. […] Na zadane pytanie zeznaję, że ja swoje spostrzeżenie co do odtwarzanego głosu powiedziałem po polsku. Ja nie kierowałem tej wypowiedzi do nikogo, w zasadzie można powiedzieć, że ja powiedziałem to do siebie".

Krótko mówiąc: winnego brak. Choć w komisji Millera nikt nie miał wątpliwości, że rozpoznanie głosu generała można „zawdzięczać" Kędzierskiemu. Co więcej – jego podpis widnieje pod pierwszą, rosyjską wersją stenogramu z zapisu czarnej skrzynki. Do tej postaci jeszcze wrócimy.

KOMPILACJA MILLERA

31 maja 2010 r. komisja Millera zleciła badania fonoskopijne zapisu rejestratora Centralnemu Laboratorium Kryminalistycznemu Policji. Jako konsultantów wskazała trzech pracowników 36. specpułku oraz ppłk. Sławomira Michalaka. 24 kwietnia 2011 r. otrzymała ekspertyzę. Żadnej wypowiedzi nie przypisano gen. Błasikowi.

5 maja 2011 r. ponownie zbiera się komisja. Wtedy – z ust Wiesława Jedynaka

eprasa.pl 4ec64585d0

– pada słynne już zdanie: „Teraz, jeżeli zaczniemy kompilować te historie, to będzie kłopot”. Chodzi o ustalenie, na którym stenogramie będzie pracować KBWLLP. Zapada decyzja, że po to zamówiono ekspertyzę w CLKP, by właśnie ją uznać za najbardziej wiarygodną.

Mija tydzień i podejście się zmienia. 13 maja 2011 r. postanowiono jednak skompilować kilka różnych stenogramów. Ewidentnie chodzi o jedno: umieścić w kokpicie generała. Maciej Lasek naciska: „My wiemy, albo generalnie: w przestrzeni medialnej wiadomo, kto tam był, na podstawie analiz traseologicznych, wiadomo, kto tam był”. I proponuje, by „w analizie napisać”, „bez nazwiska”, że to był „pan generał”. Jedynie płk Mirosław Wierzbicki sugeruje, że powinno się w takim razie zrobić nowy odpis, ale wiceszef komisji płk Mirosław Grochowski znajduje kontrargument: „Nie opierając się absolutnie na raporcie MAK-u, materiałach, które tam zostały zebrane, naszym tłumaczem jest człowiek, który rozpoznał głos generała Błasika, i to też jest element, który nas upewnia w tym, w tej fazie, czyli w tym momencie, kiedy mówimy o kabinie i o tych ostatnich sekundach”.

Wróćmy jeszcze do zeznań owego tłumacza, czyli płk. Kędzierskiego. W protokole z jego przesłuchania czytamy: „W tym miejscu świadkowi odtworzono kopię cyfrową zapisu dźwiękowego – kanał 3 – z rejestratora MARS-BM samolotu Tu-154M nr 101 – kopię z nośnika opisanego opisem 456/AK/192/2010/11 oraz kopię po korekcji dokonanej przez Instytut Ekspertyz Sądowych, po czym świadek zeznaje: po odsłuchaniu odtworzonego mi zapisu stwierdzam, że nie rozpoznaję wśród głosów wypowiadających na nagraniu jakiegokolwiek słowa, nie rozpoznaję tonu głosu generała Błasika”.

Wniosek? Płk Kędzierski potrafił rozpoznać głos generała tylko w Moskwie. To komisji Millera wystarczyło.

Emerytowany pułkownik (rocznik 1952) nie zasiadał w komisji Millera. Był jej tłumaczem. Doświadczonym, bo uprawnienia tłumacza wojskowego języka rosyjskiego posiada od 1990 r.



Jak powiedział prokuratorowi, nadały mu je władze Federacji Rosyjskiej. Być może coś mu się pomyliło w datach, bo w 1990 r. nie było jeszcze FR, a wciąż istniał ZSRS. To postać, która, jak się okazuje, w czasie badania katastrofy była aktywna również zakulisowo. Dbała o to, by nic nie zakłóciło narracji wymierzonej w śp. dowódcę Sił Powietrznych.

Oddajmy raz jeszcze głos Ewie Błasik: *– Z każdej strony próbowano zamknąć mi usta. Płk Kędzierski, który przypisał mojemu mężowi słowa wypowiadane przez drugiego pilota, poprzez adiutanta Andrzeja, próbował wydawać mi polecenia. Żądał, bym się nie wypowiadała o katastrofie smoleńskiej, bym mówiła, że nic na ten temat nie wiem i że nie znam się na lotnictwie. Najwygodniej dla tych wszystkich kłamców byłoby, gdybym milczała. Ich nikczemna postawa tym bardziej determinowała mnie do kontrowania prymitywnych kłamstw i mówienia prawdy o moim śp. mężu.*

Czy członkowie komisji Millera i jej współpracownicy zostaną pociągnięci do odpowiedzialności, jak chciałaby wdowa? To bardzo prawdopodobne. Wśród kilku prowadzonych w Prokuraturze Krajowej śledztw dotyczących katastrofy toczy się i takie, w którym badany jest wątek poświadczenia nieprawdy w raporcie KBWLLP. Dotyczy wielu kwestii pojawiających się w dokumencie, m.in. obecności w kokpicie dowódcy Sił Powietrznych.

TYLKO W TV W POLSCE PL OGLĄDAJ NAGRANIA Z KOMISJI MILLERA

eprasa.pl 4ec64585d0



Nasz wzrost gospodarczy, sytuacja budżetu, przewidywalne rządy – to jest dostrzegane, nasi partnerzy to widzą, pytają, jak nam się udało pomóc rodzinom, a jednocześnie poprawić sytuację finansów publicznych. Rozumieją też, że musimy zmienić sądownictwo. Często się dziwią, że robimy to dopiero teraz

Fot. PAP/Radek Pietruszka

Polska imponuje

Z prezydentem Andrzejem Dudą rozmawia w Davos Michał Karnowski dla wPolityce.pl

Panie prezydencie, wyjątkowo mocne polskie uderzenie obserwujemy w tym roku na Forum Ekonomicznym w Davos. Jest pan, jest premier Mateusz Morawiecki, są szefowie polskich koncernów. Można odnieść wrażenie, że – słusznie – skończył się czas tylko tłumaczenia, odpowiadania na zarzuty, działania reaktywnego, a zaczęło się aktywne promowanie tego, co naprawdę w Polsce się dzieje?

Andrzej Duda: Na pewno jest to duża zmiana podejścia. To, że jesteśmy tutaj obaj, pan premier i ja, można uznać za mocne uderzenie. Ale sprawa jest prosta: my chcemy zbudować coś w rodzaju globalnej koalicji na rzecz gospodarczego rozwoju Polski. I tutaj, w Davos, na światowym spotkaniu liderów państwowych i gospodarczych można to robić najlepiej, tu są najważniejsi ludzie, osoby decyzyjne. By najlepiej wykorzystać tę szansę, przyjechaliśmy tu obaj z premierem, uznając, że da to efekt synergii: pan premier będzie się spotykał przede wszystkim z szefami rządów, a ja wykorzystam to, że są tutaj prezydenci, głowy koronowane, z którymi moje rozmowy są bardziej naturalne. Obaj spotykamy się także z przedstawicielami świata gospodarki. I tak działamy, mamy własne agendy spotkań.

A do tego jest obecny Bank Pekao, na którego debacie był pan najważniejszym gościem.

eprasa.pl 4ec64585d0

To było spotkanie dla dużych partnerów biznesowych banku. Zdecydowałem się wziąć w tym udział, by podkreślić wagę tego banku dla polskiej gospodarki oraz moje wsparcie dla budowy siły i ekspansji polskich przedsiębiorstw. Ale była to też dla mnie możliwość, by kolejny raz porozmawiać z przedstawicielami dużego biznesu inwestującego w naszym kraju. Pytałem, jak im się pracuje w Polsce, jak robią tu interesy, jak oceniają warunki swojego działania.

Odpowiedzi były bardzo pozytywne, oni też widzą w reformującej się Polsce nową energię. Trzeba iść w tym kierunku, dlatego po spotkaniu z prezesem fundacji organizującej Światowe Forum Ekonomiczne w Davos opowiadam się za jeszcze większą obecnością tutaj Polski w przyszłym roku, być może zorganizujemy własny pawilon, do którego będzie można przyjść, porozmawiać w nim, zapoznać się z naszą ofertą. Jesteśmy najlepiej rozwiniętym i dynamicznie się rozwijającym państwem Europy Środkowej i uważam, że absolutnie musi być nas stać na taką aktywność, podobnie jak to robią niektóre, równie ambitne, państwa.

Nie obawia się pan prezydent, że ta optymistyczna relacja o postrzeganiu Polski, o tym, jak nas widzą inni, zostanie uznana za przesadzoną? Przecież nawet „The Wall Street Journal" w wydaniu kolportowanym w Davos zarzucił obecnym władzom wyrzucanie Lecha Wałęsy z historii Polski, a w tekście zaliczył rządzący obóz do populistów. Przepaść między faktami a przyklejaną nam maską wciąż jest duża.

Sprawa jest prosta: wszyscy, którzy są duzi, poważni, liczą się i – co najważniejsze – mają ambicję, by iść dalej, by wzmacniać się i reformować, jeszcze lepiej: konkurować, są atakowani, próbuje się osłabić ich pozycje.

Przez kogo?

Przez tych, którzy teraz są duzi, mocni i obawiają się, że wyrośnie im nowy konkurent. My ruszyliśmy bardzo dynamicznie do przodu, twardo realizując polskie interesy. Zakleiliśmy już w dużym stopniu lukę VAT i inne wyciekające dochody podatkowe, ograniczyliśmy przemyt paliw, zatrzymaliśmy wiele nieuczciwych praktyk. To są wszystko ogromne pieniądze, które do tej pory ktoś zabierał.

Jest wielu ludzi, a pewnie i firm oraz rządów, które mają powody, by czuć wściekłość do dobrej zmiany roku 2015, by się irytować, że teraz jest w Polsce władza, która poważnie podchodzi do obowiązków państwowych, traktując rządzenie jako służbę publiczną. Ja temu, że rzucają przeciwko Polsce różne fałszywe bomby, się nie dziwię. To twarda gra konkurencyjna. Można się było tego spodziewać.

Czyli zdaniem pana prezydenta to cena za reformy wewnętrzne? Odrzucenie patologii w wielu wymiarach?

Tak. Oczywiście przykre jest dla Polaka, gdy widzi w jakiejś zagranicznej – często poważnej – gazecie artykuł, w którym pisze się o Polsce źle, w którym podaje się nieprawdę. Trzeba z tym walczyć, trzeba mówić prawdę. Ale nie wolno się bać i wycofywać. W świecie polityki i biznesu nie szanuje się słabych.

A konkretnie, panie prezydencie: czy np. o Lecha Wałęsę ktoś pana pytał?

Jeden czy dwa razy, ale raczej z ciekawości niż jakiegoś oburzenia. Światowi przywódcy potrafią ocenić fakty, mają swoje informacje o tym, co się dzieje w Polsce, i widzą, jak dynamicznie postępują nasze reformy. Odpowiadałem, że jeśli ktoś zakłamuje historię najnowszą w Polsce, to nie my, ale Lech Wałęsa, który niestety nie potrafi się przyznać do niechlubnych zdarzeń z własnego życia. Zdarzeń, których ujawnienia nie chce przyjąć do wiadomości mimo jednoznacznych dokumentów z lat 70., których autentyczność potwierdzili biegli. Cóż, znaleziono postać, która jest znana na świecie, i używa się jej do ataku na nas.

Polacy, ludzie, którzy znają polską scenę polityczną, rozumieją jednak, że nie my jesteśmy tutaj stroną atakującą i nie my mamy problem z historią, z prawdą. Podkreślam jednak: gdyby nieuczciwe teksty i oparte na nieprawdach ataki miały paraliżować czy odbierać skuteczność, to żaden lider tu obecny nie mógłby nic zrobić, bo każdego to tak czy inaczej dotyka. Spójrzmy choćby na prezydenta Donalda Trumpa, jak on jest traktowany przez media lewicowe. Ale nie przejmuje się, robi swoje. My też robimy swoje, zgodnie ze starym powiedzeniem:...karawana jedzie dalej.

Ta światowa karawana zmierza w jakimś kierunku? Da się z tych wszystkich rozmów wydobyć jakiś wspólny mianownik?

Odpowiem tak: wciąż Chiny, współpraca z nimi, są głównym tematem bardzo wielu rozmów. Na panelach, w których brałem udział, wskazywałem inicjatywę Trójmorza jako format, w którym możemy szukać równowagi we współpracy z tą wciąż rosnącą potęgą. Dla Polski siła Chin oznacza konieczność zbudowania korytarzy drogowych także z Południa na Północ. Cieszę się, że ten rząd konsekwentnie buduje Via Carpatia, bo ta droga z Salonik do Kłajpedy jest nam niezbędna. No i oczywiście jest ogromne zainteresowanie prezydentem Trumpem, jego wizytą. To największa gospodarka świata, która ostro ruszyła do przodu, to mocarstwo, to potęga militarna.

Ważnym tematem jest także Bliski Wschód. Dotyczyła tego debata, w której wziąłem udział, a obecni byli przede wszystkim niezwykle doświadczeni w sprawach bliskowschodnich John Kerry i Tony Blair. Zabierali też głos czołowi politycy, premierzy i koronowane głowy krajów arabskich. To była rozmowa mniej gospodarcza, bardzo polityczna i ciekawa, z wieloma interesującymi wnioskami końcowymi.

A Unia Europejska?

Mieliśmy ważną rozmowę na ten temat w formule lunchu roboczego. Pojawił się wątek wystąpień prezydenta Emmanuela Macrona i kanclerz Angeli Merkel, żywo je komentowano.

W jaki sposób?

Sprawa jest jasna: Unia Europejska wymaga reformy i wszyscy to rozumieją. Powiedziałem, że w mojej opinii powinniśmy prowadzić politykę przede wszystkim rozsądną. A to znaczy, że w jednym pokoju siedzimy

eprasa.pl 4ec64585d0

i negocjujemy warunki Brexitu, by były jak najlepsze dla obu stron, by zachować możliwie najwięcej pól współpracy. A w drugim pokoju jednocześnie zastanawiamy się, jak zmienić Unię, by znowu stała się atrakcyjna, by odzyskała dynamizm i świeżość. By ludzie poczuli, że coś od nich zależy, że mają wpływ na wybór osób, które rządzą w UE, na podejmowane decyzje. Powiedziałem to mocno i wyraźnie.

Efekt był dla mnie pozytywnie zaskakujący: wiele słów i gestów wsparcia. Wszyscy czują, że to się wszystko za bardzo przesunęło w kierunku podejmowania decyzji przez największych graczy, ponad innymi.

Powiedział również pan prezydent, że drzwi do Unii powinny pozostać otwarte.

Tak, bo są dwa ważne powody ku temu. Po pierwsze, to szansa na zwiększenie potencjału, na budowę siły do skutecznego mierzenia się z Chinami i Stanami Zjednoczonymi. Po drugie, bo to powoduje, że państwa mające perspektywę wejścia do naszej wspólnoty, znajdują w sobie determinację do reform wewnętrznych, do demokratyzacji, do budowy standardów i lepszego życia dla obywateli. To zaś wzmacnia cały kontynent, buduje przestrzeń wspólnych wartości i zaufania, procentuje zwiększeniem handlu. Dlatego te drzwi muszą pozostawać otwarte.

Jakie kraje ma pan prezydent na myśli?

Ukrainę, Mołdawię, Gruzję, kraje bałkańskie, które są jeszcze poza wspólnotą. Ale mówiłem też, że każde państwo w Unii ma prawo stawiać swoje sprawy, domagać się głosu, nie może być spychane na pozycje, gdzie ma tylko wykonywać decyzje innych. Podkreślałem, że Polacy są bardzo prounijni, ale takiego traktowania sobie nie życzą ani go nie zaakceptują.

Odrzucenie na scenie politycznej autorów kampanii „ulica i zagranica" w jakiejś mierze to potwierdziło.

Polacy mają doświadczenie zaborów, niemieckiego i sowieckiego zniewolenia w czasie II wojny światowej, kiedy nie mieli własnego państwa, mają w pamięci prawie pół wieku ustroju, w którym rządziło inne państwo i to ono decydowało, kto będzie władzą w Polsce, co będzie Polakom wolno, jak będą żyli, w co mają wierzyć i co myśleć. Mamy więc awersję na sytuacje, gdy ktoś próbuje za nas decydować, coś na nas z zewnątrz wymuszać. Wyczuwamy takie próby doskonale i je odrzucamy.

> Przedstawiciele dużego biznesu inwestujący w naszym kraju widzą w reformującej się Polsce nową energię

A Rosja? Widziałem, że ma własny bogaty pawilon, ale na salonach nie jest chyba przyjmowana entuzjastycznie? Podeptanie reguł, sięgnięcie po agresję w relacjach międzynarodowych, jest pamiętane.

Tak, to wybrzmiewa. Może nie jest to ostentacyjne, ale ten dystans, rozczarowanie postawą Rosji, brak akceptacji dla metod siłowych są wyraźnie widoczne. Podczas jednej z debat występowali wicepremier Rosji i prezydent Ukrainy, doszło do mocnej wymiany zdań. Reakcja większości uczestników nie pozostawiała wątpliwości, co myśli o tej sprawie.

Czy można dziś postawić jakąś prognozę ogólną? Liderzy świata są optymistami? Czy też widać jakiś kryzys za rogiem?

Nie widzę jakiegoś niepokoju. Generalnie widać poważne podejście do tematów, widać troskę. Niepokoi sytuacja na Bliskim Wschodzie, gdzie jest źródło wielu problemów, choćby także imigracji. Proszę pamiętać, że polska jest aktywnym członkiem koalicji przeciw państwu islamskiemu, co jest dostrzegane. Spotkałem się choćby z królem Jordanii Abdullahem II, który nam za to zaangażowanie dziękował i darzy Polskę wyraźną sympatią.

Czy fakt stabilności politycznej w Polsce, mocnego wsparcia dla obozu Jarosława Kaczyńskiego, jest dostrzegany? Bo dziś już nie można mówić, że zmiana roku 2015 była przypadkiem i na chwilę.

Tak, to jest równie ważne jak wzrost gospodarczy, który mamy, dobra sytuacja budżetu, przewidywalne i umiarkowane rządy. To jest dostrzegane, nasi partnerzy to widzą, pytają, jak nam się udało pomóc polskim rodzinom, choćby przez 500+, a jednocześnie poprawić sytuację finansów publicznych. Dostrzegają nacisk na innowacje, rozwój, widoczne także w moim, prezydenckim wsparciu dla start-upów i polskiej ekspansji gospodarczej za granicą. Wielu tak ambitny program imponuje i otwarcie o tym mówią, gratulując przy okazji. Nie powiem, że nie jest miło.

Ale gdy pytają o sądy, to pewnie jest mniej miło?

Pan redaktor żartuje? Nasi partnerzy rozumieją, że musimy zmienić sądownictwo, przede wszystkim usuwając resztki komunistycznego dziedzictwa. Często się dziwią, że dopiero teraz. Trudno im uwierzyć, że w wymiarze sprawiedliwości są jeszcze sędziowie, którzy służyli tamtemu ustrojowi w okresie stanu wojennego czy należeli do PZPR. A już przedsiębiorcy, którzy mieli styczność z Polską, doskonale wiedzą, że to, co było, jest nie do obrony, że reforma była konieczna.

Szkoda, patrząc na szansę, jaka otwiera się przed Polską, że tzw. totalna opozycja nie umie normalnie rywalizować i rzuca na szalę już nawet zarzut „promowania faszyzmu", który jest po prostu haniebny.

Ci ludzie zobaczyli, że można rządzić państwem inaczej, odpowiedzialnie. Większość ich tez i założeń rozsypała się, zbankrutowała. W kraju nie mają posłuchu, idą więc za granicę, gdzie niektórzy nasi konkurenci czy ideologiczni przeciwnicy z zadowoleniem ich wykorzystują. Mam tylko nadzieję, że kiedyś zrozumieją, jak wielką krzywdę czynią ojczyźnie, i przeproszą. Bo Polacy to już chyba dostrzegli.

eprasa.pl 4ec64585d0



Fot. PAP/Radek Pietruszka

Mamy czym się pochwalić

Możemy pokazać na własnym przykładzie, co się dzieje, gdy rządy obejmuje obóz polityczny naprawdę wierzący w to, że państwo może służyć społeczeństwu i gospodarce że państwo to nie jest piąte koło u wozu wielkiego kapitału że procedury finansowe, podatkowe to nie jest obszar, w którym przestępcy mogą sobie hulać jak wiatr po dzikim polu że możemy zastosować nowoczesne metody korporacyjne do analizy danych, tzw. big data w służbie prawa

Z premierem Mateuszem Morawieckim rozmawia w Davos Michał Karnowski dla wPolityce.pl

eprasa.pl 4ec64585d0

Panie premierze, rozmawiamy w Davos, w Szwajcarii, na Światowym Forum Ekonomicznym. I można powiedzieć, że nasza sytuacja jest tutaj ciekawa: z jednej strony duża stabilność polityczna, bardzo wysokie poparcie dla pana rządu, duży i stabilny wzrost gospodarczy, dobra sytuacja budżetu i dobry klimat dla inwestycji. Z drugiej strony mamy liczne nieprawdziwe opowieści o naszym kraju, próbę opisania zmiany 2015 r. jako jakiejś dziwnej zawieruchy. Spotkania takie jak w Davos, z liderami politycznymi i gospodarczymi, to dobra okazja do odkłamania przekazu. Co pan mówi ludziom, z którymi się pan spotyka?

Mateusz Morawiecki: Mój przekaz jest bardzo optymistyczny, ponieważ bardzo optymistycznie postrzegam perspektywy polskiej gospodarki, stabilność, którą osiągnęliśmy. Zarówno tę w skali makroekonomicznej, jak i mikrogospodarczej polskich przedsiębiorstw. Mamy zrównoważoną gospodarkę i to jest oczywiście bardzo ważny argument w rozmowach na tematy gospodarcze. Mam też bardzo dobrą wiadomość, jeśli chodzi o tematykę polityczną. Jest dostrzegane to, że my rozmawiamy z Brukselą, że chcemy dochodzić do porozumienia, a jednocześnie chcemy bronić naszych reform i pokazujemy istotę zmian wprowadzanych w Polsce.

Czyli?

To są reformy idące bardzo mocno w kierunku podniesienia jakości zarządzania państwem, poprawy ustroju politycznego, poprawy ustroju społecznego w Polsce. Mówię o tym, tłumaczę to podczas spotkań w Davos. Ale to forum ma swoją specyfikę i nie jest to głównym tematem rozmów. Tu widać zresztą doskonale, że na szczęście ta nerwowa atmosfera wprowadzana przez niektóre media nie ma przełożenia na postrzeganie Polski w zagranicznych debatach, spotkaniach. Ludzie podejmujący decyzje na świecie mają zwykle zdolność i narzędzia do realnej oceny sytuacji, rozumieją, że w każdym kraju w toku ostrej walki politycznej padają różne, nie zawsze mądre wypowiedzi. Najważniejsi politycy z krajów zachodnich to rozumieją i nie mam problemu z przedstawieniem Polski nie tylko jako kraju rozwijającego się w sposób zrównoważony i solidarny, lecz także jako państwa w pełni demokratycznego, przewidywalnego w obszarach bezpieczeństwa militarnego i energetycznego. Stoją zresztą za nami twarde dane: Polacy należą do społeczeństw najbardziej popierających członkostwo w Unii Europejskiej. Słowem – mocno pokazujemy tutaj, w Davos, nasze racje.

> Jest dostrzegane to, że rozmawiamy z Brukselą, że chcemy dochodzić do porozumienia, a jednocześnie chcemy bronić naszych reform

Dyskusja o przyszłości Unii Europejskiej też się zapewne w pana rozmowach przewija?

Tak, i wychodząc z pozycji zdecydowanie proeuropejskich, wskazujemy też, że Unia Europejska nie powinna się przemieniać w monolit, gdzie nie obowiązują zasady partnerskie, gdzie młodszymi starsi chcą sterować. Narody chcą „Europy Ojczyzn", jak to nazwał śp. prezydent Lech Kaczyński. Podkreślam, że to nie Polska jest problemem Europy, to problemy Europy są zadaniem do rozwiązania dla wszystkich państw.

To już pana trzecia wizyta w Davos jako przedstawiciela polskiego rządu, choć pierwsza w roli premiera. Idą za tym jakieś różnice?

Przekaz pozostaje zasadniczo ten sam, także w kwestiach europejskich. Potrzebujemy zjednoczonej, silnej, konkurencyjnej, solidarnej Europy. Podkreślam w rozmowach z premierami, np. Danii, Norwegii, Holandii, że Polska jest promotorem jednolitego rynku europejskiego, promotorem konkurencyjności. Mówię, że czasami, by iść do przodu, trzeba się na chwilę zatrzymać, przedyskutować tematy, podjąć na spokojnie decyzje. Podkreślam wagę walki z rajami podatkowymi, naszą troskę o uszczelnianie systemu podatkowego.

Tutaj może pan pokazać liczby, które robią wrażenie: 40 mld zł więcej w budżecie za ubiegły rok.

Na to składa się 30 mld zł z samego VAT, do tego bardzo dobry wynik na CIT, czyli podatku od zysku firm. Nikt się tego nie spodziewał, moi rozmówcy są pod dużym wrażeniem, są zainteresowani, jak to zrobiliśmy. Jak nam się udało uderzyć, jeszcze gdy byłem w Ministerstwie Finansów, w podatkowe schematy optymalizacyjne niektórych międzynarodowych firm, co jest problemem dla większości państw europejskich. W Davos od lat, także w tym roku, dyskutuje się, jak sprawić, by największe koncerny choćby część należnego podatku płaciły tam, gdzie prowadzą biznes.

Widziałem kalendarz pana spotkań w Davos – wypełniony od rana do nocy, liderzy polityczni i gospodarczy. Jest jakiś wspólny mianownik?

Chyba tak, staramy się sklejać perspektywę europejską, światową, wpływać na sposób konstruowania wspólnot politycznych i gospodarczych, wzmacniać pozycję Polski. Pokazywać, co naprawdę się w Polsce dzieje, przekonywać do naszej wizji. Mamy czym się pochwalić, możemy pokazać na własnym przykładzie, co się dzieje, gdy rządy obejmuje obóz polityczny naprawdę wierzący w to, że państwo może służyć społeczeństwu i gospodarce, że państwo to nie jest piąte koło u wozu wielkiego kapitału, że procedury finansowe, podatkowe to nie jest obszar, w którym przestępcy mogą sobie hulać jak wiatr po dzikim polu, że możemy zastosować nowoczesne metody korporacyjne do analizy danych, tzw. big data w służbie prawa. To wszystko dało nam

eprasa.pl 4ec64585d0



Fot. Shutterstock

ogromny sukces. Kiedy pokazuję te dane i wskazuję, że w efekcie deficyt budżetowy jest mniejszy o kilkadziesiąt miliardów, mimo przekazania na cele społeczne dużych sum, to moi rozmówcy zgadzają się, że to, co robimy ma sens, że ten model działa bardzo dobrze.

A z perspektywy globalnej, jak pan odbiera tegoroczne spotkanie w Davos? W ubiegłym roku było ono w cieniu potęgi chińskiej, teraz jakby mniej widocznej. Bardzo oczekiwana jest natomiast wizyta prezydenta Stanów Zjednoczonych Donalda Trumpa. Świat jest stabilny czy rozwichrowany? Optymistyczny czy pesymistyczny?

Droga zrównoważonego rozwoju gospodarczego, którą idziemy w Polsce, jest bardzo zbieżna z myśleniem dominującym w Davos. Nasze doświadczenia budzą duże i szczere zainteresowanie. Prezydent Donald Trump podkreśla: „Wolny handel, ale handel uczciwy", „Free trade and fair trade". Proszę spojrzeć na nasz bilans handlowy z Chinami: eksportujemy towary za 2 mld dolarów, ale importujemy za 24 mld dolarów. Czyli mamy niezrównoważony handel z Chinami w proporcji 1 do 12. Przykładów takiej nierównowagi można ze świecą szukać. Zgadzam się tu z prezydentem Trumpem, taka sytuacja to nie jest free trade and fair trade. Co warte podkreślenia, Polacy potrafią produkować i eksportować do wszystkich krajów świata, w całym obrocie mamy wyższy eksport niż import, mamy nadwyżkę handlową. Musimy wspólnie szukać sposobu na uczciwy handel między krajami, by złe praktyki nie zaburzały wymiany handlowej. To jest obszar numer jeden w tych rozmowach.

> Ludzie podejmujący decyzje na świecie mają zdolność i narzędzia do realnej oceny sytuacji. Nie mam problemu z przedstawieniem Polski jako państwa w pełni demokratycznego

A obszar numer dwa?

To coś też dla nas niezwykle ważnego – troska o małe i średnie przedsiębiorstwa. W Polsce prawie wszystkie są takie, nie mamy globalnych czempionów, bo po II wojnie światowej rozwijaliśmy się fatalnie ze względu na system komunistyczny. Dopiero teraz powoli staramy się wspinać po tej drabinie innowacyjności i wartości dodanej.

Na koniec pytanie może trochę z boku tych ważnych debat, ale istotne dla Polaków. Uderza w Davos i okolicach brak kopcących kominów, gdzieniegdzie unosi się z nich co najwyżej dymek pary. Kiedy i w Polsce skutecznie zadbamy o czyste powietrze? W exposé wskazał pan to jako jeden z celów pańskiego rządu.

50-letnich zaniedbań nie da się załatwić w dwa lata. Jako pierwszy rząd podchodzimy do tego tematu poważnie, nawet jeśli się potykamy, idziemy dalej do celu. Rozmawiamy z zainteresowanymi środowiskami, dziękuję przy okazji wszystkim organizacjom pozarządowym, które się w to angażują. Rozmawiam cały czas z ministrem energii, by stworzyć taryfę dla najuboższych, by mogli przejść na bardziej ekologiczne paliwo. Również program termomodernizacji, który zamierzamy wdrażać w tym roku, jest elementem tego planu. Mogę się więc zobowiązać do bardzo poważnego podejścia do tematu. Nawet jeśli jest konflikt między naszą polityką energetyczną a walką z zanieczyszczeniem środowiska, znajdziemy kompromis, mam nadzieję, że za rok, za dwa Polacy zauważą poprawę.

eprasa.pl 4ec64585d0



frag. programu „Superwizjer", prod. TVN 2018

Operacja „Urodziny Hitlera"



STANISŁAW JANECKI

Po incydencie z neonazistami z Wodzisławia Śląskiego narracja jest taka: Polska pod rządami PiS stacza się w stronę faszyzmu. To fałszywa opowieść dla zagranicy

Nikt przy zdrowych zmysłach i elementarnym poczuciu przyzwoitości oraz minimalnej znajomości historii i prawa nie usprawiedliwi obchodzenia w Polsce urodzin arcyzbrodniarza Adolfa Hitlera. I to z płonącą swastyką w tle oraz biesiadnikami przebranymi w mundury SS i Wehrmachtu, wydzierającymi się „Sieg Heil!", wznoszącymi ramiona w hitlerowskim pozdrowieniu i próbującymi śpiewać „Horst-Wessel-Lied" („Die Fahne Hoch"). To nie tylko aberracja, lecz po prostu przestępstwo. I to jest oczywiste.

Ale wiele kwestii wiążących się z reportażem pokazanym w „Superwizjerze" TVN nie jest już takich oczywistych. Nie tylko dlatego, że dość zagadkowy jest odstęp między sfilmowaną ukrytą kamerą imprezą (13 maja 2017 r.) a emisją reportażu w TVN (20 stycznia 2018 r.). Dziwne jest też obchodzenie urodzin Hitlera 13 maja, choć przypadają one 20 kwietnia (podobno nie było sprzyjających okoliczności).

SKANDAL Z ASYSTENTKĄ GIERTYCHA

Nie jest prawdziwa teza, narzucająca się po obejrzeniu reportażu „Superwizjera" i przebiegu wywołanej potem debaty, że takie wydarzenia nasiliły się w ostatnich latach (za rządów PiS). Akurat ich liczba maleje. Najwięcej ekscesów związanych z propagowaniem nazistowskiej ideologii czy symboli odnotowano w latach 1990–2005, ale ich zdecydowana większość nie stała się przedmiotem dochodzeń. W tamtych latach UOP, a następnie ABW prowadziły (na zlecenie prokuratur) 18 śledztw w sprawach o przestępstwa związane z „pochwalaniem czy propagowaniem faszystowskiego lub innego totalitarnego ustroju państwa albo nawoływaniem do nienawiści na tle różnic narodowościowych". W siedmiu z tych spraw zostały przedstawione zarzuty. Prawomocnie skazano ośmiu oskarżonych: na kary

Fot. Kadr z programu „Superwizjer"/Źródło: screen TVN







grzywny lub kary pozbawienia wolności.

W tamtych latach bez porównania więcej niż obecnie odbywało się obozów i szkoleń w neonazistowskim entourage'u, często w survivalowym opakowaniu. Znacznie większa była liczba koncertów zespołów muzycznych, podczas których odwoływano się do nazistowskiej ideologii czy symboliki. Więcej drukowano wtedy pisemek o neonazistowskiej treści, więcej produkowano nazistowskich gadżetów (przede wszystkim na niemiecki rynek, ale częścią handlowano też w Polsce). Na przygranicznych targowiskach po polskiej stronie, np. w Lubieszynie, sprzedawano wtedy płyty niemieckich grup fascynujących się nazizmem. Widniały na nich swastyki i nazistowskie orły, a już same tytuły utworów mówiły wszystko: „Jesteśmy ludźmi Hitlera", „Aryjscy wojownicy", „Heil Hitler", „Wódz wzywa", „Wojna ras". Teraz tego nie ma, podobnie jak bez porównania mniejsza jest skala tego typu zjawisk, co tylko dowodzi, że obecnie w Polsce neonazistowskie ekscesy są absolutnym marginesem.

Z analizy Centralnego Biura Śledczego przygotowanej w kwietniu 2007 r. wynikało, że we wcześniejszych latach w Polsce działało ok. 1,2 tys. osób nawiązujących do nazistowskiej ideologii (i ok. 3,5 tys. sympatyków komunizmu). Za największe zagrożenie CBŚ uznawało wtedy organizację Blood and Honour, o której również była mowa w reportażu „Superwizjera", choć marginalnie. Autorzy opracowania CBŚ zwracali uwagę na dobrą organizację sympatyków nazizmu i ich stałe bliskie kontakty z bliźniaczymi ruchami na Zachodzie, przede wszystkim w Niemczech. Podkreślali, że w latach 90. oraz po roku 2000 to w Polsce produkowano wiele materiałów propagandowych oraz gadżetów dla neonazistów z całej Europy, w tym mundurów, często pod przykrywką szycia kostiumów na potrzeby filmowców i rekonstruktorów. Mundury noszone podczas urodzin Hitlera obchodzonych 13 maja 2017 r., a pokazane w reportażu, mogły pochodzić z takiej właśnie produkcji. W polskich mediach tamtego czasu neonazistowskie organizacje i imprezy były szeroko i często opisywane. Obecnie w mediach takich materiałów jest dużo mniej, bo bez porównania mniejsza jest skala tego zjawiska.

Podobna jak po emisji reportażu „Superwizjera" afera wybuchła na początku grudnia 2006 r., gdy portal Dziennik.pl ujawnił film z imprezy neofaszystów na Śląsku (w 2004 r. na prywatnej działce w Zabrzu). Młodzi ludzie bawili się na tle hitlerowskiej flagi, wznosili identyczne okrzyki, jak ci pokazani 20 stycznia 2018 r., palili pochodnie w kształcie swastyki. Jedną z uczestniczek imprezy była asystentka ówczesnego eurodeputowanego Ligi Polskich Rodzin Macieja Giertycha, działaczka Młodzieży Wszechpolskiej w czasie, gdy sprawę ujawniono. Maciej Giertych dyscyplinarnie zwolnił swoją asystentkę, a sąd koleżeński Młodzieży Wszechpolskiej usunął ją ze stowarzyszenia, mimo że w 2004 r. jeszcze do niego nie należała. Sama zainteresowana przeprosiła za swoje „nieodpowiedzialne zachowanie". W oświadczeniu LPR można było przeczytać: „Pragniemy wyrazić ubolewanie, iż osoba wyrażająca publicznie poglądy stojące w rażącej sprzeczności z zasadami polskiego patriotyzmu pełniła funkcję asystenta posła". Prezesem zarządu głównego LPR był wtedy Roman Giertych. „Niektóre media po prostu oszalały. Próbować przerzucić odpowiedzialność na LPR – czy na stronnictwo, czy na mnie osobiście – za to, że jakaś osoba z organizacji, do której należałem 10 lat temu, zachowała się w sposób skandaliczny" – komentował wtedy Roman Giertych.

PRZEDSTAWIENIE NA ZAMÓWIENIE?

Absolutnie nie bagatelizując ani nie relatywizując tego, co wydarzyło się 13 maja 2017 r. w lesie koło Wodzisławia Śląskiego, warto zwrócić uwagę na amatorszczyznę organizacji tej imprezy, niepodobną do tych przygotowywanych w latach 1990–2005. Wbrew narracji zaprezentowanej w reportażu TVN wyglądało na to, że nie było tam żadnej szczególnej konspiracji, a dostanie się na imprezę nie wymagało wielkiego zachodu. Wystarczyło się na chwilę zakolegować z którymś z organizatorów. Wódz, czyli prezes

stowarzyszenia Duma i Nowoczesność, który wystąpił w roli małego Führera, z kartki dukał kilka zdań o Hitlerze, a wszystko, co mówił, wyglądało na byle jaką improwizację.

Najdziwniejsze jest jednak obchodzenie urodzin ponad trzy tygodnie po właściwym terminie. Opóźnienie w połączeniu z formą może wskazywać na to, że ktoś małego Führera i jego kolegów podpuścił, choć nic go oczywiście nie usprawiedliwia. Pewnie nigdy się nie dowiemy, jakie były zależności przyczynowo-skutkowe i kto kogo inspirował. Z tego, co wiemy o funkcjonowaniu neonazistowskich organizacji w Niemczech, wynika, że są one w ogromnym stopniu inwigilowane przez tajne służby (prawdopodobnie nie tylko niemieckie), a często inspirowane do różnych działań. Potem zaś w porozumieniu z mediami ujawnia się różne kompromitujące akcje. Głównie po to, żeby się wykazać sukcesami. Albo pokazać zagrożenia, szczególnie gdy inspiracja może pochodzić od obcych służb. Z tym że zwykle takie inspiracje najlepiej wychodzą z najmniej rozgarniętymi aktywistami neonazistowskich organizacji. Nie oznacza to, że oni sami są niewinni, chodzi tylko o kolejność zdarzeń i o rolę inspiratorów.

W Polsce podobny był sposób działania ABW wobec Brunona Kwietnia, skazanego na dziewięć lat więzienia za „przygotowywanie zamachu terrorystycznego na konstytucyjne organy RP". Skądinąd Kwiecień złożył w październiku 2017 r. zawiadomienie do Prokuratury Okręgowej w Krakowie, w którym oskarża ABW o podżeganie go do różnych przestępstw i działań, jakich sam nie odważyłby się podjąć.

Nie twierdzę, że w przypadku organizatorów urodzin Hitlera w lesie koło Wodzisławia Śląskiego doszło do inspiracji lub prowokacji. W tym, co widać w materiale „Superwizjera", uderza jednak wyjątkowa amatorszczyzna organizatorów, a także momentami farsowa forma. Ta forma nie jest oczywiście żadnym usprawiedliwieniem (tak czy owak było to karygodne), lecz skłania do pytań.

Znane mi przypadki neonazistowskich imprez, na które dostawali się pracujący ze mną dziennikarze, gdy byłem wiceszefem i szefem ogólnopolskiego tygodnika, a także te opisywane w mediach w poprzednich dekadach (może poza koncertami i prywatnymi spotkaniami biesiadnymi), pokazują, że takie akcje były dobrze zorganizowane, ściśle zakonspirowane i mocno kontrolowane. Miały też znacznie surowszy i poważniejszy przebieg, a nie były groteskową improwizacją. Urodziny Hitlera obchodzone w lesie pod Wodzisławiem Śląskim wyglądały na przedstawienie na zamówienie, byle jak zorganizowane, w dodatku ponad trzy tygodnie po właściwej dacie. Nie wiem, kto mógłby być zamawiającym i czemu miało to służyć.

> Z materiału „Superwizjera" wynika, że politycznie kluczowa nie jest nazistowska impreza, lecz wieszanie na atrapach szubienic portretów eurodeputowanych PO

W każdym razie po wyemitowaniu reportażu zaistniała narracja (w kraju, a przede wszystkim za granicą), że w Polsce rodzi się nazizm, że nie jest on zjawiskiem marginalnym i że nakłada się to na działania rządzącej prawicy pachnące ksenofobią, nacjonalizmem, a nawet rasizmem. Ilustracjami do tego zaś były ostatni Marsz Niepodległości i incydenty, do których wtedy doszło. Gdyby ktoś chciał udowodnić, że Polska pod rządami PiS zmierza w stronę jakiejś formy totalizmu o nacjonalistyczno-faszystowskim zabarwieniu, hitlerowski piknik w lesie byłby bardzo użytecznym narzędziem.

UZBROJONE BOJÓWKI

Z materiału „Superwizjera" wynika, że politycznie kluczowa nie jest nazistowska impreza z 13 maja 2017 r., lecz wieszanie na atrapach szubienic portretów eurodeputowanych PO, co zdarzyło się 25 listopada 2017 r. przed pomnikiem Wojciecha Korfantego w Katowicach. Tam występował bowiem Jacek Lanuszny, szef śląskich struktur Ruchu Narodowego, asystent posła Roberta Winnickiego, prezesa RN. Lanuszny był członkiem stowarzyszenia Duma i Nowoczesność, którego prezes Mateusz S. zorganizował urodziny Hitlera. I Lanuszny wielokrotnie pojawił się w materiale TVN. Widz mógł odnieść wrażenie, że nie ma żadnej różnicy między Dumą i Nowoczesnością a Ruchem Narodowym. I że istnieją jakieś związki między RN a PiS, choć faktycznie są w opozycji.

W reportażu pojawia się wątek fascynacji bronią członków DiN i sugestia, że tacy ludzie mogliby oficjalnie dostać karabiny (nawet maszynowe) z magazynów wojskowych (w celach szkoleniowych lub do działań obronnych), co wynika z procedowanej w Sejmie nowelizacji ustawy o broni i amunicji. A mając oficjalnie broń, tacy ludzie mogliby robić straszne rzeczy – zapewne z opozycją w roli ofiary. Sugestia jest oczywista: chodzi o paramilitarne bojówki, użyteczne dla władzy, a tym groźniejsze, że fascynujące się nazizmem.

W ten sposób dopełnia się obraz ewoluowania Polski pod rządami PiS w niebezpieczny reżim totalitarny z bojówkami w stylu Oddziałów Szturmowych NSDAP utworzonych w 1920 r. To nie jest powiedziane wprost, ale można to wyczytać w tle. Dlatego najlepszym dopełnieniem scen z wieszania portretów eurodeputowanych oraz pokazujących groźną atmosferę koncertów muzycznych, na których słychać nazistowskie teksty i widać hitlerowskie symbole, były obchody urodzin Hitlera z całą nazistowską scenografią oraz oprawą. W ten sposób dopełniała się bowiem narracja o staczaniu się Polski w otchłań faszyzmu. Narracja skierowana poza nasz kraj. Nie jest przy tym jasne, co w tej narracji należy uznać za inspirację czy przedstawienie na zamówienie.

eprasa.pl 4ec64585d0

Zmiana w „Gościu Niedzielnym” i co dalej



W polskim Kościele dzieją się rzeczy, które zaczynają niepokoić bardziej tradycyjnych wiernych. Choć nikt nie mówi tego głośno, Kościół katolicki najwyraźniej przystosowuje się do współczesności. A tę określa dziś przede wszystkim lewicowa ideologia



KONRAD KOŁODZIEJSKI

W ten kontekst wydaje się wpisywać zeszłotygodniowe odwołanie księdza Marka Gancarczyka z funkcji redaktora naczelnego „Gościa Niedzielnego”. Ks. Gancarczyk kierował tym tytułem od 2003 r. i zdołał przekształcić ten zasłużony lokalny tygodnik katolicki (istnieje od 1923 r.) w najlepiej sprzedające się – według danych Związku Kontroli Dystrybucji Prasy – pismo opiniotwórcze w Polsce. Ostatnie dostępne badania z listopada 2017 r. wskazywały, że – pomimo wyraźnego kryzysu na rynku mediów drukowanych – „Gość Niedzielny” sprzedał się w liczbie ponad 121 tys. egzemplarzy, będąc jedynym tygodnikiem, którego miesięczna sprzedaż przekroczyła 100 tys. Dla porównania kolejny tygodnik, mający w nazwie określenie „katolicki”, czyli „Tygodnik Powszechny”, sprzedał zaledwie 24 tys. egzemplarzy.

KTO ZA TYM STOI?

Dlaczego zatem, pomimo ewidentnego sukcesu rynkowego, nastąpiła zmiana na stanowisku redaktora naczelnego „Gościa Niedzielnego”? Oficjalny komunikat kurii katowickiej, której podlega tygodnik, mówi, że stało się to w odpowiedzi „na wielokrotnie powtarzane prośby” ks. Gancarczyka.

W taką wersję mało kto wierzy, nie wierzą w nią także – jak wynika z nieoficjalnych informacji – dziennikarze zatrudnieni w tygodniku. Tomasz Terlikowski, publicysta i teolog, zapytany przez portal Wirtualne Media odpowiada: „Jestem osobą wierzącą i bardzo trudno mi użyć słów adekwatnych do tego stanowiska”. Z kolei katowicki dziennikarz serwisu Wyborcza.pl Józef Krzyk pisze, że za zmianami w redakcji „Gościa Niedzielnego” stała Nuncjatura Apostolska niezadowolona, że kierowane przez ks. Gancarczyka pismo pozwala sobie na krytykę nauczania papieża Franciszka. Dodatkowym elementem miała być również personalna niechęć metropolity katowickiego abp. Wiktora Skworca do ks. Gancarczyka.

W tym kontekście przypominana jest przeszłość abp. Skworca, który w okresie PRL został zarejestrowany przez SB jako tajny współpracownik o pseudonimach Wiktor i Dąbrowski, po tym jak w 1979 r. milicja przyłapała go na przewozie szynki z Baltony i zaszantażowała ujawnieniem informacji o handlu deficytowymi towarami. Sam Skworc oświadczył, że nigdy nie wyrażał zgody na współpracę, a określenie go jako TW było aktem jednostronnym, dokonanym bez jego wiedzy.

Fot. Mat. prasowe, Shutterstock

eprasa.pl 4ec64585d0



Ksiądz Marek Gancarczyk kierował „Gościem Niedzielnym" od 2003 r. i zdołał przekształcić ten zasłużony lokalny tygodnik katolicki (istnieje od 1923 r.) w najlepiej sprzedające się pismo opiniotwórcze w Polsce

Fot. PIOTR BŁAWICKI/EAST NEWS

ZBYT ORTODOKSYJNY

Wersję o zaangażowaniu Watykanu w zmianę redaktora naczelnego największego katolickiego tygodnika w Polsce oficjalnie odrzuciła Konferencja Episkopatu Polski, której rzecznik ks. Paweł Rytel-Adrianik określił podawane informacje jako fake newsy.

Jednak dementi episkopatu nie przekonało wątpiących. Tomasz Terlikowski, doskonale zorientowany w sprawach wewnątrzkościelnych, pisze: „Nie od dziś wiadomo, że arcybiskup Wiktor Skworc nie przepada za PiS, a choć »Gość Niedzielny« nie był apologetyczny wobec władzy, to tak go właśnie w kurialnych kręgach czytano. Nie jest też tajemnicą, że z Watykanu płynęły jasne sygnały, by zmienić projanopawłową linię w nauczaniu o małżeństwie, a »Gość Niedzielny« zawsze bronił w tej sprawie ortodoksji. Czy to właśnie te powody stoją za absurdalną decyzją katowickiej kurii? Czy chodzi o to, by idąc drogą »Przewodnika Katolickiego«, z jednoznacznie katolickiego pisma zrobić pozbawioną cojones wersję »Tygodnika Powszechnego«? A może Kościół ma zbyt wiele mediów i po prostu znudziły mu się one? To są pytania, których trudno nie zadać".

Nie przesądzając niczego, wersja o naciskach, a w każdym razie o przychylności nuncjatury w sprawie zmian na stanowisku redaktora naczelnego „Gościa Niedzielnego" wydaje się – pomimo dementi Konferencji Episkopatu – prawdopodobna. Wiarygodności dodaje jej to, że „Gość Niedzielny" jako najlepiej sprzedające się na rynku pismo katolickie ma wystarczająco duży wpływ na wiernych, aby jego linia (i obsada personalna redakcji) nie była obojętna dla hierarchów, zarówno tych w Polsce, jak i tych w Rzymie. Zwłaszcza że tytuły promujące liberalną linię, takie jak „Tygodnik Powszechny", pomimo wielu starań i nakładów nie są w stanie przyciągnąć licznego czytelnika. Niewykluczone zatem, że „Gość Niedzielny" ma skręcić w podobną stronę co „Tygodnik Powszechny" i nakłaniać wiernych do bardziej liberalnego spojrzenia na świat. Pytanie tylko, czy wierni będą chcieli taką gazetę nadal czytać?

PĘKAJĄCA WSPÓLNOTA

Wydaje się, że tego rodzaju polityka jest dla Kościoła niebezpieczna. Prowadzić ona może do pęknięcia wewnątrz wspólnoty, w której część hierarchów i wiernych pójdzie za postępowym nauczaniem Franciszka, a pozostali – przywykli do wizji Kościoła, którą pozostawił po sobie Jan Paweł II – będą z coraz większym dystansem obserwować zachodzące zmiany.

Widać to doskonale w przypadku sporów, jakie budzi kwestia imigrantów czy – szerzej – postępującej inwazji islamu w Europie. Oficjalną odpowiedzią Kościoła na coraz liczniejszą obecność muzułmanów jest dialog międzyreligijny, dialog, a właściwie monolog, bo druga strona nie jest zainteresowana jakimkolwiek porozumieniem.

Warto w tym kontekście przypomnieć wywiad, jakiego prymas Polski abp Wojciech Polak udzielił w październiku zeszłego roku „Tygodnikowi Powszechnemu". W wywiadzie tym ksiądz prymas skupił się wyłącznie na ewangelicznym aspekcie pomocy bliźniemu. Nie odniósł się natomiast do – jakże licznych, zwłaszcza w Polsce – obaw i opinii, że kryzys migracyjny jest w rzeczywistości formą świadomie wywołanej wojny kulturowej, której celem jest pozbawienie Europy jej chrześcijańskich korzeni. Jeszcze dalej poszedł w rozmowie z tą samą gazetą dominikanin o. Ludwik Wiśniewski, twierdząc, że zbyt konserwatywne nauczanie polskiego Kościoła doprowadziło do spadku liczby wiernych, i oskarżając wspólnotę o wrogość wobec islamskich imigrantów.

„Tygodnik Powszechny" jest dziś forpocztą liberalizacji Kościoła. Pomimo słabej pozycji na rynku wydaje się absolutnie nietykalny, co pozwala snuć domysły, że prezentowane na jego łamach poglądy są – w odróżnieniu od tych z „Gościa Niedzielnego" – zgodne z aktualnymi prądami płynącymi z Rzymu.

NOWE WIATRY

W myśl tych prądów wierni są szantażowani przez niektórych duchownych

eprasa.pl 4ec64585d0

stawianiem znaku równości między „uchodźcą" a Jezusem, podczas gdy jasne jest, że ów mityczny „uchodźca" jest zwykle wysłannikiem kultury, która Jezusa chce się pozbyć. Niedostrzeganie tego zagrożenia może wynikać z wielu przyczyn. Może być skutkiem rzeczywistej – choć nieco naiwnej – wiary, że muzułmanie niczym nie różnią się od katolików i chcą jedynie pokoju i pojednania, ale także ze zwykłego oportunizmu, który każe się ustawiać zgodnie z aktualnie wiejącymi z Rzymu wiatrami.

A wiatry te rzucają katolików na zupełnie nowe akweny, na których Kościół wraz z całą cywilizacją europejską dryfuje spychany przez inne, zwykle wrogie kultury ku niebezpiecznym mieliznom.

Wydaje się bowiem, że Kościół coraz częściej traci wiarę we własną misję. Oficjalną odpowiedzią Kościoła na coraz słabszą kondycję rodziny są dziś rozważania na temat dopuszczenia komunii świętej dla rozwodników, a reakcją na agresję islamu staje się jeszcze szersze otwarcie na przybyszy z Bliskiego Wschodu. Oznaką kondycji współczesnego Kościoła katolickiego są także niedawne huczne obchody 500-lecia reformacji, podczas których hierarchowie radowali się z okazji wydarzenia, które podzieliło i osłabiło chrześcijańską wspólnotę. To trochę tak, jakby w Polsce z radością świętować rocznicę rozbiorów.

Te i wiele innych działań podejmowanych w otoczeniu papieża Franciszka tworzy atmosferę sprzyjającą liberalizacji – czy też raczej protestantyzacji – Kościoła katolickiego. W Niemczech tamtejszy Kościół katolicki uznał de facto istnienie trzeciej – obok męskiej i żeńskiej – płci. W Polsce nikt nie posunął się jeszcze aż tak daleko, ale chyba tylko dlatego, że w nurcie „przemian" znajdujemy się z różnych przyczyn na szarym końcu. Wiele wskazuje jednak na to, że Rzym staje się coraz bardziej zniecierpliwiony maruderstwem polskiego Kościoła i daje to naszym hierarchom coraz bardziej do zrozumienia. Nie byłbym zdziwiony, gdyby okazało się, że ci z hierarchów, którzy najszybciej pojmą i zaakceptują nowe prądy, zostaną uhonorowani. Choćby kapeluszem kardynalskim.

Do działania na rzecz zmian wzywają hierarchów najbardziej „postępowi" duchowni. O. Ludwik Wiśniewski apeluje na łamach „Tygodnika Powszechnego" do biskupów, aby „wkroczyli na publiczną arenę. Wybiła godzina, kiedy jesteście bardzo, ale to bardzo potrzebni – Kościołowi, lecz również Polsce".

* * *

Pod wpływem presji i różnych oczekiwań Kościół w Polsce staje się coraz bardziej zagubiony i defensywny. Zmiany w Kościele, których źródła można upatrywać w Stolicy Apostolskiej, są niechętnie przyjmowane przez wielu wiernych. Część hierarchów dostrzega ten dystans, ale nie może – choćby z przyczyn doktrynalnych – przeciwstawić się nauczaniu papieża Franciszka.

I tak jak „Tygodnik Powszechny" nie przekonał do siebie katolickiego czytelnika, tak nowe nauczanie Kościoła, wbrew enuncjacjom o. Wiśniewskiego, nie doprowadzi do wzrostu religijności Polaków. Nie spowoduje zapewne również spadku liczby wiernych, może jednak doprowadzić do osłabienia autorytetu hierarchii.

Czy Kościół wyjdzie z czekającej go próby obronną ręką, zależeć więc teraz będzie w największej mierze od wiary i odpowiedzialności każdego członka katolickiej wspólnoty.

REKLAMA



kasastefczyka.pl
801 600 100
(koszt połączenia wg taryfy operatora)
Przyjdź i sprawdź!

KASA STEFCZYKA
Zawsze u siebie

Pożyczka Fit umożliwia konsolidację zobowiązań zaciągniętych wyłącznie w innych instytucjach finansowych. RRSO oznacza Rzeczywistą Roczną Stopę Oprocentowania. Decyzja kredytowa zależy od indywidualnej oceny zdolności kredytowej.
Wyprodukowano dnia 2.01.2018 r.

13/0118/F

eprasa.pl 4ec64585d0

Z Piotrem Müllerem, podsekretarzem stanu w Ministerstwie Nauki i Szkolnictwa Wyższego, rozmawia Piotr Czartoryski-Sziler



Piotr Müller otrzymuje nominację z rąk premiera Mateusza Morawieckiego

Fot. Materiały prasowe

Uczelnie to nie wyspy

Jeszcze dwa lata temu za ten projekt, który przedstawiliśmy, wywieziono by nas na taczkach. Dziś większość go popiera

„To ustawa inna niż wszystkie" – mówił o Konstytucji dla Nauki wicepremier Jarosław Gowin. Jakie są główne cele reformy nauki i szkolnictwa wyższego?

Piotr Müller: Mamy ich kilka. Przede wszystkim chcemy zatrzymać odpływ elit narodowych za granicę. Wiele osób, które kształcimy w Polsce na poziomie oświaty, a także często na poziomie szkolnictwa wyższego, chce prowadzić badania naukowe za granicą. Struktura feudalna, która występuje w wielu polskich uczelniach, powoduje, że o tym, kto i jak szybko awansuje, nie zawsze decyduje poziom badań naukowych czy ich efekty, ale stopień lub tytuł naukowy.

Jedną z kluczowych rzeczy, które wprowadziliśmy w tej reformie, jest właśnie odejście od takiej struktury w zakresie ścieżki kariery zawodowej. Średni wiek uzyskiwania samodzielności naukowej w Polsce to 46 lat, na Zachodzie osiąga się ją 10 lat wcześniej. W dużej mierze dajemy możliwość prowadzenia własnych badań naukowych również osobom, które mają stopień doktora. Dzięki temu także osoby, które szkoła wyższa uzna za dobre do zajmowania stanowiska np. profesora uczelni, czyli obecnego profesora nadzwyczajnego, będzie można zatrudniać już bez habilitacji.

Część naukowców twierdzi jednak, że odejście od habilitacji obniży poziom nauki. To nietrafiony zarzut?

Tak, ponieważ uprawnienia do nadawania stopni będą zależały od efektywności badań naukowych. Krótko mówiąc, jeżeli uczelnia będzie zatrudniała słabych pracowników naukowych, to w perspektywie może utracić uprawnienia do nadawania stopnia doktora czy doktora habilitowanego. Od tego będą zależały także kwestie finansowe. Zależy nam na zapewnieniu zasady zrównoważonego rozwoju, dlatego przygotowaliśmy pakiet dla uczelni regionalnych. Najważniejsze jest to, by w całej Polsce badania naukowe były prowadzone jak najlepiej, natomiast wiele uczelni przyzwyczaiło się do tego, że pieniądze publiczne są kierowane do nich i polski podatnik nie wymaga od nich konkretnych efektów.

Nie może być jednak tak, że niektóre uczelnie będą wieżami z kości słoniowej, nie będą służyły społeczeństwu. Cieszę się, że środowisko akademickie samo to rozumie. Dwa lata dialogu pozwoliły na wypracowanie rozwiązań, które są z jednej strony progresywne, z drugiej zaś, mamy nadzieję, będą służyły całemu społeczeństwu i środowisku akademickiemu. Jeszcze dwa lata temu za ten projekt, który przedstawiliśmy, wywieziono by nas na taczkach. Dziś większość go popiera. To dowód na to, że budowanie reformy w dialogu przyniosło ważne efekty.

À propos uczelni regionalnych. Reforma nie uderza w średnie i mniejsze ośrodki naukowe? Prof. Tomasz Panfil twierdzi, że nawet takie uczelnie jak KUL czy UMCS będą miały problem z utrzymaniem się.

Walczymy o to, żeby środki finansowe były większe, robimy strumienie dla uczelni regionalnych i strumień dla uczelni badawczych. Najwyżej nie

eprasa.pl 4ec64585d0

wszystkie uczelnie zyskają na tej reformie, ale nikt nie straci. Przypomnijmy, że na poprzednich rozwiązaniach wiele uczelni traciło finansowanie. Zyskają te uczelnie – bez względu na to, czy małe, czy duże – które będą się starały w sposób rozsądny wydawać środki podatników, czyli rozwijając badania naukowe lub podwyższając jakość kształcenia.

Od wielu lat potrzebujemy w Polsce tego typu zmian, iż docenia się pracę, a nie wyłącznie to, że ktoś od iluś lat jest już na jakiejś pozycji i powinien ją utrzymać. Najlepszym przykładem jest konkurs na uczelnie badawcze, bo to nie jest tak, że np. UW czy UJ mają zapewnione środki w ramach uczelni badawczych. One muszą wystartować w ramach równego konkursu z kilkunastoma innymi uczelniami i dowieść, że zasługują na docenienie.

Na taką zdrową konkurencję liczymy, bo ważne jest, by Polska zyskiwała w rankingach międzynarodowych. Konkurs na uczelnie regionalne ogłosimy w tym tygodniu, a program przygotowawczy na opracowanie strategii dla uczelni badawczych – wiosną. Docelowy konkurs na uczelnie badawcze planujemy na przyszły rok.

A co z uczelniami zawodowymi? Tylko 15 najlepszych będzie miało zapewnione dotacje?

Tak, czyli o 15 więcej niż teraz. Do tej pory nie było ustawowego programu wspierającego ten sektor. Co roku będą one dostawać dodatkowe środki finansowe. Chcemy, aby uczelnie, które kształcą zawodowo najlepiej, były doceniane. Dla nich 1 mln zł dodatkowo to w wielu przypadkach będzie dofinansowanie na poziomie 5 czy nawet 10 proc. budżetu, więc to niemałe pieniądze.

Zauważmy, że nikt wcześniej tych uczelni nie doceniał, a państwowe wyższe szkoły zawodowe (jest ich ponad 30 w kraju) odgrywają ogromnie ważną rolę w miastach powiatowych i całym otoczeniu wspólnoty lokalnej. Najlepszym dowodem, iż te rozwiązania są przychylne, jest to, że konferencja rektorów państwowych wyższych szkół zawodowych jednoznacznie poparła naszą reformę.

Tak jednomyślni są również w przypadku rad uczelni, które mają zostać powołane? Pada zarzut, że mogą być upolitycznione.

Tak jak rozmawiamy o tym, aby uspołecznić częściowo realizację wymiaru sprawiedliwości w Polsce przez ławników czy inne sposoby partycypacji społecznej, tak samo uczelnie wymagają tego, aby osoby z zewnątrz wspomagały ich działanie. I tutaj nie ma mowy o nadzorze ani kluczowym decydowaniu.

Rada uczelni w połowie ma się składać z osób z zewnątrz, ale w całości wybierać ją będzie senat (z wyjątkiem jednego przedstawiciela studentów), czyli sama wspólnota akademicka. Nic nie zrobimy, jeżeli uczelnia chce się upolitycznić, bo już teraz czasami wybierani są rektorzy politycy. Ale o tym decyduje sama szkoła wyższa.

Rozumiem, że nie wszyscy w środowisku akademickim są zadowoleni z tego, że ktoś z zewnątrz będzie czasami krytycznym okiem spoglądał i mówił, iż wypadałoby trochę poprawić mechanizmy zarządcze czy doszlifować program studiów. Niektóre szkoły wyższe nie są na to gotowe, ale weźmy też pod uwagę to, że nawet krytyczne wobec rad uczelni środowisko rektorów ostatecznie tę koncepcję poparło, choć to ich działania będą przez nie monitorowane. Uczelnie to nie są samotne wyspy na oceanie, tylko bardzo ważne komórki systemu państwowego, które powinny być osadzone w społeczeństwie. I to, że kilka osób z zewnątrz znajdzie się w ich organach, nikomu nie zaszkodzi. Tak się dzieje w Niemczech i krajach skandynawskich, szczególnie w Finlandii.

Reforma ma doprowadzić do zmniejszenia liczby dyscyplin naukowych o ponad połowę. To faktycznie potrzebne?

Naszym celem przede wszystkim jest to, aby być jak najbliżej standardów międzynarodowych w zakresie klasyfikowania dyscyplin. W Polsce jesteśmy zaś rekordzistami, jeżeli chodzi o ich liczbę. To powoduje, że coraz mniejsze grupy uzyskują uprawnienia do tego, aby w swoim, czasami wąskim, gronie nadawać doktoraty czy habilitacje. My chcemy ten dryf ku dzieleniu się nauki zatrzymać, łącząc niektóre dyscypliny. Nie oznacza to jednak, że ktoś będzie musiał przestać badać w jakichś obszarach. Istnieje np. włókiennictwo i nadal badania w tym zakresie będą prowadzone, podobnie z innymi dyscyplinami, ale będą one sklasyfikowane w szerszych grupach niż dotychczas.

Ma to spowodować, że te środowiska przestaną być w niektórych przypadkach hermetyczne i zaczną z sobą częściej dyskutować. Chcemy wprowadzić ożywczy powiew do środowiska naukowego. Na klasyfikacji dyscyplin będziemy opierać system nadawania uprawnień do doktoryzowania czy finansowania i dzięki temu będziemy mogli łatwiej sprawozdawać nasze osiągnięcia naukowe do systemu międzynarodowego.

Niektórzy profesorowie twierdzą jednak, że posłowie i senatorowie powinni wnieść jeszcze poprawki do projektu reformy. Jesteście na nie otwarci?

To, co robimy od dwóch lat, to jeden wielki proces konsultowania. Najpierw przygotowaliśmy konkurs na założenia reformy. Trzy osobne zespoły ekspertów przygotowywały ich idealną wizję systemu szkolnictwa wyższego. One w wielu miejscach się od siebie bardzo różniły. Później przeprowadziliśmy dziewięć konferencji programowych, na których dyskutowaliśmy poszczególne obszary, tj. finansowanie, ustrój, studia, badania naukowe, ścieżki kariery naukowej itd. Byłoby więc z naszej strony złym podejściem, gdybyśmy nie byli nadal otwarci na głosy krytyczne. Tym bardziej że jeszcze chcemy przeprowadzić w Sejmie wysłuchanie publiczne.

Zależy nam na tym, by ta ustawa była jak najlepsza. Ze spokojem natomiast możemy powiedzieć, że ten projekt, który na tym etapie wypuszczamy z Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego, jest więcej niż dobry. Jeżeli będą dodatkowe poprawki, które spowodują, że stanie się on bardzo dobry, to będziemy z tego tylko bardziej zadowoleni.

eprasa.pl 4ec64585d0



Najlepiej podyktować pokój w chwili, w której ma się największą przewagę

Fot. Fotokon/Shutterstock.com

Zejście z bagnetów

eprasa.pl 4ec64585d0



PIOTR SKWIECIŃSKI

Za pomocą bagnetów można robić wiele rzeczy z wyjątkiem jednej – nie można na nich siedzieć". To powiedzenie księcia Talleyranda Jarosław Kaczyński najwyraźniej uważa za w jakiś sposób adekwatne do obecnej sytuacji partii rządzącej.

Tego, co stało się bowiem ostatnio w Polsce, nie sposób określić inaczej niż jako zastopowanie rewolucji przez jej przywódcę. Przez przywódcę, który zdecydował, że zatrzymujemy się na etapie głębokiej reformy. I nie idziemy dalej. Czy jest to decyzja permanentna, czy czasowa, a jeśli to drugie, to kiedy nastąpi jej zmiana – to rzecz inna. Ale nie sposób udawać, jakoby teraz jej nie było. I jakoby nie zmieniła rzeczywistości.

1.

Zapowiedzi, że tak się stanie, były. I powtarzały się od dłuższego czasu. Bo od dawna osoby bywałe na Nowogrodzkiej mówiły, iż według Kaczyńskiego PiS i państwo „czeka jeszcze tylko..." (i tu padały nazwy następnych bitew o kolejne reformy, oprotestowywane przez opozycję i Unię).

Za każdym razem okazywało się, że nic się nie zmieniało, rewolucyjny szturm we wszystkich możliwych kierunkach trwał. W końcu zapowiedzi, że „jeszcze tylko..." przestano brać poważnie. Przestałem je brać poważnie również ja.

Czy raczej – nie brałem ich poważnie od początku. Czyli od momentu, kiedy bezpośrednio po wyborach 2015 r. okazało się (i wcześniej było to bardzo prawdopodobne, ale przecież nie pewne), że Centralny Ośrodek Dyspozycji Politycznej, pomimo koncyliacyjnych nastrojów panujących wtedy również w większości środowisk III RP, zdecydował się prowadzić politykę nie negocjacyjną, tylko – właśnie – rewolucyjną. Uznałem wtedy, że jest to decyzja strategiczna. A w każdym razie tak integralnie związana z osobowością Kaczyńskiego, taką, jaka wynurzyła się z pożarów trawiących Polskę politycznych wojen, że niemożliwa do zmiany nawet przez niego samego. Że po prostu on sam samemu sobie na to nie pozwoli, choćby i doszedł intelektem do wniosku, że tak będzie korzystniej.

Jak widać, myliłem się. Choć ta konstatacja oznacza zarazem, że miałem rację wcześniej. Wcześniej, kiedy napisałem, że jeśli dobrze się przyjrzeć Kaczyńskiemu, to trzeba dojść do wniosku, że są w nim jedynie dwa czynniki trwałe – wiara w silne państwo narodowe i dążenie do stworzenia takiego państwa oraz konserwatyzm obyczajowy i przekonanie, iż jest to postawa nie tylko najlepsza w sensie wyboru między dobrem a złem, lecz również najkorzystniejsza dla będącej nosicielem tej postawy wspólnoty. Wszystko pozostałe jest zaś dla niego wtórne wobec tych dwóch aksjomatów i im podporządkowane. Innymi słowy, jestem sobie w stanie wyobrazić Kaczyńskiego prowadzącego we wszystkich innych sferach zupełnie dowolną politykę, jeśli uzna, że na danym etapie akurat taka, a nie inna najlepiej służy realizacji tych dwóch paradygmatów.

I – jak widać – uznał, że teraz temu celowi lepiej będzie służyć zastopowanie pisowskich buldożerów, do wczoraj rozpędzonych na niemal wszystkich kierunkach.

2.

Jest oczywiste, że decyzja ta nie ogranicza się do – skądinąd dobrze ją symbolizującego – odwołania Antoniego Macierewicza. Bo silniki przywołanych wyżej buldożerów zamilkły również na większości (choć nie na wszystkich – w sądownictwie na przykład nie ma żadnych objawów zmiany linii) innych odcinków.

I to jest kolejny dowód na to, że jest decyzja o generalnej zmianie linii, a taką mógł podjąć wyłącznie Kaczyński. Nie na skutek rzekomego „szantażu Dudy", o jakim można przeczytać w prawicowym internecie. Taki szantaż, gdyby przez moment uznać adekwatność tego słowa, mógłby bowiem dotyczyć jedynie jednej sprawy – Macierewicza. I tak postrzegali to internetowi (i nie tylko) megaradykałowie. Aby nie dopuścić do załamania kluczowej reformy (sądownictwo), Kaczyński zgadza się na skrzywdzenie postaci „tożsamościowej" dla obozu smoleńskiego. Ale to tyle, to w interesie rewolucji, która wszędzie indziej trwa.

A tu nie. Nie trwa. Co widać po milczeniu buldożerów, ale też po tym, iż odwołano również inne postaci, emblematyczne dla czasu burzy i naporu i dla środowisk najbardziej nienawidzących III RP.

Charakterystyczne jest też to, że komenda „cała wstecz" (dla nieznających się na żegludze wyjaśnienie – nie oznacza ona, aby kapitan chciał cofnąć okręt, tylko wydał rozkaz jego zatrzymania lub przynajmniej zwolnienia, co ze względu na potężną inercję jednostki można szybko osiągnąć jedynie wtedy, kiedy śruby przez chwilę będą się obracać w drugą stronę) została przez zdecydowaną większość i PiS, i w ogóle obozu IV RP przyjęta w sposób nad wyraz spokojny.

Świadczy to oczywiście o zdyscyplinowaniu i o autorytecie, jakim cieszy się Kaczyński. Ale również o tym, że zmiana była wyczekiwana przez wielu ludzi obozu, coraz gorzej znoszących sytuację wszechogarniającej wojny i pytających – niechby tylko samych siebie – o to, czy istnieje jakiś postulowany punkt dojścia, jakiś ostateczny cel kampanii, po którym pojawi się coś w rodzaju spokoju i normalności. Myślę, że Kaczyński dobrze wyczuwał te narastające podskórnie nastroje i że stały się one jedną z przyczyn podjętej przez niego decyzji, by czy to ogłosić jednostronne zawieszenie broni, czy to – przynajmniej – dać wojsku chwilę wytchnienia.

3.

Decyzję tę Kaczyński podjął wbrew tej części swojego obozu, dla której głównym motywem napędowym jest utożsamiana z patriotyzmem nienawiść wobec elit III RP.

Przez dłuższą chwilę nieznającym formacji IV RP mogło się wydawać, że tacy ludzie i tworzone przez nich środowiska stanowią w tym obozie

eprasa.pl 4ec64585d0

większość czy przynajmniej większość jego rdzenia. Dziś po serii dymisji polityków symbolizujących w oczach ludzi, o których mowa, Dobro walczące ze Złem, widać, że było to wrażenie nieprawdziwe. Bo oni są wprawdzie hałaśliwi, ale nieliczni, a przez to słabi. Gdyby było inaczej, potrafiliby rozpętać szeroką kampanię może nie buntu (na to nie pozwoliłby wciąż obecny „w kościach" prawicy strach przed katastrofalnymi skutkami zniszczenia jedności), ale manifestacji niezadowolenia. Tak się nie stało, co obnażyło rzeczywiste proporcje między rozmaitymi, obecnymi w obozie wrażliwościami.

Ludzie, o których mowa, stanowią XXI-wieczną polską odmianę zjawiska znanego historykom – sekty millenarystycznej. Charakteryzującej się przekonaniem, że otaczający ją świat jest terenem nieubłaganej walki czystego dobra (czyli sekty) z czystym złem (w zasadzie całą resztą). Walki, w której nieubłaganie zbliża się przełomowa bitwa, armagedon. Armegedon zapoczątkuje zaś okres tryumfu Dobra i Prawdy. Ale żeby ten tryumf przybliżyć, trzeba, jak pisał XVII-wieczny angielski przywódca radykalnych protestantów Thomas Case, nie tylko ściąć, lecz i wyrwać z korzeniami każdy kwiat, choćby był piękny, jeśli nie zasadziła go ręka Pana.

Ludzie, o których mowa, są duchowo bliscy stosowania podobnych nauk do polskiej polityki, do kształtowania Polski według takiej procedury.

4.

A Jarosław Kaczyński właśnie nie.

I zaskoczeniem może to być jedynie dla tych, którzy albo zupełnie go nie znają, albo – szczerze czy nieszczerze – skłonni są go demonizować. Zauważmy, że już od początku kariery w wolnej Polsce ten ówczesny i obecny postrach elit nie pasował do intelektualno-emocjonalnego świata bardzo wielu spośród tych, którzy na każdym etapie grupowali się wokół niego.

I było to zjawisko naturalne. Kaczyński na każdym etapie budował bowiem płaszczyznę, na której można było walczyć przeciw III RP w sposób efektywny, co w naturalny sposób ściągało ku niemu prawicowych radykałów przekonanych, że Polska jest ofiarą demonicznego spisku wewnętrznych i zewnętrznych sił jej wrogich. A wśród jego sympatyków – tak jak całej prawicy – ponadprzeciętnie duży był udział ludzi niedających sobie rady w potransformacyjnej Polsce. „Ile tu złamanych, nieudanych ludzkich żyć!" – westchnęła ostatnio w rozmowie ze mną znana osoba o nieposzlakowanie prawicowej biografii, gdy mówiliśmy o tzw. środowisku na przykładzie pewnej społecznej organizacji.

> Wbrew całości elit można rządzić, ale jest to sytuacja odbierana jako tymczasowa. Lepiej zneutralizować ich większość, tak aby władzy nie kochała, ale też nie odczuwała do niej nienawiści. Może się to stać możliwe, bo obóz rządzący ewoluuje i wrażliwość radykałów określa jego postawę w coraz mniejszym stopniu

I nie było to przypadkiem. Działacze i wyborcy innego typu, pociągnięci przez transformację, lokowali siebie lub swoje sympatie raczej w środowiskach liberalnych bądź – do czasu – postpezetpeerowskich. Do prawicy napływali ci inni.

Czy byli w większości? Nie. Ale ich nadreprezentacja, choć mniejszościowa, była na tyle duża, że w naturalny sposób wpływała i na obraz obozu, i na jego charakter.

Tymczasem Kaczyński był od nich odmienny. Na początku lat 90. chciał utworzenia w Polsce jak najbardziej establishmentowej partii centroprawicowej typu niemieckiej CDU. Przez dwadzieścia parę lat zmieniło się to o tyle, że tego rodzaju ugrupowania zachodnie przeewoluowały światopoglądowo (wraz z centrowymi wyborcami) w lewo, natomiast sam Kaczyński przeszedł ewolucję odwrotną – w stronę kulturowego konserwatyzmu bardziej integralnego niż ten, z którym identyfikował się jako 40-latek. Ale jego zasadnicze intuicje, jak się wydaje, nie uległy zmianie. Pociąga go raczej Adenauer czy de Gaulle, a nie Buchanan, Le Pen czy włoska Liga Północna.

Nigdy nie był bowiem naturalnym rewolucjonistą, tylko zwolennikiem głębokiej reformy. Nie chciał zniszczenia „nieprawych", „bagna" czy jak tam odpowiednicy dzisiejszych radykałów sprzed kilkuset lat nazwaliby elity III RP. Nie chciał ich karać. Chciał ich zrównoważyć, zdominować i zyskać w nowym układzie trwałą hegemonię.

Głęboka reforma jednak nie była możliwa ze względu na siłę oporu profitentów i zwolenników patologicznego układu. Siłę społeczną, która ten opór miałaby siłę przełamać, można zaś było zorganizować tylko pod hasłami rewolucji, a nie reformy.

Co musiało mieć oczywiste konsekwencje, upostaciowione w nazwisku Antoniego Macierewicza. Lider ów stał się symbolem tych, którzy od początku lat 90. chcieli właśnie rewolucji. Którzy uważali III RP za nieprawe dziecię agentury, zaprojektowane w tajnych laboratoriach GRU. Dla których samodzielną, najważniejszą wręcz wartością było przeprowadzenie społecznej eksterminacji wszystkich, którzy w PRL zrobili jakkolwiek rozumiane kariery, społecznej degradacji całych wtedy zapoczątkowanych, a odgrywających istotną rolę i dzisiaj, personalno-rodzinno-profesjonalnych ciągów.

Z nich Kaczyński zrobił szturmowy oddział swojej rewolucji, która w istocie była zakamuflowaną, również przed owym szturmowym oddziałem, walką o głęboką reformę. Zapewne nie czuł się z tym komfortowo. Można by wymienić wiele tematów, w których do-

eprasa.pl 4ec64585d0

puszczał bardzo radykalną narrację, ale o których sam, jeśli mógł, to milczał. No cóż, zawsze lubił słynne powiedzenie Stalina, który spotkawszy się z czyimiś narzekaniami, że lansowani członkowie związku pisarzy są jacyś tacy nie najlepsi, odpowiedział: „Drugich pisatielej u nas niet".

A gdy doszedł do wniosku, że już może, że rewolucja już zmieniła Polskę do punktu, który uznał za wystarczający – dokonał manewru.

5.

Dlaczego według Kaczyńskiego manewr był potrzebny?

To pytanie o tyle zawisa w próżni, że – jak napisałem wyżej – nigdy nie był on rewolucjonistą. Przypomnijmy sobie o tym. A kiedy przyzwyczaimy się na powrót do tej myśli, to stanie się dla nas zrozumiałe, że dla kogoś, kto ze swej natury rewolucjonistą nie jest, zakończenie (czy przynajmniej zawieszenie na czas dłuższy) rewolucji wydaje się czymś – właśnie – naturalnym. A nie decyzją nienaturalną, niezrozumiałą, o której przyczyny trzeba byłoby pytać.

To powód, rzekłbym, systemowy. A przyczyna druga – przy całej swojej niechęci wobec establishmentu III RP Kaczyński zdaje sobie sprawę z tego, że permanentny konflikt z niemal całością elit jest, niezależnie od odniesionych w wojnie z nimi sukcesów, czymś bardzo niebezpiecznym.

Dlaczego? Dlatego że jeśli ma się demokratyczny mandat większości, to oczywiście można rządzić wbrew niemal całości elit, ale będzie to z definicji sytuacja odbierana jako tymczasowa. Bo sytuacja wojny z elitami niebędącymi jakąś cienką okupacyjną warstewką, tylko na skutek choćby upływu czasu będącymi (niezależnie od dyskusji na temat ich proweniencji) w jakimś sensie naturalnymi elitami kraju, z definicji musi być tak postrzegana. I nie tylko postrzegana. Elity, nawet zagnane do kąta, mają potencjał, który dziś tylko nieco ogranicza rządzących i psuje im krew, ale gdy minie, rozumiana nie tylko gospodarczo, dobra koniunktura, może odzyskać swoją polityczną wagę.

Dlatego trzeba jakąś ich cząstkę przeciągnąć na swoją stronę, ale przede wszystkim – zneutralizować ich większość, tak żeby władzy może nie kochała, ale też nie odczuwała przemożnej chęci porachowania się z nią, kiedy tylko zyska taką możliwość. A żeby to osiągnąć, najlepiej podyktować pokój w punkcie, w którym ma się największą przewagę. W apogeum własnej mocy. Nie czekając, aż historia, która nigdy się nie kończy ani nigdy nie śpi, wytnie jakiś pogarszający naszą sytuację numer. Aż nastąpi coś, co będzie czy przynajmniej będzie mogło być uznane za początek jakichś nowych, ale niekorzystnych dla zwycięzców etapu procesów. Lepiej ustalić nowy punkt równowagi, nowy długotrwały porządek na najkorzystniejszym dla siebie poziomie.

No a poza tym długotrwała totalna wojna pozycyjna niszczy państwo. Osłabia je wewnętrznie i zewnętrznie. To nie jest argument na rzecz kapitulacji wobec moralnego szantażu, ale z pewnością racja, dla której ktoś, dla kogo to państwo jest ważne, może być skłonny do bodaj próby złagodzenia konfrontacji, kiedy uzna, że jest to możliwe.

6.

A dlaczego manewr był możliwy?

Oczywiście dlatego, że – to już banał – opozycja jest w takim stanie, że ani nie potrafi nowej sytuacji przeciw rządzącym wykorzystać, ani też nikt przy zdrowych zmysłach nie uwierzy, jakoby wstrzymanie rewolucji było efektem jej działań. Ale inną przyczyną jest moim zdaniem fakt, że Kaczyński mógł liczyć na to, iż jego decyzja spotka się nie z rebelią, tylko z aprobatą, a przynajmniej – ze spokojną reakcją większości jego obozu.

Dotknąłem już tego aspektu wyżej. Prezes PiS zdawał sobie, moim zdaniem, sprawę z procesów postępujących zarówno w jego partii, jak i wśród jej wyborców.

Bo ten obóz ewoluuje. Ewoluuje na skutek zmiany pokoleniowej (młodzi Polacy są generalnie inni od tych starszych). Ale także na skutek tego, że zwłaszcza okres rządów Platformy sprzyjał krytycznej refleksji nad stanem państwa wielu obywateli różnych generacji. Obywateli, których dziesięć lat temu (nawet jeśli byli już wtedy pełnoletni) trudno było skojarzyć czy to z PiS, czy to w ogóle z prawicą. Bardzo głośne ostatnio badania socjologiczne, przeprowadzone przez dr. Macieja Gdulę w mazowieckiej miejscowości określonej kryptonimem Miastko, wykazały, że wyborcze zaplecze PiS jest (nieoczekiwanie dla badaczy) pełne ludzi, których trudno zaliczyć do przegranych transformacji.

Ci ludzie nie kochają elit III RP (odwrotnie) ani nie są nastrojeni kapitulancko (też odwrotnie). Ale zarazem są inni i inaczej reagują niż opisani wyżej pisowscy radykałowie. Nie podzielają ich fobii ani ich idiosynkrazji. I nie są naturalnymi nosicielami bakcyla permanentnej rewolucji.

Dlatego nastroje rozpaczy po usunięciu uosobienia permanentnej rewolucji, czyli Macierewicza, oraz kilku ministrów w największej mierze kojarzących się z konfrontacją na wszystkich frontach okazały się tak ograniczone.

7.

Czytelnik tego tekstu nie będzie miał kłopotów z odczytaniem stanowiska autora. Jestem oczywiście zwolennikiem tej nowej polityki. Co nie znaczy, bym nie miał związanych z nią obaw. Na przykład – czy kosztem odprężenia na linii PiS–elity nie będzie złagodzenie proludowego, prospołecznego i propracowniczego kursu partii rządzącej...? To ważne dla mnie pytanie.

* * *

Zostawiając jednak chwilowo na boku wątpliwości – zacząłem ten tekst od cytatu z francuskiego polityka początku XIX w. , skończę więc również czymś z tego kraju i z tej epoki.

Po zakończeniu wojen napoleońskich rojalistyczni ultrasi dyszeli żądzą zemsty. I chcieli, aby odrodzone królestwo starło w proch nieprawe elity republikańskiej proweniencji. Ale król Ludwik XVIII nie chciał podjąć takiej decyzji. Objął władzę, wywiesił królewską flagę, ale dążył do równowagi. Nie chciał wprowadzić Francji w spiralę konfrontacji. Ultrasi byli bardzo rozczarowani postawą swojego monarchy.

Ale potem nikt nie miał wątpliwości co do tego, że to on miał rację.

eprasa.pl 4ec64585d0

Wirtualna moda na Polskę

Obraz historii Polski propagowany przez globalny przemysł rozrywkowy bywa jednostronny i niesprawiedliwy. Wyjątek od tej reguły stanowi od pewnego czasu... świat gier komputerowych



Królowa Jadwiga z „Sid Meier's Civilization VI"



DORIAN URBANOWICZ

Atakowanie Polski w mediach i show-biznesie stało się modne – wiemy to nie od dziś. Skutkiem antypolskiej narracji jest błędne przekonanie obecne w zachodnich społeczeństwach, że dzieje naszego kraju to suma klęsk, anachronizmu i politycznego irracjonalizmu. Szczególnie wygodny zdaje się ostatnio wizerunek Polaka żydożercy i akowca kolaboranta. „Polska patologia" należy dziś do najbardziej natrętnych narracji historycznych w świecie rozrywki. Czy wszyscy podążają za tym politpoprawnym trendem?

Okazuje się, że wcale nie. Pozytywny, dla odmiany, przykład tego, jak można opowiadać o dziejach naszego narodu, dała ostatnio niejedna seria światowych bestsellerów gier komputerowych wyprodukowanych na Zachodzie.

GROM, AK I CICHOCIEMNI

Prawdziwym hitem w świecie wirtualnej zabawy stała się ostatnio fikcyjna postać Elżbiety Bosak (pseud. Ela) – wirtualnej kobiety, żołnierza polskiego GROM. Polka występuje jako jednostka strategiczna w grze „Tom Clancy's Rainbow Six: Siege" – pierwszoosobowej strzelance taktycznej, wydanej 1 grudnia 2015 r. przez kanadyjską wytwórnię Ubisoft Montréal. Scenariusz oparto na słynnym technothrillerze „Tęcza sześć" Toma Clancy'ego, jednego z najbardziej utytułowanych amerykańskich pisarzy powieści sensacyjnych lat 90. (autora m.in. „Czasu patriotów" i „Polowania na Czerwony Październik").

Seria strzelanek „Tom Clancy's Rainbow Six" cieszy się od lat ogromną popularnością w środowisku wirtualnym. Gra stanowi symulację operacji antyterrorystycznych. Do zadań należy wiele akcji bojowych, w tym odbijanie zakładnika, zabezpieczanie terenu lub rozbrajanie bomby. Gracz wciela się w jednostki elitarne (tzw. operatorów), reprezentujące barwy światowych oddziałów specjalnych, np. amerykańskich Navy Seals, kanadyjskiego JTF2 czy francuskiego GIGN. Do tego niezwykle prestiżowego grona niedawno dołączyła polska „operatorka" GROM.

„Ela" zaliczana do najlepiej wyposażonych oraz wyszkolonych jednostek w tytule szybko stała się ulubienicą międzynarodowej społeczności graczy „Rainbow Six: Siege". Strzelanka zawiera ponadto informacje dotyczące samej jednostki GROM, a także historii jej patrona – cichociemnych – oraz ich walki z Wehrmachtem. Znakiem rozpoznawalnym „Eli" jest zresztą kotwica – symbol Polski Walczącej, której plakietkę nosi na ramieniu.

Postać Polki stała się tak popularna i lubiana wśród miłośników „Rainbow Six: Siege", że producent gry postanowił uzupełnić skład polskich antyterrorystów o kolejną postać z GROM – Zofię Bosak (pseud. Zofia), starszą siostrę „Eli". Postać przedstawiono 19 listopada w ramach prezentacji najnowszej aktualizacji gry „White Noise". Niebawem będzie dostępna do pobrania.

KRÓLOWA JADWIGA I KRAKOWSKIE SUKIENNICE

Za kolejny udany przykład reklamy historii Polski w świecie wirtualnym można uznać strategiczną grę turową „Sid Meier's Civilization VI". Opublikowana 21 października 2016 r. przez amerykańską wytwórnię Firaxis Games przedstawia wirtualną symulację dziejów ludzkości, w której głównym zadaniem gracza jest doprowadzenie jednej z dostępnych cywilizacji do rozwoju i chwały w dziedzinie kultury, nauki, gospodarki oraz religii (lub do podbicia przeciwnika).

eprasa.pl 4ec64585d0



Ela Bosak z „Tom Clancy's Rainbow Six: Siege"

W tytule jest obecnie 26 cywilizacji z różnych epok (m.in. starożytni Grecy, imperium brytyjskie, królestwo Azteków itp.). Na czele każdej z nich stoi przywódca – zaprogramowany na wzór postaci historycznej oraz mający własną osobowość i wyjątkowe zdolności. W panteonie największych nie zabrakło miejsca dla Polski. Wybierając cywilizację polską, wcielamy się tym razem w królową Jadwigę (wodzem Polaków w V części „Sid Meier's Civilization" był Kazimierz Wielki).

Polska monarchini ze względu na swoje wyjątkowe zasługi dla kultury i religijności należy nie tylko do najsilniejszych, lecz także do najbardziej lubianych przywódców. U boku królowej walczy husaria uznawana przez graczy za jedną z najgroźniejszych jednostek bojowych w całej grze (porządek merytoryczny nie jest tu najważniejszy, bo husaria w polskich dziejach to dopiero początek XVI w.). Unikatową budowlą Polaków są krakowskie Sukiennice dające graczowi niezwykle korzystne premie w handlu i gospodarce. Polska stała się z miejsca jednym z ulubieńców społeczności gry, wśród której częściowo panuje przekonanie, że jest ona nawet trochę „OP" (z ang. overpowered), czyli zbyt mocna, i że jej zdolności specjalne znacznie ułatwiają wygranie rozgrywki.

Ciekawy dodatek do zabawy stanowi tzw. civilopedia – załączona encyklopedia zawierająca nie tylko informacje dotyczące poszczególnych jednostek, budynków oraz władców w grze, lecz także szczegółowy opis historii przedstawianych narodów. Gracz dowiaduje się w ten sposób wiele o dziejach Polski, np. o dobie złotej wolności czy unii polsko-litewskiej – czyli o hasłach, które są często obce młodym ludziom na Zachodzie.

OD BIAŁEJ PLAMY...

Co do jednostronnego obrazu historii Polski w show-biznesie, to do niedawna gry komputerowe nie stanowiły żadnego wyjątku od reguły. W latach 90. Polska była jeszcze białą plamą na wirtualnej mapie świata – krainą o nieznanej lub niewystarczająco atrakcyjnej historii. W grach, nawet tych najbardziej znanych, nie było praktycznie żadnych wątków polskich. Nie brakowało zaś fabuł nawiązujących do historii Stanów Zjednoczonych, Francji, Wielkiej Brytanii czy Rosji. Absurdalnie swoje stałe miejsce, zwłaszcza w strzelankach oraz grach strategicznych – w gatunkach najpopularniejszych – miał zapewniony nawet... niemiecki Wehrmacht.

Na przełomie tysiąclecia zaczęło się to stopniowo zmieniać. Na rynku pojawiały się pierwsze tytuły, które przypominały graczom, że gdzieś tam na wschodnich peryferiach Europy istnieje rzeczywiście państwo o nazwie Polska (np. w serii gier „Cossacks"). Polacy występowali wówczas niestety jeszcze w bardzo stereotypowych rolach, np. obdarzonych niską inteligencją i nieznających angielskiego najemników (w kanadyjsko-amerykańskiej grze „Jagged Alliance 2") lub bezbronnych chłopów proszących pruskich żołnierzy o pomoc i protekcję (w tytule „Empire Earth" amerykańskiej wytwórni Stainless Steel Studios).

...DO ŚWIATOWEJ SŁAWY

Jedną z pierwszych gier, które przełamały antypolską narrację wirtualną, była symulacja bitew średniowiecznych „Mount and Blade" tureckiej wytwórni TaleWorlds Entertainment. Wydana w maju 2011 r. kontynuacja „Mount and Blade: Ogniem i mieczem" poświęciła np. całą swoją fabułę bohaterom naszej Trylogii oraz historii XVII-wiecznej Rzeczypospolitej.

Gracze z całego świata zaczęli poznawać historię Polski na nowo. Tyle że nie na podstawie podręczników do historii, lecz... narracji komputerowej. Potem było już tylko lepiej. W świecie wirtualnym zaczęto wspominać coraz częściej o naszych bohaterach narodowych, np. o Kazimierzu Pułaskim w roli przywódcy kawalerii armii kontynentalnej oraz prawej ręki Jerzego Waszyngtona w fabule „Assassin's Creed III" – trzeciej części słynnej sagi skrytobójców i bezdyskusyjnie jednej z najpopularniejszych gier XXI w.

Uwieńczenie tej pozytywnej zmiany podziwiamy dziś w tytułach takich jak „Tom Clancy's Rainbow Six: Siege" czy „Sid Meier's Civilization VI". Wniosek dla nas jest prosty: zachodnie wytwórnie tytułów wirtualnych nauczyły się opowiadać o naszej bogatej historii w sposób sprawiedliwy – wbrew trendom politpoprawnego show-biznesu. Niewykluczone, że za tą zmianą stoi motyw mniej szlachetny i tak naprawdę chodzi jedynie o zwiększenie zysku, a nie o poprawne nauczanie historii. Polska społeczność miłośników gier komputerowych to ogromny rynek zbytu dla zachodnich wytwórni. Być może doszły one wreszcie do wniosku, że „polska patologia" to model, który raczej odstrasza, niż zachęca. Czas, by tej lekcji nauczył się cały świat zachodniego show-biznesu. Może jesteśmy świadkami trwałych przemian?

eprasa.pl 4ec64585d0



Kasta celebrytów

Fot. Shutterstock

Wiele się dziś mówi o nadzwyczajnej kaście sędziów, ale przecież takich kast tworzonych przez ludzi przekonanych o swej wyższości nad innymi mamy w Polsce znacznie więcej. Jedną z nich tworzą artyści celebryci



KRZYSZTOF FEUSETTE

Kiedy znany z „Rodzinki.pl" Tomasz Karolak, stojąc u boku ówczesnego premiera Donalda Tuska, udzielał mu wyborczego poparcia „w imieniu więcej niż połowy środowiska aktorskiego", trudno było przypuszczać, że poziom narcyzmu i egocentryzmu będzie rósł wśród „znanych i lubianych" tak szybko. Dziś to już prawdziwa epidemia, a jej wirus zatacza coraz szersze kręgi, aż po „gwiazdy", których nazwiska nic nikomu nie mówią, a które miały swoje pięć minut wyłącznie dzięki odsłonięciu odpowiednich części ciała. Przykład, jak zawsze, idzie z góry, a dowodów na postępujący samozachwyt celebrytów oraz ich przekonanie o przynależności do nadzwyczajnej kasty nie sposób już zliczyć.

BOGOWIE OPINII

Jerzy Stuhr w wywiadzie dla Wirtualnej Polski – poza nazwaniem rodaków „niedouczonymi" i „niewychowanymi", a także deklaracją, że za granicą wstydzi się mówić po polsku – przytaczał wymowną anegdotę. „Wspominam w książce Vittorio Gassmana, wybitnego, nieżyjącego już włoskiego aktora.

eprasa.pl 4ec64585d0

Fani zwali go mattatore [wielkim showmanem – przyp. K.F.]. A kiedy podchodzili z pytaniem, czy mogą go dotknąć, Vittorio łaskawie wskazywał na swoje ramię. Często spotykam się z tym, że ktoś nawet nie zapyta, czy może sobie zrobić ze mną zdjęcie, tylko robi. Ludzie przekraczają granicę, i to jest przykre. To jakaś polska cecha". Z tej rozmowy dowiedzieliśmy się także, że w hotelu recepcjonista mówił do Stuhra seniora per maestro oraz że „krytyka w Polsce upadła", a negatywne opinie o ostatnich filmach pana Jerzego „są głupie".

Śladami ojca narcyza uparcie podąża syn Maciej, też artysta. „Każde zdanie wypowiadane publicznie przez nas, aktorów, ma inną siłę niż opinia Kowalskiego" – tłumaczył niedawno.

Wtórowała mu Maja Ostaszewska, jedna z twarzy czarnego protestu, dodając w zbiorowym wywiadzie dla „Newsweeka": „Jesteśmy osobami publicznymi, mamy wpływ na opinie innych". I dodawała, z mądrą zapewne miną: „To zresztą paradoks bycia aktorem: z jednej strony robi się z nas bogów, projektuje się na nas cechy postaci, które gramy. A z drugiej strony uważa się, że jesteśmy objazdowymi dziwkami, które można opluwać". Nie znam przykładów publicznych wypowiedzi, które dowodziłyby prawdziwości drugiej części jej teorii, za to na pierwszą dowody leżą na ulicy. Gorzej, że artyści robią z siebie bogów znacznie częściej niż zapatrzeni w ekranowych bohaterów widzowie.

W tym samym artykule inny aktor, Jacek Poniedziałek, opowiadał, że „z kolegami o prawicowych poglądach nie da się rozmawiać o sprawach politycznych i społecznych. Jedyną odpowiedzią jest cyniczny uśmieszek". Sam na żaden uśmiech nawet się nie sili. „Pisowskie ch...je" – napisał niedawno w internecie, dołączając do Zbigniewa Hołdysa i Andrzeja Saramonowicza, którzy już wcześniej takim samym bluzgiem obrzucali publicznie premiera Kaczyńskiego. Im również musiało się wydawać, że ktoś przywiązuje do ich „opinii" uwagę szczególną. Jako się rzekło, przykładów są dziesiątki, niech za nie wszystkie wystarczy „modna" dziś opinia wokalisty Macieja Maleńczuka: „Tylko ja mogę nosić na szyi swastykę i nikomu nic się nie dzieje".

No, chyba że ktoś należy do ruchu pro-life. Wtedy Maleńczuk – zapewne przekonany już nie tylko o swojej wyższości, lecz i bezkarności – zacznie bić obcego człowieka po twarzy, chwalić się tym na Facebooku i skrzykiwać sobie podobnych, by wrócić i „poprawić" uderzenie. W sądzie, jak łatwo się domyślić, pan Maleńczuk, syn Edwarda, nie był już tak odważny, wypierając się wszystkiego. Podobnie jak „oblany brunatną cieczą" Kuba Wojewódzki, który przez tydzień nie potrafił dostarczyć policji oblanej koszuli, a potem bohatersko wycofał się z oskarżeń.

EKSPERCI OD TERRORU

Kilkanaście dni temu wszystkie media obiegła mrożąca krew w żyłach historia bójki aktora Krzysztofa Pieczyńskiego z niezbyt zrównoważonym mężczyzną, wyzywającym go na ulicy od „pedałów" i „ubeków". Obaj złożyli zeznania na policji, obaj oskarżają się o napaść. Wystarczyło jednak kilka godzin, kilka podpuszczających aktora komentarzy w internecie, kilka telefonów od mediów rozpaczliwie poszukujących w Polsce faszyzmu i już narracja jaśnie artysty nabrała politycznych rumieńców. „Z każdą godziną, jak patrzę na to wydarzenie, myślę, że było ono związane z moją działalnością. Ja to nazywam »tolerancją po polsku«. To jest ten nowy polski patriotyzm" – zaczął opowiadać Pieczyński.

O jaką konkretnie działalność mu chodzi? Zapewne o jego brutalne i – szczerze mówiąc – noszące znamiona ponurej fobii ataki na ludzi wierzących oraz Kościół katolicki. Powtórzył je zresztą już kilka dni po bijatyce. „Środowiska prawicowe zaczęły budować na ulicach atmosferę strachu. Wraz z Kościołem dokonują rezurekcji faszyzmu, przyklaskując raz po raz narodowcom. Tak się tworzy państwo terroru" – opowiadał aktor.

Skąd narracja, że nie chodziło – jak twierdził wyzywający go mężczyzna – wyłącznie o czerwoną kurtkę Pieczyńskiego, skoro w toku czynności śledczych i po przesłuchaniu artysty prokuratura poinformowała opinię publiczną, iż nawet w jego zeznaniach nie ma choćby pół dowodu na to, że powodem zajścia były jego działania lub światopogląd? Może z chorych marzeń o tanim bohaterstwie, a może z przeświadczenia, że nie ma już w Polsce nikogo, kto Pieczyńskiego i jego działań nie zna? Wszak mówimy o geniuszu. „Swoją pozycję aktorską zawdzięczam ciężkiej pracy i talentowi. I proszę nie lekceważyć tego, że jestem ekspertem w sprawach aktorstwa. W mojej ocenie ten człowiek nie działał spontanicznie! To, co robił, było wynikiem treningu. Starannie zaplanowaną, przemyślaną i przećwiczoną sytuacją. Było inscenizacją".

Mało? To proszę jeszcze: „Powtórzę: jestem fachowcem najwyższej klasy od spraw aktorskich i twierdzę, że ten człowiek odegrał scenę. Kładę na szali czterdzieści lat mojej pracy". Nie wiem, jak było naprawdę, wolę wierzyć zeznaniom aktora w prokuraturze niż jego wynurzeniom dla medialnych łowców polskiego nazizmu. Obawiam się jednak, że jego szczytująca samoocena już nigdy nie pozwoli mu uznać, iż tam, na ulicy, naprawdę poszło tylko o kolor kurtki.

OBRAZY MAJESTATU

Podobny syndrom samozachwytu dopadł najwyraźniej także Dorotę Wellman, dziennikarkę TVN, znaną z grubego słowa rzucanego nader często ze szklanego ekranu. Wypinającą półnagą tylną część ciała, by całował ją, oczywiście na oczach telewidzów, Bogu ducha winny Szymon Majewski. Nie każdy pocałunek ma właściwości odczarowujące, dość przypomnieć, że niedługo potem kariera Majewskiego mocno przybladła. Gotuje się za to redaktor Wellman. „Wara od naszych macic" – głosi uparcie, promując jednocześnie marsze kobiet po wolną aborcję. Ostre słowa co rusz padają z obu stron barykady, ale kiedy trafił nimi panią Dorotę pisarz Jacek Piekara – sugerując na Twitterze, iż ktoś taki jak Wellman nie uprawia seksu, więc „dobrze wiedzieć, że aborcja jej nie grozi" – ta pozwała go do sądu. Wpis jest, rzecz jasna, obraźliwy, choć z własnego doświadczenia wiem, że gdyby każda osoba publiczna miała w takim przypadku składać pozew, sądy nie zajmowałyby się już

eprasa.pl 4ec64585d0



Kilkanaście dni temu media obiegła historia bójki Krzysztofa Pieczyńskiego z niezbyt zrównoważonym mężczyzną. Aktor zrobił z tego incydentu sprawę polityczną

Fot. Polsat News

niczym innym, a ja sam miałbym prywatną plażę na Malediwach.

Niestety przekonanie o tym, że osoby znane z ekranu rzeczywiście tworzą nadzwyczajną kastę, podzielił również sędzia w tej sprawie. Łączne koszty dla Piekary – obejmujące przeprosiny w „Wysokich Obcasach" oraz na pierwszej stronie portalu „Gazety Wyborczej" – mają wynieść... prawie 0,5 mln zł. Dlaczego pisarz ma przepraszać dziennikarkę akurat w tych mediach, a nie wyłącznie tam, gdzie zamieścił wpis, czyli na Twitterze? Bo „pisały one o sprawie". Skoro zaś pisały – dopowiedzmy – to mogą partycypować w zyskach z zadartego nosa gwiazdy czarnych protestów.

Gdyby komuś było mało, pisma procesowe słano Jackowi Piekarze na adres, pod którym nie mieszka, i nikt ich tam nigdy nie kwitował. Nawet tak zaciekły przeciwnik „pisowskiej władzy" jak Waldemar Kuczyński nazwał wyrok na pisarza „absolutnym skandalem", a tuzy Onetu wpadły w panikę tak wielką, że natychmiast – jak Bartosz Węglarczyk – zaczęły porównywać tę sprawę z procesem Pawłowicz vs Lis, gdy posłanka PiS zareagowała procesowo na nazwanie jej przez naczelnego „Newsweeka" „bulterierką prezesa". Tyle że wtedy Lis miał zapłacić 40 tys., nie zaś prawie 500 tys., a nakaz przeprosin obejmował publikację wyłącznie w zawiadywanym przez niego tygodniku.

> Artyści robią z siebie bogów znacznie częściej niż zapatrzeni w ekranowych bohaterów widzowie

Trudno się dziwić, że poza środowiskami zbliżonymi do TVN niewiele było głosów wspierających Wellman w jej działaniach. Cóż jednak pozostaje celebrytom, gdy opinia publiczna jest sceptyczna wobec ich histerii i samouwielbienia właściwego wspomnianym już kastom nadzwyczajnym? Pewną odpowiedź dał niedawno inny zaangażowany politycznie artysta, Daniel Olbrychski. „Nie podoba mi się ta Polska. Nie tylko obóz rządzących, ale i społeczeństwo, które tak zdecydowało [...]. To nie są moi politycy [...], a część społeczeństwa, która ich popiera, bardzo mnie rozczarowuje i zdumiewa swoją bezmyślnością, brakiem wiedzy historycznej, brakiem wyobraźni wreszcie".

Tej ostatniej akurat panu Danielowi nigdy nie brakowało. W tym samym wywiadzie zdradza, że próbował nawet sił w roli doradcy... ministra transportu. „Oznakowanie polskich dróg jest ciągle skandaliczne! [...] Próbowałem to wytłumaczyć ministrowi Nowakowi, ale zaraz po naszej rozmowie przestał być ministrem. Otrzymał ode mnie sześć stron odręcznie napisanych uwag, co jako kierowca widzę i co według mnie należałoby zmienić" – mówi aktor.

Znając Sławomira Nowaka, pewnie spojrzał tylko na zegarek, ale można to zrozumieć. Celebryci bywają bowiem w swym narcyzmie znacznie nudniejsi niż największe bufony z ulicy Wiejskiej.

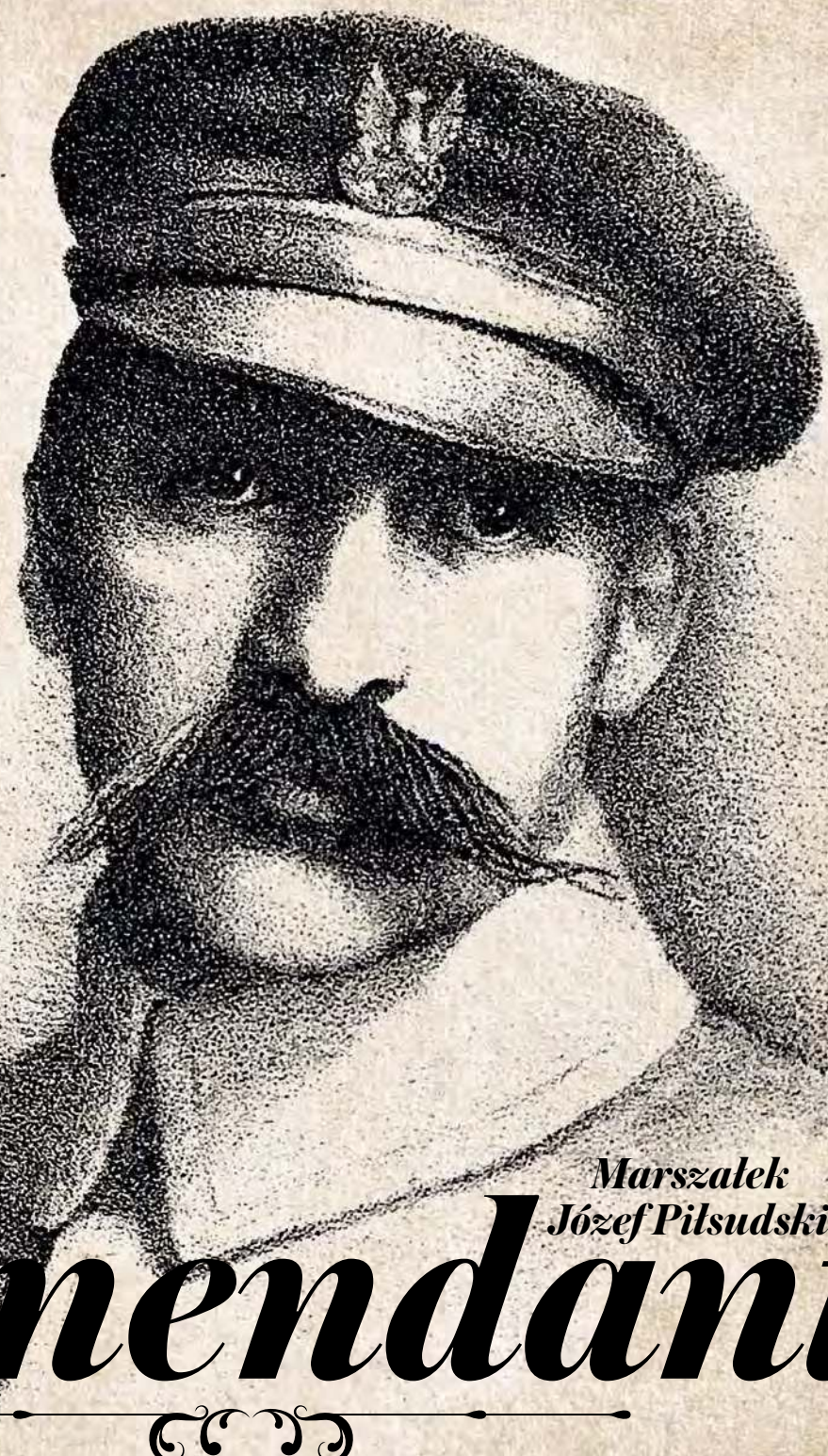
eprasa.pl 4ec64585d0

SIECI

Odc. 1 / 12

Cykl dodatków o niezwykłych ludziach, którym Polska zawdzięcza Niepodległość.

Autorska opowieść ***Tomasza Łysiaka*** *o pokoleniu, które wywalczyło Polsce byt po ponad stuleciu niewoli.*



Marszałek Józef Piłsudski

Komendant

MECENAS DODATKU

PARTNERZY DODATKU

PZU

ALIOR BANK

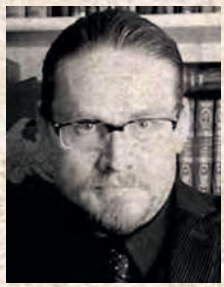
LOTOS



eprasa.pl 4ec64585d0

Bohaterowie Niepodległej

Z wdzięcznością i pokorą przychodzi mi zaprosić państwa do lektury zbioru esejów biograficznych, które złożą się na cykl „Bohaterowie Niepodległej". Będzie to swego rodzaju leksykon, w którym wyboru postaci i sposobu opowiedzenia o nich dokonuje sam autor – ze wszystkimi tego konsekwencjami, tak jak to bywa powiedzmy w tzw. alfabetach politycznych.



Złożona z dwunastu odcinków opowieść na pewno nie wyczerpie zagadnienia, przecież taki „słownik niepodległości" liczyłby zapewne setki opasłych tomów. A zatem „Bohaterowie Niepodległej" to coś bardzo osobistego i autorskiego.

W każdym odcinku odnajdą państwo biogramy jednej lub kilku postaci, których walka, wysiłek polityczny czy dyplomatyczny składały się na wspólne dzieło całego narodu – odzyskanie niepodległości. Znajdzie się więc tu miejsce dla tych największych – Piłsudskiego, Dmowskiego, Paderewskiego, jak i tych mniej znanych, a równie ważnych – Sosnkowskiego, Patka, Sławka, Hallera, Dowbora-Muśnickiego czy biskupa Bandrowskiego. Opowiem państwu o ułanach i artystach, o skautach i kapłanach, o adwokatach i politykach, generałach i szeregowcach. O kapralu Słomce i o Rydzu-Śmigłym. O katolikach, ewangelikach i żydach. O Polakach. O pięknych Polakach, dzięki którym odzyskaliśmy Niepodległą. Żyjemy w czasach, gdy bohaterów w sensie dosłownym jest coraz mniej. Odchodzą Powstańcy Warszawscy, ze wzruszeniem chylimy głowy przed ostatnimi Żołnierzami Wyklętymi. Tych, o których pragnę opowiedzieć, nie ma już wśród nas. Lecz powinni zostać w naszej pamięci i pamięci przyszłych pokoleń.

Z góry przepraszam, jeśli uznają państwo, że wśród opisanych postaci nie będzie tych, które być może według państwa na to zasługują. Proszę o wyrozumiałość, jak wspomniałem, to wybór osobisty, przedstawione zaś osoby są często po prostu przykładem „modelowym".

W „Żywotach sławnych mężów", pierwszym w historii dziele biograficznym, Plutarch dokonał ciekawego zabiegu – opisał swych bohaterów, łącząc ich w pary. Uważał bowiem, że studiowanie i porównywanie dwóch biogramów niesie dla czytelników ważną naukę. Chciał, by wyciągnęli oni wnioski, które pomogą im w ich własnym życiu. By historia nabrała wymiaru moralitetu. Dla mnie osobiście podróż przez polskie dzieje stanowi zawsze wyzwanie i zachętę do pracy nad sobą.

Cześć i chwała bohaterom! – skandujemy wspólnie w trakcie patriotycznych manifestacji. W tym szczególnym roku Stulecia Odzyskania Niepodległości odkrywajmy dla siebie i dla naszych dzieci wspaniałych Bohaterów Niepodległej, którzy sto lat temu rzucili swoje życie na stos!

Tomasz Łysiak



fot. Zdjęcie z kolekcji Tomasza Łysiaka

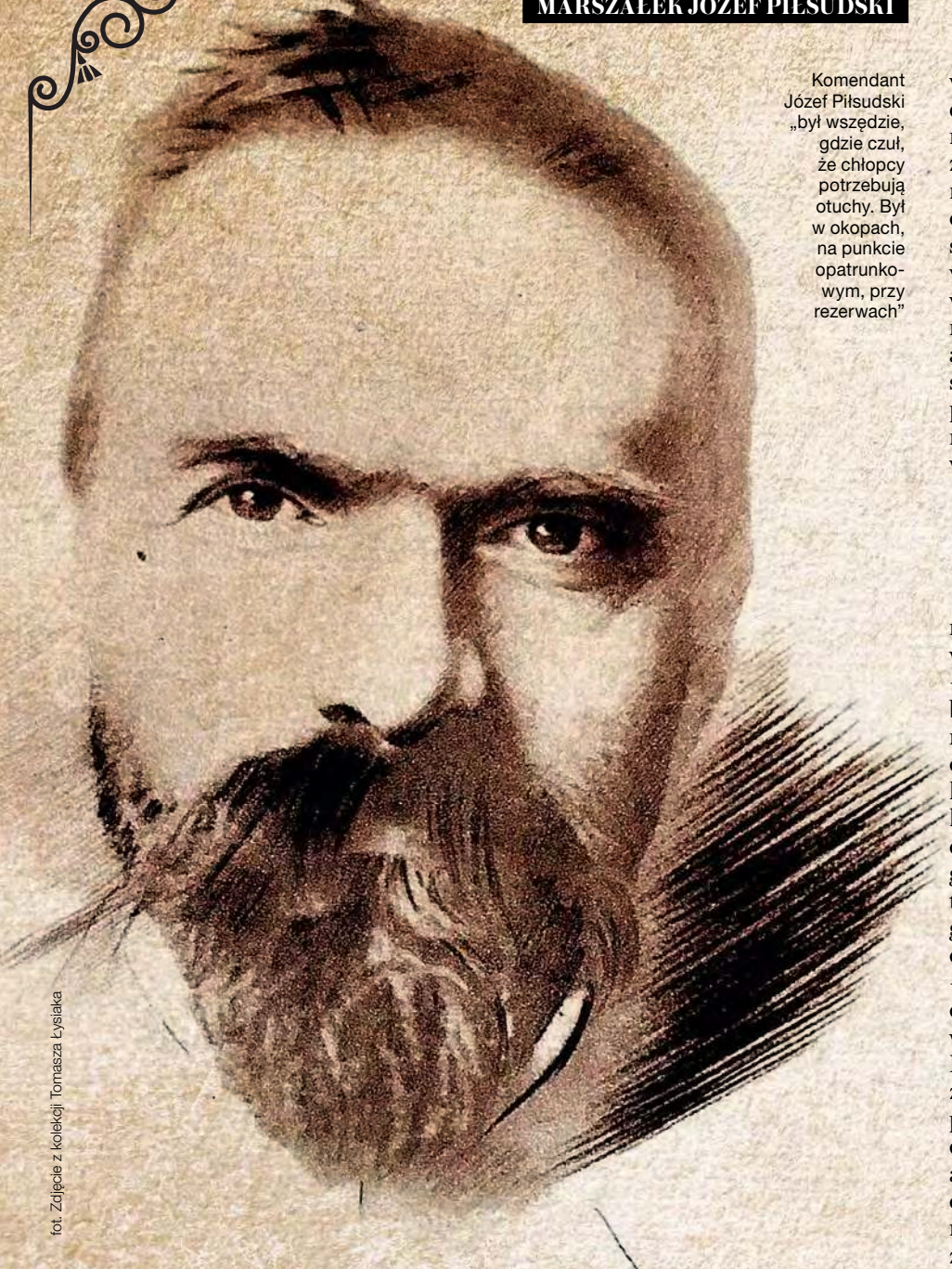
eprasa.pl/46c64585d0

Do marszałka Józefa Piłsudskiego tylko najbliżsi i zaufani – jego przyjaciele z dawnych lat, z czasów PPS-owskich bojów i legionowej epopei – mogli mówić Komendancie. Etapy jego życia to kolejne pseudonimy i tytuły – od Ziuka w dzieciństwie, przez Wiktora i Mieczysława w trakcie działalności konspiracyjnej, po Komendanta, Brygadiera, Naczelnika Państwa i Marszałka. Trzy z nich, gdy popatrzeć na okres walki o Niepodległość, lata 1914–1918, wyznaczają nie tylko los Piłsudskiego, lecz i dzieje powstającej z grobu Rzeczypospolitej. Opowieść tę zaczniemy od Komendanta, potem przyjrzymy się Brygadierowi, a na końcu uwagę skupimy na Naczelniku Państwa w czasie kształtowania się pierwszych zrębów odradzającej się państwowości.



Józef Piłsudski wśród oficerów I Brygady Legionów

eprasa.pl 4ec64585d0



Komendant Józef Piłsudski „był wszędzie, gdzie czuł, że chłopcy potrzebują otuchy. Był w okopach, na punkcie opatrunkowym, przy rezerwach”

fot. Zdjęcie z kolekcji Tomasza Łysiaka

Był 6 sierpnia 1914 r. Strzelcy stojący nad granicą między zaborem austriackim a rosyjskim nie mogli pohamować łez. Ze ściśniętymi ze wzruszenia gardłami śpiewali „Rotę”. Wyruszając w bój z krakowskich Oleandrów, wchodzili na teren Królestwa Kongresowego niesieni nadzieją – oto po 50 latach po raz kolejny miało wybuchnąć powstanie. Byli pełni młodzieńczego entuzjazmu. Wierzyli, że tym razem insurekcja się uda. Musi się udać. Że tym razem będzie lepiej niż w roku 1863. Wiele na to wskazywało. W jakich warunkach można wygrać powstanie? – pytali teoretycy. Po pierwsze, gdy wszyscy zaborcy pogrążą się w wojnie (samotna walka z którymkolwiek z nich byłaby mrzonką); po drugie, jeśli Polacy przygotują się do niego z punktu widzenia militarnego – będą w stanie wystawić własne, wyszkolone i uzbrojone oddziały; oraz po trzecie wreszcie, jeśli poprowadzi ich do boju wódz mający klasyczne cechy wybitnych przywódców, takie jak charyzma, geniusz wojenny czy elastyczność i umiejętność dokonywania modyfikacji własnych zamierzeń wobec zmiennej sytuacji (tym zawsze wygrywał Napoleon w porównaniu ze sztywno myślącymi pruskimi oficerami). O ile w przypadku insurekcji styczniowej trudno mówić o przygotowaniu do walki (wybuch został przecież wymuszony), dobrej sytuacji międzynarodowej (nadzieja na wojnę była płonna), a charyzmatyczny wódz, owszem, pojawił się, lecz w chwili gdy walka i tak była już przegrana, o tyle w roku 1914 wiele przemawiało za tym, że faktycznie plan powstańczy może się powieść...

Szli za nim, bo go pokochali

Komendant Józef Piłsudski nie na darmo studiował historię powstania styczniowego, czcząc je z jednej z strony, z drugiej – postanawiając nie powielać tamtych błędów. Wychodził ze słusznego założenia, że porażka może być przekuta w zwycięstwo, jeśli stanie się doświadczeniem, lekcją. Wychowanie na polskiej legendzie historycznej, na matczynych opowieściach o Kościuszce czy Legionach Dąbrowskiego pozostawiły w duszy i umyśle Ziuka trwały ślad. Potem, gdy dorastał, sam sięgał po ubogacające lektury i szukał wzorców. Nie tylko polskich, bo – jak wiadomo – czytał zarówno Słowackiego, jak i książki o Napoleonie. Notabene napoleoński ślad wielkości rysował się w nim bardzo silnie. Piłsudski zresztą, podobnie jak cesarz, zjednywał sobie podległych mu żołnierzy prostotą bycia, serdecznością czy zwykłym dzieleniem wojennych trudów. Strzelcy, a potem legioniści szli za nim, bo go pokochali. Rozpatrywanie losów samych Legionów, a także wszelkich dalszych zdarzeń związanych z odzyskaniem niepodległości bez tego ważnego czynnika – miłości, jaką swego Komendanta obdarzyli jego podkomendni – jest opowieścią niepełną. Jego najbliższy współpracownik, szef sztabu 1. pułku, Kazimierz Sosnkowski tak zapamiętał dowódcę w trakcie walk pod Laskami (październik 1914), gdzie zresztą Piłsudski został ranny: „[...] był wszędzie, gdzie czuł, że chłopcy potrzebują otuchy. Był w okopach, na punkcie opatrunkowym, przy rezerwach”. Inny legionista wspominał: „Patrzy na nas oczyma pełnymi jakiegoś żalu i męki, równie smutnymi jak dobrymi i kochającymi”.

eprasa.pl/46c64585d0



Oddziały Strzelców w Oleandrach w Krakowie. Pośrodku widoczna kobieta z szablą i rewolwerem w kaburze, z prawej chłopiec w mundurku skautowskim. Widoczne również karabiny Mannlicher wz. 1890 ustawione w kozły

fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

Celem była Warszawa

Komendant i jego chłopcy czekali na wybuch wojny, by na terenie Kongresówki wzniecić powstanie. Na terenie Galicji, korzystając z prawa umożliwiającego zakładanie tzw. związków strzeleckich, można było organizować grupy paramilitarne, ćwiczyć się we władaniu bronią czy taktyce bojowej. Działalność Związku Walki Czynnej, powołanego do życia przez Kazimierza Sosnkowskiego była właśnie takim przygotowaniem do walki przez nabór, trening i szkolenie. Prowadzono „niższe kursy wojskowe", po ukończeniu których otrzymywało się oficerską odznakę w kształcie parasola. Program ZWC zakładał „prowadzenie poza granicami caratu robót przygotowawczych oraz wykształcenie organizatorów i kierowników dla przyszłego powstania zbrojnego w zaborze rosyjskim. Dążąc do rewolucyjnego powstania Polski przeciw najazdowi moskiewskiemu, ZWC stwierdza, że celem zgodnych usiłowań ogółu jego członków jest Niepodległa Republika Demokratyczna".

Piłsudski przewidywał, że gdy wybuchnie wojna, Rosjanie będą musieli się wycofać z Zagłębia i Kielecczyzny poza linię Wisły. Dlaczego? Wystarczy zerknąć na mapę. Po prostu w innym wypadku znaleźliby się w sytuacji, w której łatwo byłoby ich oskrzydlić i otoczyć, gdyż z jednej strony mogli zaatakować ich Niemcy, a z drugiej – Austriacy. I faktycznie w pierwszych dniach wojny Rosjanie zaczęli się z tych terenów wycofywać. W tej sytuacji strzelecka „baza wypadowa" w krakowskich Oleandrach stanowiła znakomity punkt wyjścia do ataku – granica znajdowała się przecież niedaleko, dosłownie kilkanaście kilometrów dalej. Plan Piłsudskiego zakładał, że w sumie na teren Królestwa wejdzie najpierw osiem, a potem 12 kompanii. To miał być fundament powstającego wojska, którego liczebność miała wzrosnąć przez nabór prowadzony już na terenie zaboru rosyjskiego. Celem strzelców była Warszawa. Po opanowaniu stolicy Komendant chciał ogłosić niepodległość i postawić świat przed faktem dokonanym – oto jest niepodległa Polska! Plan ten, z różnych względów, się nie powiódł. Powstanie jako takie się nie udało, utworzono potem Legiony, które biły się pod rozkazami austriackimi, ale finał całego tego zamierzenia – czyli zbrojny powstańczy udział w rozpoczynającej się wojnie, połączony z działaniami dyplomatycznymi – przyniósł Polsce wolność. W tym sensie powstanie roku 1914 uważam jednak za zwycięskie – wojna, w której ochotniczo wzięli udział Polacy, skończyła się ogłoszeniem niepodległości.

eprasa.pl 4ec64585d0



Oddziały Strzelców w Oleandrach w Krakowie, 3 sierpnia 1914 r.

fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

Oleandry

Tereny powystawowe na krakowskich Oleandrach to miejsce, które powinniśmy uznać za kolebkę odzyskanej niepodległości. Kiedyś każdemu Polakowi na hasło „Oleandry" żywiej biło serce – wyobraźnia od razu stawiała przed oczami obraz wyruszających na bój Strzelców z I Kompanii Kadrowej. Małe dziecko obudzone w środku nocy mogło opowiedzieć, co się działo 6 sierpnia 1914 r. Dzisiaj ta pamięć mocno przyblakła. Niszczeje budynek autorstwa znakomitego architekta Adolfa Szyszko-Bohusza postawiony na miejscu wymarszu w 1934 r., a eksponaty Muzeum Czynu Niepodległościowego, które w owym budynku się mieści, pokrywają się kurzem w związku z ciągnącym się od lat konfliktem o prawo użytkowania nieruchomości pomiędzy Związkiem Legionistów a magistratem. Gdy w 2014 r., jeszcze za rządów Platformy Obywatelskiej, obchodziliśmy stulecie wyruszenia I Kadrowej z Oleandrów, nie nadano temu wydarzeniu odpowiedniej rangi i 6 sierpnia minął tak, że wielu Polaków nawet nie dowiedziało się o rocznicy.

Tymczasem wymarsz z Oleandrów i wszystko, co się z nim wiąże, to jedna z najpiękniejszych kart naszych bojów o niepodległość. Wystarczy wyobrazić sobie, że ze wszystkich stron, z Galicji i z Królestwa (nielegalnie przekraczano granicę), z małych miast pod Krakowem i ze Lwowa – ciągną na wezwanie Komendanta setki młodych chłopaków. Są wakacje. Owszem, od czasu, gdy 28 czerwca w Sarajewie zginął arcyksiążę Ferdynand świat stoi na krawędzi wojny, ale czy rzeczywiście ona wybuchnie? Tego nie wie nikt. Ba, sam Piłsudski sądził do ostatniej chwili, że prawdopodobieństwo rozpętania się konfliktu wynosi jedynie 35 proc. (co nie przeszkadzało mu działać tak, jakby było to 100 proc.). Zjeżdżali do Krakowa zarówno członkowie Związku Strzeleckiego, jak i Strzelca, Sokoła czy Polskich Drużyn Strzeleckich. Stawali jak na wezwanie jakiegoś mitycznego rogu – „Olifanta Niepodległości". Niektórzy gnali nawet z zagranicy, inni, jak Orlicz-Dreszer, uciekali z wojska rosyjskiego lub austriackiego. Dojeżdżali Polacy ukrywający się do tej pory przed poborem do wojska kajzera. Biedni, często niemający mundurów lub szyjący je na własną rękę. Studenci, dziennikarze, muzycy, malarze, uczniowie gimnazjalni, harcerze, ale i ślusarze, stolarze, szewcy czy fryzjerzy. Katolicy, prawosławni, ewangelicy, żydzi. Wszyscy. Młodzi Polacy. Oficjalnie w Oleandrach, w tych wielu dziwnych budynkach pozostałych po Wystawie Architektury, odbywały się ćwiczenia. Strzelcy spali nawet w budynku teatru, na

eprasa.pl/4ec64585d0



STABILIZACJA I BEZPIECZNY ROZWÓJ

Jesteśmy jedną z najnowocześniejszych rafinerii w Europie, producentem paliw i produktów chemicznych najwyższej jakości. Dostarczamy wysoko wyspecjalizowane usługi logistyczne i serwisowe. Naszym celem jest stabilny, bezpieczny i zrównoważony rozwój. Tworzymy przestrzeń dla innowacji.

www.lotos.pl

LOTOS

eprasa.pl 4ec64585d0

deskach sceny, a gdy wyobrażam ich sobie leżących tam pokotem, z płaszczami pod głową, to myślę, że duch Wyspiańskiego krążył między nimi; że słychać było tętent konia; że to Wernyhora jechał; że oni – to Polska właśnie.

Musieli stworzyć wspólnotę

Czasem wystarczy spojrzeć na człowieka, by wiedzieć, kto zacz. Ot, wejdzie ktoś do pomieszczenia, a my już wiemy – lubimy go lub nie albo czujemy, że nam z nim nie po drodze. Albo można wysłuchać opowieści o tylko jednym zdarzeniu z czyjegoś życia, by się zorientować – wielki on czy mały, gigant czy zwykły średniak, mocarz czy słabeusz. I tak jedna scena związana z Komendantem pozwala zrozumieć, dlaczego potem, przez całe lata, jego legioniści szli za nim, słuchając go ślepo, widząc w nim dziedzica największych polskich wodzów, królów i hetmanów, mając go za męża opatrznościowego, za przyszłego zwycięzcę, któremu musi się udać. Wystarczy przypomnieć o rozkazie z 3 sierpnia 1914 r., wystarczy wniknąć w dusze tych chłopaków, którzy stali wyprężeni przed nim, by zrozumieć wszystko.

Najpierw tylko musimy pojąć, że choć wszyscy ci młodzieńcy, którzy zjechali do Oleandrów, owszem, myśleli o walce o wolną Polskę, owszem, chcieli przywdziewać mundury i brać karabin do ręki, ale jednocześnie byli między sobą mocno poróżnieni. Wiemy przecież, że co Polak, to inna wizja Polski, a tym bardziej wizja drogi wybicia się na niepodległość. Na terenie Królestwa Kongresowego rząd dusz polskich sprawowali Roman Dmowski i endecja. Po doświadczeniach powstania styczniowego wielu porzuciło na zawsze myśli o insurekcjach, a wizja oparcia naszego dążenia do wolności na Rosji była w praktyce wcielana w życie przez samego Dmowskiego. Inni z kolei byli przeciwni socjalistom, a ruch wojskowy Piłsudskiego kojarzył im się z socjalistyczną rewolucją. Następni znowuż rozumieli sens budowania siły wojskowej właśnie u boku Austrii, trafnie oceniając (tak jak to zrobił Piłsudski), że z wielu względów jedynie zabór austriacki daje szansę na zakonspirowane przygotowanie polskiej armii. Reasumując – wszyscy ci chłopcy

3 sierpnia 1914

Przemówienie Komendanta Józefa Piłsudskiego do złączonych w I Kompanię Kadrową oddziałów Związków Strzeleckich i Polskich Drużyn Strzeleckich

Odtąd nie ma ani strzelców, ani drużyniaków. Wszyscy, co tu jesteście zebrani, jesteście żołnierzami polskimi. Znoszę wszelkie odznaki specjalnych grup. Jedynym waszym znakiem jest odtąd orzeł biały. Dopóki jednak nowy znaczek nie zostanie wam rozdany, rozkazuję, abyście zamienili ze sobą wasze dawne oznaki, jako symbol zupełnej zgody i braterstwa, jakie muszą wśród żołnierzy polskich panować. Niech strzelcy przypną do czapek blachy drużyniaków, a oddadzą im swoje orzełki. Wkrótce może pójdziecie na pola bitew, gdzie, mam nadzieję, zniknie najlżejszy nawet cień różnicy między wami.

Żołnierze!

Spotkał was ten zaszczyt niezmierny, że pierwsi pójdziecie do Królestwa i przestąpicie granicę rosyjskiego zaboru, jako czołowa kolumna wojska polskiego, idącego walczyć za oswobodzenie ojczyzny. Wszyscy jesteście równi wobec ofiar, jakie ponieść macie. Wszyscy jesteście żołnierzami. Nie naznaczam szarż, każę tylko doświadczeńszym wśród was pełnić funkcje dowódców. Szarże uzyskacie w bitwach. Każdy z was może zostać oficerem, jak również każdy oficer może znów zejść do szeregowców, czego oby nie było... Patrzę na was, jako na kadry, z których rozwinąć się ma przyszła armia polska, i pozdrawiam was, jako pierwszą kadrową kompanię.

eprasa.pl/46c64585d0

nie tworzyli wcale wspólnoty. A w zamyśle Piłsudskiego musieli ją stworzyć, by stać się jednolitym wojskiem.

Wymieńcie się orzełkami

Komendant wiedział doskonale, że nasze tragiczne losy żywią się wewnętrznym konfliktem. Już czasy konfederacji barskiej to rozbicie Rzeczypospolitej na różne, zwalczające się obozy. Konstytucja 3 maja? Zarówno jej twórcy, jak i targowiczanie mieli się za gorących patriotów. Gdy w 1792 r. targowica wjeżdżała do kraju na moskiewskich bagnetach, to usta miała pełne gładkich słów o wolności.

Powstanie listopadowe – to tragiczny rozdźwięk między powstańczą młodzieżą a antypowstańczą postawą dowódców. Wreszcie powstanie styczniowe – słynny podział na białych i czerwonych, który notabene wziął się od stosunku studentów do strajku na uczelni. Wszędzie siłą niszczącą był nie tylko zaborca, była nią także nasza narodowa, wieczna waśń i niezgoda. I gdy już na marginesie zanotowaliśmy sobie tę myśl, wróćmy do Oleandrów.

Oto chłopcy ustawiają się w szeregach. Po jednej stronie strzelcy, po drugiej drużyniacy (członkowie Drużyn Strzeleckich). Komendant wychodzi, wygłasza do nich piękną, krótką mowę – rozkazuje wymianę orzełków. Bo trzeba wiedzieć, że strzelcy mieli orzełki swojego wzoru, a drużyniacy tzw. blachę. Mówi im – wymieńcie się waszymi symbolami na znak jedności. Sam zdejmuje swojego orzełka z maciejówki i oddaje za blachę komendanta Drużyn Strzeleckich Burchardta-Bukackiego. Ten gest oznacza ni mniej, ni więcej, tylko „odłóżcie na bok wszystkie wasze dotychczasowe pomysły, idee, frazesy, urazy, zaszłości, pretensje, żale, wizje, pomysły, sympatie i antypatie! Za chwilę idziecie w bój o Polskę. Żeby się nam udało, musimy być razem. Musimy być jednością!”.



fot. Zdjęcie z kolekcji Tomasza Łysiaka

W tamtej chwili – gdy chłopcy pod okiem Komendanta wymieniali się orzełkami, ściskali nawzajem, patrzyli w oczy bez urazy – Polska zaczęła zmartwychwstawać...

Wymarsz

Zanim ruszyli, Komendant wysyłał przez granice grupy wywiadowcze. Początkowo na teren Zagłębia, gdyż tam najpierw chciał skierować swoich strzelców. Potem do Królestwa, w kierunku na Jędrzejów, wkroczył pierwszy patrol ułański pod dowództwem Beliny-Prażmowskiego (o nim, o romantycznej eskapadzie owej „Siódemki Beliny” i o beliniakach przeczytają państwo w odcinku zatytułowanym „Ułani”).

Decyzję o wymarszu Piłsudski podjął wieczorem 5 sierpnia i oznajmił ją w mieszkaniu Walerego Sławka przy ul. Dunajewskiego. Co ważne, oficjalnie nie wybuchła jeszcze wojna między Austrią a Rosją! W domu Sławka był także Daszyński. Komendant uściskał się z nim serdecznie. Alarm wyznaczono na 6 sierpnia na 3.00 w nocy. Do boju miała pójść I Kompania Kadrowa. Ta, która stanowiła forpocztę i jednocześnie zalążek powstającego polskiego wojska. Dowodził nią tymczasowo Tadeusz Kasprzycki. Kompania została, jak na ówczesne możliwości, dość dobrze wyekwipowana (np. w karabiny typu Mannlicher, mundury, ładownice, skórzane tornistry). Liczyła 144 żołnierzy, ale biorąc pod uwagę jeszcze np. patrole konne czy intendenturę, w sumie możemy doliczyć się 165 ludzi. Kasprzycki, człowiek urodzony w Warszawie, lecz doskonale znający Kielce z czasów nauki, miał wprowadzić oddział składający się zresztą w przeważającej mierze z królewiaków do zaboru rosyjskiego. Wybór nie był przypadkowy. Chodziło przecież o to, że rozpoczynając wojnę, „wracamy do Polski”, do domu.

Komendant wyprowadził Kadrową poza miasto, a potem zawrócił. Zanim przeszli granicę pod Michałowicami, Tadeusz Kasprzycki „Zbigniew” ustawił ich w szeregu, aby spojrzeli przed siebie, na to, co ich czeka, na ten typowo polski krajobraz, i poczuli, że oto tam, gdzieś daleko na horyzoncie, wstaje Niepodległa. Była godzina 9.00 rano. Kasprzycki zanotował w swoim dzienniku: „I nagle przenika ostra świadomość, że zaczyna się coś nieznanego. Chwila, przeczuwana, że stanie kiedyś, w jakiejś mglistej przyszłości, zjawia się w realnych kształtach. Zaczynam nią żyć. [...] Ze wzgórza widać daleko gaje, pola, pagórki ziemi kieleckiej – w słońcu uśmiechnięte. [...] Komendant daleko, mamy być dla niego »coup de sonde«, na własnej skórze trzeba sprawdzić, czy jest wróg”...

Wygłosił do strzelców krótką mowę: „Kompania, baczność! Obywatele... otrząsnąć z siebie powłokę pokoju... w imieniu Rządu Narodowego... stan wojny... przed

eprasa.pl 4ec64585d0

6 sierpnia 1914 r.

Rząd Narodowy.
Wybiła godzina rozstrzygająca! Polska przestała być niewolnicą i sama chce stanowić o swoim losie, sama chce budować swą przyszłość, rzucając na szalę wypadków własną siłę orężną. Kadry armii polskiej wkroczyły na ziemię Królestwa Polskiego, zajmując ją na rzecz jej właściwego, istotnego, jedynego gospodarza – Ludu Polskiego, który ją swą prawicą użyźnił i wzbogacił. Zajmują ją w imieniu Władzy Naczelnej Rządu Narodowego.
Niesiemy całemu narodowi rozkucie kajdan, poszczególnym zaś jego warstwom warunki normalnego rozwoju.
Z dniem dzisiejszym cały naród skupić się winien w jednym obozie pod kierownictwem Rządu Narodowego, poza tym obozem zostaną tylko zdrajcy, dla których potrafimy być bezwzględni.

Komendant Główny Wojska Polskiego
JÓZEF PIŁSUDSKI

nami ziemia od lat w niewoli... idziemy ją wyzwolić. Od dziesiątków lat pierwszy oddział regularny wojska polskiego... Na cześć tej ziemi: kompania, w prawo patrz!". Zagrały trąbki. Zaśpiewano „Rotę"...

Po chwili ruszyli w stronę pustych, opuszczonych przez Rosjan budynków granicznych. A tam carskie portrety, czarne orły... Wszystko na ziemię. I najważniejsze – słupy graniczne. Te słupy graniczne to był symbol całego zła, rozbiorów, grabieży polskiej ziemi. Wywracali te słupy, likwidując fałszywą granicę między Rosją a Austrią, a myślą wracali do idei, która przyświecała powstańcom styczniowym walczącym nie tylko o wolność i niepodległość, lecz i o... całość. O dawne polskie ziemie, o utraconą, wielką I Rzeczpospolitą.

Ale też wtedy, w trakcie przemówienia Kasprzyckiego, padły ważne słowa – „Rząd Narodowy"...

Rząd Narodowy

I Kompania przekroczyła granicę. Nazajutrz zajęła Miechów i parła dalej w kierunku Słomnik oraz Jędrzejowa. Tuż za nią wyruszyły dwie następne kompanie. W tym miejscu trzeba podkreślić wyraźnie – na początku sierpnia 1914 r. na teren Królestwa nie wkraczała tylko jedna kompania! Czasem można usłyszeć, jak niesieni szlachetnym patriotycznym uniesieniem mówcy wspominają o „grupce szaleńców", która miała rzucić wyzwanie całej Rosji. Otóż nie chodziło o jedną kompanię. Po przeorganizowaniu się w Kielcach całość sił złożyła się na jeden pułk, słynny 1. Pułk Piechoty, liczący kilka tysięcy żołnierzy. Choć nawet to jest absolutną kroplą w porównaniu z siłami przeciwnika i nie można nawet marzyć o samodzielnych działaniach na skalę większą niż potyczki lub nieduże bitwy, ale też z drugiej strony nie jest to także „garstka 144 szaleńców".

Szli w stronę wroga, wierząc w to, co przekazał im Piłsudski – że powstał polski rząd. Komendant, tuż po wyprawieniu strzelców w bój, udał się w Krakowie do siedziby Komisji Skonfederowanych Stronnictw Niepodległościowych (KSSN), po czym powiadomił wszystkich, że w Warszawie sformował się właśnie Rząd Narodowy. I że ten rząd mianował go Komendantem Głównym powstającego wojska. Komisja zareagowała zdumieniem, ale uznała, że

eprasa.pl/4ec64585d0

ALIOR BANK

BANK PRZEDSIĘBIORCZOŚCI

TANKUJ TANIEJ Z RACHUNKIEM PARTNER



Wybierając bezpłatny Rachunek Partner z kartą debetową, zyskujesz **niską cenę paliwa na wszystkich stacjach w Polsce**.

paliwo.aliorbank.pl

Aby nie płacić za prowadzenie rachunku, wystarczy opłacać z Rachunku Partner lub Rachunku Pomocniczego zobowiązania wobec ZUS lub US (min. jedno w miesiącu) oraz spełnić JEDEN z poniższych warunków: a) otrzymywać wpływy od kontrahentów lub wpłacać utarg na Rachunek Partner lub Rachunki Pomocnicze w kwocie nie mniejszej niż 2500 zł/mies. (nie wliczając przelewów z rachunków własnych, także prowadzonych w innych bankach, oraz z powiązanego rachunku indywidualnego) LUB b) skorzystać z dowolnego kredytu dla firm. Niespełnienie warunków wiąże się z pobraniem opłaty za prowadzenie Rachunku Partner w wysokości 25 zł/mies. Promocją „Cashback dla Przedsiębiorców" objęte są płatności bezgotówkowe realizowane kartą Mastercard Debit Commercial na stacjach paliw w Polsce; zwrot do 100 zł/mies. następuje po spełnieniu warunków regulaminu. W okresie promocji Bank nie pobiera opłat miesięcznych za kartę oraz opłaty za korzystanie z usługi cashback dla Przedsiębiorców. Oferta dla nowych klientów biznesowych Alior Banku. Szczegóły oferty i regulamin dostępne są w placówkach i na www.aliorbank.pl.

eprasa.pl 4ec6458500

w takim razie będzie pełniła funkcję swego rodzaju „przedstawicielstwa" owego rządu. Aby blef zadziałał całkowicie, Komendant postanowił wykorzystać jeszcze słowo pisane i wydrukował specjalną odezwę. Pomagał mu jego współpracownik Leon Wasilewski, który tak wspominał ówczesny stan ducha Piłsudskiego: „Komendant miał wyraz oczu dość figlarny. Wówczas mieliśmy bezwzględne zaufanie do akcji Komendanta, a poza tym przejęliśmy się zupełnie serio poczuciem obowiązku stosowania się bezwzględnego do jego rozkazów. Wkraczaliśmy już bowiem w okres wojny i związanej z nią dyscypliny, a Komendanta uważaliśmy za naczelnego wodza powstania".

Warto tu zwrócić uwagę na dwie rzeczy: po pierwsze, uznanie Piłsudskiego za wodza już od pierwszych chwil walk. A po drugie, istotny element w relacjach Piłsudskiego ze strzelcami, a potem legionistami: zaufanie i dyscyplinę. Jeśli potem, w 1917 r., będziemy szukać odpowiedzi na pytanie, dlaczego tylu żołnierzy I Brygady posłuchało jego wskazań i odmówiło złożenia przysięgi na braterstwo broni z Niemcami, to już w tych pierwszych dniach wojny znajdujemy odpowiedź. To jakaś część tej wielkiej tajemnicy Piłsudskiego, tej umiejętności pociągnięcia za sobą innych, wskazania im drogi i spowodowania, by niezależnie od okoliczności trwali wierni jego rozkazom.

Wacław Jędrzejewicz po latach wyjaśniał to tak: „Głównym elementem wiążącym żołnierzy I Brygady było bezgraniczne zaufanie do obywatela Komendanta, wielka żołnierska miłość i przywiązanie, najcenniejszy dar, jaki żołnierz może dać swojemu dowódcy. To uczucie odegrało dużą rolę w Legionach, a i potem w niepodległej Polsce".

Powstanie Rządu Narodowego, całkowicie zmyślone przez Komendanta, miało być elementem walki propagandowej. Piłsudski wiedział, że samo zaistnienie rządu jako takie już jest widomym znakiem odradzającej się Niepodległej i że jest potrzebne.

Obywatel Komendant

Jeszcze tego samego dnia wieczorem w kawiarniach krakowskich i na ścianach budynków pojawiła się odezwa o treści: „Polacy! W Warszawie utworzył się Rząd Narodowy. Obowiązkiem wszystkich Polaków jest skupić się solidarnie pod jego władzą. Komendantem polskich sił wojskowych mianowany został ob. Józef Piłsudski, którego rozporządzeniom wszyscy ulegać winni. Rząd Narodowy. Warszawa, 3 sierpnia 1914". Potem dołączono do tego jeszcze rozkaz o numerze 1, tym razem już podpisany przez samego Komendanta Głównego.

W tytulaturze, której użyto, ukryte były sensy i znaczenia odróżniające powstające właśnie wojsko od innych formacji – czy to austriackich, czy rosyjskich. Po pierwsze, mamy tu słowo „obywatel". Strzelcy bowiem zwracali się do siebie „obywatelu" na znak nowego, sprawiedliwego ładu społecznego, gdyż walczyli nie tylko o Polskę jako taką, lecz o Polskę nowoczesną i – mówiąc zupełnie anachronicznie, lecz terminologią przystającą do naszych czasów – „solidarną", czym zresztą narażali się tym wszystkim, którzy mieli wojsko Piłsudskiego za socjalistyczne. Na początku legionowej odysei nie istniały także regularne stopnie wojskowe. Mieliśmy więc do czynienia z obywatelem komendantem plutonu lub obywatelem komendantem kompanii. Piłsudski był obywatelem Komendantem Głównym.

Tenże Komendant miał już niedługo ruszyć na teren Królestwa razem z pozostałymi kompaniami. 8 sierpnia był w Miechowie. Pojawiła się druga kompania pod Mieczysławem Norwidem-Neugebauerem. Wtedy doszło do wydarzenia, które nie miało żadnego znaczenia dla rozwoju sytuacji militarnej, ale jest warte wspomnienia z powodu późniejszego



Wymarsz I Kompanii Kadrowej do Kongresówki – oddziały strzelców po zdobyciu Kielc

eprasa.pl/4ec64585d0

mitu i legendy: 9 sierpnia Piłsudski otrzymał od Eustachego Romera, właściciela majątku Czaple Małe, słynną Kasztankę...

10 sierpnia dwie kompanie strzeleckie połączyły się w batalion, nad którym dowództwo objął Sosnkowski. 12 sierpnia pod Słowikiem dołączyła do nich Komenda Główna. Jednocześnie na terenach, na które wkraczali strzelcy, zaczynały funkcjonować podległe warszawskiemu Rządowi Narodowemu komisariaty i punkty werbunkowe. Rozwieszano obwieszczenia podbijane pieczęcią rządową wzorowaną na tej z roku 1863. Z odchodzącymi Rosjanami toczono jedynie niewielkie potyczki. Obrano kierunek Kielce.

Po drodze do strzelców dołączali nieliczni ochotnicy, w tym polscy skauci...

Kieleckie okiennice

Do potocznej polszczyzny weszło sformułowanie „zamknięte kieleckie okiennice". Jest ono krzywdzące dla Kielc, gdyż odnosi się raczej do ziemi kieleckiej, a nie miasta. Akurat w Kielcach maszerujących strzelców witano ciepło. Inaczej było jednak „w terenie" – choć i tam zdarzały się miasteczka pozytywnie nastawione do powstańczego wojska, jak Iwanowice, gdzie grała orkiestra i śpiewano hymn, lecz w przeważającej mierze na wkraczających do Królestwa pełnych entuzjazmu chłopców czekał zimny prysznic. Nie tylko nie chciano wstępować w szeregi powstańczej armii, lecz patrzono na nich wrogo – taki był efekt ponad wieku przeżytego pod rosyjskim knutem. Ludzie w Królestwie Kongresowym mówili o Rosjanach „nasi", „nasze wojsko". Tak było również potem, gdy do Warszawy wkraczali Niemcy. Wtedy, co piszę z bólem serca, warszawiacy dosłownie płakali za wycofującymi się Rosjanami.

Przejmujący opis takiego „przyjęcia" w Królestwie można znaleźć w pamiętniku Romana Starzyńskiego (brata słynnego prezydenta stolicy) „Cztery lata wojny w służbie Komendanta". Jego kompania weszła do miejscowości Skała... „Jest już północ. Mimo to na rynku tłum ciekawych obserwuje przemarsz »obcego« wojska. »Nasi« – odeszli. Tych »obcych« nikt nie wita, nikt nie pozdrawia. Ciekawy tłum – patrzy i milczy. Nikt nie wyniesie szklanki wody, nikt nie poda kromki chleba. To już nie Krakowskie, nie polska Galicja, to Rosja, zaludniona szczepem mówiącym po polsku, ale czującym po rosyjsku".

Te słowa są kluczem do zrozumienia trudności, z jaką musieli się w trakcie wojny zmierzyć Komendant Piłsudski i jego chłopcy. Nie mieli oni przeciwko sobie „jedynie" potęgi wojskowej wroga. I nie mieli także „jedynie" nad sobą potęgi wojskowej swojego „sojusznika", czyli Austrii, a potem Niemiec (konflikt z Austriakami i Niemcami to także część trudnego losu, jaki ich czekał), ale mieli przeciwko sobie również „swoich". Polaków myślących „po rosyjsku", a nie „po polsku". W tym sensie czekało ich bardzo trudne zadanie. Musieli się stać iskrą, zarzewiem, pobudzić innych, porwać za sobą.

Na wjeździe do Kielc idących strzelców i ich Komendanta powitał konny skaut Bankiewicz. Złożył meldunek. To piękny, wzruszający moment – radosna, pełna chęci do walki o ojczyznę młodość. Gotowość do ofiar, gotowość do rzucenia życia „na stos". Ale też czająca się tuż za rogiem porażka powstania i czekający ich dwuletni mozół na polach bitew. Gorzkie doświadczenia, które potem wybrzmią w słowach „Marszu I Brygady". Wszyscy ci chłopcy mieli jednak na czym się oprzeć. Mieli... Komendanta. „A z nami był nasz drogi wódz" – śpiewali potem, wspominając tę wyjątkową relację, która ich z nim łączyła. Obok Piłsudskiego stali jego najbliżsi – Walery Sławek, Wieniawa-Długoszowski czy kapitalny szef sztabu Kazimierz Sosnkowski... Ale o nich opowiemy w następnych odcinkach „Bohaterów Niepodległej".



fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

eprasa.pl 4ec64585d0

Pieśń o wodzu miłym

„Pieśń o wodzu miłym" zwana potocznie „Jedzie, jedzie na Kasztance"

sł. Wacław Kostek-Biernacki, mel. (na motywach ludowych) Zygmunt Pomarański

Jedzie, jedzie na Kasztance
Siwy strzelca strój
Hej, hej, Komendancie,
Miły wodzu mój!

Gdzie szabelka Twa ze stali,
Przecież idziem w bój?
Hej, hej, Komendancie,
Miły wodzu mój!

Gdzie Twój mundur jeneralski
Złotem szywany?
Hej, hej, Komendancie,
Wodzu kochany!

Idziem z Tobą po zwycięstwo
Młodych strzelców rój
Hej, hej, Komendancie,
Miły wodzu mój!

Masz wierniejszych niż stal chłodna,
Młodych strzelców rój...
Hej, hej, Komendancie,
Miły wodzu mój!

Nad lampasy i czerwienie
Wolisz strzelca strój...
Hej, hej, Komendancie,
Miły wodzu mój!

Ale pod tą szarą bluzą,
Serce ze złota!
Hej, hej, Komendancie
Serce ze złota!

Ale błyszczą groźną wolą,
Królewskie oczy!
Hej, hej, Komendancie
Królewskie oczy!

Pójdziem z Tobą po zwycięstwo,
Poprzez krew i znój
Hej, hej, Komendancie,
Miły wodzu mój!

Wacław Biernacki tak opisał powstanie piosenki: „Piosenkę tę napisałem w pierwszych dniach lub tygodniach marca 1915 r., w czasie naszego pobytu nad Nidą. Żadnych specjalnych okoliczności przy napisaniu tej piosenki nie było. Po prostu – była napisana serdecznie, z tym uczuciem, jakie miałem dla Komendanta zawsze. Kasztanka była pierwszym stałym i znanym przez wszystkich żołnierzy wierzchowcem Komendanta... Melodia do tej piosenki jest melodią starej bardzo wojskowej piosenki z początku dziewiętnastego wieku, jest motywem ludowym".

eprasa.pl/4ec64585d0
56/0178/F



MATERIAŁ
MARKETINGOWY

To jest życie!

Pomożemy Ci wziąć je we własne ręce.
Zadbaj o ochronę tego, co ważne.
Majątek, życie, zdrowie, oszczędności.

PZU

Możesz na nas polegać

801 102 102
Opłata zgodna z taryfą operatora

pzu.pl

eprasa.pl 4ec64585d0



fot. Archiwum Biblioteki Narodowej

Pocztówka z epoki, z obrazem A. Grzybowskiego, porucznika Legionów

eprasa.pl/4ec64585d0



Lubię królową Jadwigę

O serialu „Korona królów”, ideowych wyborach i teatralnym spełnieniu z aktorką ***Haliną Łabonarską*** *rozmawia Piotr Zaremba*

Fot. Julita Szewczyk

eprasa.pl 4ec64585d0

Trwa wielka debata o serialu, a właściwie telenoweli „Korona królów". Jak pani na nią reaguje jako odtwórczyni chyba najważniejszej roli – królowej Jadwigi?

Halina Łabonarska: Niczego bym do tej debaty nie dodawała, jest bardzo ciekawa, choć irytowało mnie, że niektórzy zabierali głos, zanim serial się pojawił. Ale cieszę się, że dzięki „Koronie królów" ludzie zaczęli się interesować historią. Słyszę od przyjaciół, że idą do księgarń szukać książek o polskich Piastach.

Przemawia do pani krytyka, że zbyt ubogie kostiumy i dekoracje, papierowy scenariusz, słabi aktorzy?

Widzę, że oceny zmieniają się z odcinka na odcinek. I widzę, jak zmieniają się młodzi aktorzy, nabierają pewności siebie. Może nie wszystko w „Koronie królów" jest takie, jak bym sobie wymarzyła. Ja się zgodziłam w serialu grać, bo prywatnie interesuję się historią.

Właśnie tym okresem?

Tak, również tym okresem, proszę sobie wyobrazić, że czytałam po kolei wszystkie powieści Elżbiety Cherezińskiej. To główny powód mojej zgody na udział w przedsięwzięciu.

Ale jeśli zestawić powieści Cherezińskiej i ten scenariusz, można mieć poczucie spłaszczenia.

Oczywiście, ale taki film, telenowela, ma swoje prawa. Nie ze wszystkim się zgadzam, mam wątpliwości wobec niektórych wątków fikcyjnych, dodanych dla uatrakcyjnienia, pozyskania masowego odbiorcy. Pewnie wolałabym ściślejsze trzymanie się faktów.

Tylko że wtedy nie mielibyśmy telenoweli. Bo ona zakłada pokazywanie tylu szczegółów, że trzeba czymś akcję wypełnić.

Tak, choć w dalszych odcinkach akcja nieco przyspieszy. Proszę mi wierzyć, kierowałam się atrakcyjnością tej konkretnej roli. Na wybitność dzieła składa się wiele elementów: scenariusz, reżyseria, aktorzy. Stawia się „Koronie" wyśrubowane żądania, zestawia z serialem „Dynastia Tudorów", z innymi dziełami. Może i słusznie, tyle że ja widzę w tym pożyteczną opowieść o historii Polski. A niektóre elementy są atakowane przesadnie, np. całkiem piękne i wygodne kostiumy Eli Radke.

Pojawiły się informacje, że pani się odcina od serialu.

To nieprawdziwy przekaz. Odmówiłam dziennikowi „Fakt" wywiadu, mówiąc, że chcę ocenić serial z dłuższej perspektywy. Bo sama obecność na planie nie wystarczy. Zmanipulowano moją wypowiedź, nadając jej postać dystansowania się od „Korony". Od tej pory, jeśli usłyszę w telefonie nazwę „Fakt", będę odkładała słuchawkę.

> Dziś koledzy w moim środowisku nie chcą widzieć granic, za którymi kończy się sztuka. Pojawiają się brutalność, obrzydliwość. Wiem, ile kosztuje twórcę prawdziwa sztuka

Gra pani nie tylko główną postać, lecz i wielobarwną, interesującą, dominującą... To panią skusiło?

Kiedy dostałam propozycję, od razu wyczułam tę niezwykłość. Zarazem samo wydobycie z ludzkiej niepamięci tej królowej wydało mi się atrakcyjne. Kobiety, która była żoną kogoś tak istotnego i ciekawego jak Władysław Łokietek. Na początku wiedziałam tyle.

Potem zaczęło mi się to składać w skomplikowaną opowieść. Ona żyła z mężem przez 40 lat. W tamtej epoce to fenomen, żony szybko umierały, czasem były oddalane przez władców. Wyobraziłam sobie, że musiała ich łączyć miłość. Wszystko układało się w obraz kobiety mocnej, dominującej, współrządzącej, będącej najbliższym doradcą króla. To dla aktorki wielka okazja, możliwość budowania materiału od podstaw. Czułam się wręcz twórcą konkretnego człowieka. Wymyślałam, jak się poruszać, jak patrzeć, jak wyglądać. To dla mnie zwykle ważniejsze niż same słowa. Oczywiście telenowela narzucała ograniczenia.

Jakie?

Jest bardzo szczegółowa, ale zarazem odcinki są krótkie i powstają szybko. Muszę zatem skracać też swoje reakcje. Nie ma czasu na to, aby po odpowiedzi było coś jeszcze: czekanie na ripostę partnera, budowanie postaci poprzez mimikę, gest, mowę ciała. W teatrze reżyser pozwala mi na więcej, nie pogania mnie. Jeśli wyczuwa, że jest dobrze, pozwoli mi pomilczeć, obrócić się, zrobić koło na scenie, w końcu uderzyć w partnera słowami. Tego czasu tu stale brakuje.

A jednak, proszę pozwolić powiedzieć: efekt jest fenomenalny. Lubi pani królową Jadwigę?

Tak, i to z sympatii do niej odrzucam złośliwości kierowane pod adresem „Korony królów". Atak na wszystkich, którzy tam pracują, jest zresztą głęboko niesprawiedliwy. W pracę nad serialem jest zaangażowanych wiele świetnych postaci. Grałam jedną scenę z panem Wojciechem Żołądkowiczem, odtwórcą roli księcia Olgierda. Nagle zobaczyłam, jak on świetnie buduje swoją postać.

Atak na „Koronę" ma podłoże polityczne?

Również, to okazja, by przyłożyć publicznej telewizji, a w szerszym sensie „wstrętnym pisiorom". Czytam takie komentarze nieustannie. Ale czy mam się tym martwić? Bać się, że z tego powodu nie dostanę kolejnych ról?

Lubi pani Jadwigę, a ona jest dość bezwzględna, czasem okrutna.

eprasa.pl 4ec64585d0



Fot. Julita Szewczyk

Bywa bezwzględna, choć mówi, że kieruje się prawem. Ale zgoda, to surowe prawo, kary bywają okrutne. Przechodzę nad tym do porządku, bo ona broni silnej władzy, walczy o swoje, a racje jej rodziny to zarazem racje państwa. Na dokładkę jest ambitna. Prawdziwa Jadwiga rzeczywiście nie chciała oddać synowej korony.

Bywa też małostkowa, choćby w walce z tą synową, litewską księżniczką Aldoną Anną, którą oplata siecią intryg. Jest nieufna...

Jest, ale dzięki temu broni rodziny, to warunek przetrwania w tamtych czasach. Nie chciałam jej wygładzać. Nie gram postaci cukierkowej, lukrowanej, władza kojarzy mi się z siłą, czasem z przemocą. Pokazujemy historię prawdziwą, tak jak w zachodnich filmach.

Jadwiga zresztą nigdy nie zrezygnowała z władzy. Nawet kiedy wyprowadziła się do Starego Sącza i pod koniec życia założyła habit, swoimi włościami rządziła żelazną ręką. Mocna kobieta tamtych czasów. Nauczyła się tego przy Łokietku. Wyczytałam, że razem z mężem objeżdżała kraj, kiedy on podejmował decyzje. Jak nie widzieć w niej kogoś, kto miał na te decyzje wpływ?

Wręcz spycha pani w cień inne postaci „Korony królów".

Myślę, że w takich rolach dzielimy się swoim życiowym doświadczeniem. Młodzi aktorzy dopiero gromadzą ten potencjał, oglądają świat. Czasem to doświadczenie przyjdzie z wiekiem, czasem nie. Nie można się ograniczać do zewnętrznej strony rzeczywistości, trzeba wniknąć w sferę duchową.

Tylko że pani była obdarzona charyzmą już w latach 70. Grając świetne role w Teatrze Nowym w Poznaniu, które są pamiętane do dziś, debiutując w filmie główną rolą kobiecą w „Aktorach prowincjonalnych" Agnieszki Holland. Wspominam panią jako senną Helenę w telewizyjnym „Wujaszku Wani" w reżyserii Aleksandra Bardiniego – rok 1980.

To już pana opinia, miło mi.

A jak wspaniale broni pani swoich postaci. Caryca w telewizyjnych „Listach z Rosji" według markiza de Custine'a w jednej scenie jest odpychająca, a w innej nagle ją rozumiemy, czujemy sympatię. To zapewne zamysł reżysera Wawrzyńca Kostrzewskiego. Ale pani dodaje tam coś od siebie.

Nie idealizuję swoich bohaterek, każdy z nas ma ciemną stronę. Wie to, czuje to człowiek, który ma życiowe doświadczenie. Ale ma pan rację, te moje bohaterki bywają połączeniem ognia z wodą.

Znakomity debiut w „Aktorach prowincjonalnych", a potem... Film pani nie polubił czy pani filmu?

Parę innych ról jeszcze było.

To prawda, pani dała się zapamiętać nawet z niewielkiej roli lekarki w „Człowieku z żelaza" Andrzeja Wajdy.

A potem przyszedł stan wojenny. Agnieszka Holland wyjechała z Polski, Ryszard Bugajski – też. Antoś Krauze nie mógł robić filmów. To byli ludzie, z którymi wcześniej pracowałam. I tak minęły lata 80.

A po roku 1989, w wolnej Polsce?

Nigdy do końca nie odkryłam, co takiego się stało. Możliwe, że wpływ miały kwestie światopoglądowe, moja współpraca z Radiem Maryja. Nie pasowałam do tego świata.

Ale w teatrze znalazła pani wiele ciekawych propozycji.

To prawda, choć bywały też momenty trudne. Dobrze się rozumiałam w Teatrze Polskim z dyrektorem Kazimierzem Dejmkiem...

Który przecież był człowiekiem lewicy, PZPR-owcem.

I bardzo się nawzajem szanowaliśmy, z powodów artystycznych. Współpracowałam z nim całe lata 80. A potem, za jednego z kolejnych dyrektorów tej sceny, wypchnięto mnie z Polskiego. Kiedy zaczęto na mnie patrzeć przez pryzmat Radia Maryja, dla wielu było oczywiste, że Łabonarska nie może grać. Nastał czas izolacji.

Wybrałaby pani taką drogę po raz drugi?

Tak, bo chciałam być wierna sobie. Dla mnie sensem życia jest Bóg. To nie było żadne objawienie, byłam taka zawsze. Gdybym się bardziej maskowała, pewnie lepiej dawałabym sobie radę. A dziś niektórym moim kolegom świat się zawalił z powodu polityki, więc protestują. A ja protestowałam, owszem, za komuny, ale potem nigdy niczego swemu środowisku nie narzucałam. Chciałam być tylko sobą. Powtarzam: dla mnie Bóg jest na szczycie hierarchii.

I teatr także powinien takiemu przekazowi służyć?

Absolutnie tak. Zawsze się tym kierowałam. Dlatego czasem musiałam odrzucać rozmaite propozycje. I bywałam przedmiotem tego, co dziś nazywa się hejtem.

eprasa.pl 4ec64585d0

Zarzucano pani zbyt mocne zaangażowanie polityczne, choćby udział w filmie „Smoleńsk”.

I tego również nie żałuję. Krytyka filmu zupełnie nie uwzględniała realiów, przeszkód, braku pieniędzy, fali niechęci. Ufałam reżyserskiej wielkości Antoniego Krauzego. Chciałam tam zagrać choćby niedużą rolę. Z powodu swoich przekonań, a nie chęci służenia jakiejkolwiek partii. To zawsze było mi obce.

Zarazem występuje pani jednak w zwykłych przedstawieniach, niezwiązanych z żadnym światopoglądem. Główne postaci w „Wizycie starszej pani” Dürrenmatta, wcześniej we „Wszystkich moich synach” Millera – w Teatrze Dramatycznym. W obu obsadził panią syn, wspomniany już Wawrzyniec Kostrzewski.

Tak, to były fascynujące teatralne wyzwania. A chwilę wcześniej w Teatrze Polskim grałam u Janusza Wiśniewskiego Nerona, postać naznaczoną złem. Tylko że to nie była rola służąca złu, ono nade mną w tym spektaklu nie panowało. I powtarzam: umiałam też rozmaite propozycje odrzucać. Jeśli odbiegały od mojego myślenia: o Bogu, o Polsce, o świecie. Taka umiejętność jest aktorowi potrzebna.

Wśród aktorów częste jest nastawienie: zagram wszystko u każdego.

A ja miałam intuicję, żeby tak nie myśleć nawet w czasach, kiedy nie byłam jeszcze tak bardzo wyrazista. Sądzę, że są przedstawienia, które obiektywnie służą złu.

Grała pani w „Aktorach prowincjonalnych”, w których Agnieszka Holland stawiała, wtedy bardzo pryncypialnie, problem aktorskiej etyki. To dziś problem poważny?

Ten film się w ogóle nie zestarzał. Opowiada choćby o uciekaniu w pseudoawangardę; wtedy to była ucieczka przed dylematami komunizmu. A dziś koledzy w moim środowisku nie chcą widzieć granic, za którymi kończy się sztuka. Pojawiają się brutalność, obrzydliwość, epatowanie. Wiem, ile kosztuje twórcę prawdziwa sztuka. Ale są środki wyrazu, które stają się zaprzeczeniem sztuki.

Spotkaliśmy się kiedyś na premierze w Dramatycznym. Często pani chodzi na przedstawienia jako widz?

Chodzę. Ale pewnego typu sztuk unikam, na „Klątwę” w Teatrze Powszechnym nie poszłam. Zdarza mi się także wyjść z teatru podczas przerwy.

> Kiedy w latach 90. zaczęto na mnie patrzeć przez pryzmat Radia Maryja, dla wielu było oczywiste, że Łabonarska nie może grać. Nastał czas izolacji

Z czego pani wyszła?

Na przykład z „Fedry” w reżyserii Mai Kleczewskiej w Teatrze Narodowym. Uznałam, że za chwilę zwymiotuję. Nie akceptuję scen dotykających w taki sposób intymności w relacjach kobiety z mężczyzną. To nie miało nic wspólnego z oryginałem, ale przede wszystkim uważam, że w teatrze są granice. Proszę mi zostawić miejsce na własną wyobraźnię, na swoją wrażliwość.

Ma pani jakieś szczególne marzenie teatralne? Niezagraną rolę?

Chciałabym zagrać charakterystyczną postać, która nie byłaby królową czy carycą [śmiech].

Klara Zachanassian w „Wizycie starszej pani” była taką postacią.

To prawda. Dostaję propozycje, o których wiele aktorek może marzyć. I mówię: Boże, dziękuję Ci, że jestem jeszcze potrzebna. W to, co robię, wchodzę do końca, bez reszty. Zawsze marzę o czymś niepowtarzalnym, o roli, którą tworzę od podstaw, sama.

Spiera się pani dziś z kolegami? Anna Chodakowska miała ostatnio robić wspólne przedstawienie z Danielem Olbrychskim, ale się nie udało. Bo pokłócili się o politykę.

Takich sytuacji nie przeżywam, raczej zachowuję dystans, unikam różnic. Kiedyś one były może bolesne, teraz w codziennej pracy jestem traktowana z szacunkiem i odpowiadam tym samym.

A jak się pracuje z Wawrzyńcem Kostrzewskim? Pani syn obsadzał panią kilka razy: „Wszyscy moi synowie”, „Wizyta starszej pani”, w telewizji „Walizka” Małgorzaty Sikorskiej-Miszczuk, „Listy z Rosji”.

Wawrzyniec nie ma identycznych przekonań ideowych. W teatrze jednak się spotykamy, bo ma wyobraźnię bardzo otwartą na metafizykę. Często się spieramy, ale z tego wynikają ciekawe rzeczy. Podczas wspólnej pracy on mówi do mnie: Halina, ja zaś: panie reżyserze [śmiech]. Zachowujemy się profesjonalnie. W ostateczności idziemy w tym samym kierunku. Nie mam wątpliwości, że jego pomysły sceniczne mają sens.

Czuje się pani spełniona jako aktorka?

Tak. Życia nie zmarnowałam, zresztą nigdy się nie cofam w swoich decyzjach. Grałam u wspaniałych dyrektorów: Izy Cywińskiej, Tadeusza Łomnickiego, Gustawa Holoubka, Kazimierza Dejmka. Dotykałam najwspanialszych osiągnięć polskiego teatru. Niczego mi nie zabrakło. Chciałabym tylko, żeby w naszym środowisku nie było tak bolesnego podziału. Marzę o zgodzie, wzajemnym szacunku, zrozumieniu. Marzę o miłości między ludźmi.

A wierzy w nią pani?

Wierzę. Wiara i nadzieja budują, nie powinniśmy ich tracić nawet na moment.

eprasa.pl 4ec64585d0

ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM

Straszni, ale czy mieszczanie?

Marcina Wronę, reżysera, który odszedł od nas tragicznie, chwaliłem za ostatni film „Demon". I krytykowałem za telewizyjną adaptację „Moralności pani Dulskiej". A teraz wprawił mnie w rozterkę.

Jego pomysł, aby komedię Gabrieli Zapolskiej o Anieli Dulskiej przenieść w zasadzie, choć nie od początku, w czasy współczesne, wydał mi się efekciarski i mało logiczny. Zwłaszcza w środowiskach, które są dziś odpowiednikiem mikrokosmosu Dulskich, „te sprawy" załatwia się wręcz odwrotnie. Dialogi brzmiały dziwnie w zderzeniu z realiami, a niektóre fragmenty trzeba było usuwać, żeby Dulska, współczesna bizneswoman, mogła perorować na tle telewizora.

Uwspółcześnianie najróżniejszych tekstów poprzez przebieranie aktorów we współczesne ubrania, początkowo czasem ożywcze, już dawno stało się skostniałą manierą, która straszy nawet w operach. A ja, jako jeden z ostatnich, szukam dla niej uzasadnień. I najczęściej nie znajduję niczego poza łatwizną. Inaczej nie da się podobno powiedzieć współczesnej publice: to także o was. A czasem to nie jest nawet o nas, w każdym razie nie wprost.

Wrona trzy lata temu wziął na warsztat inną komedię Zapolskiej – „Ich czworo" z 1907 r. I właśnie nam ją przypomniano. W Teatrze Telewizji robił tę przypowiastkę o wyjątkowo trywialnym trójkącie z dzieckiem w tle po raz ostatni Tomasz Zygadło 40 lat temu – w doborowej obsadzie i klasycznej oprawie. Wrona swoim zwyczajem musiał przypomnieć: to o was. Mieszając epoki, style zachowań, rekwizyty. W efekcie jedne postaci są połowicznie staroświeckie, ale Mariusz Ostrowski jako kochanek Fedycki paraduje w popkulturowych warkoczykach, a grająca Żonę, współczesną wrzaskliwą babę w krótkiej spódniczce, Małgorzata Kożuchowska podobno naśladuje Dodę.

To, co u Zapolskiej jest półcieniem, tu staje się wrzaskiem, chwilami jak z rodzinki Kiepskich. Już chciałem skwitować: łatwizna. Ale zacząłem się zastanawiać.

„Moralność pani Dulskiej" opowiada o starym świecie, którego w tej postaci nie ma. Za to „Ich czworo" jest zaskakująco współczesne, a zarazem może najmniej realistyczne ze sztuk Zapolskiej, chwilami groteskowe jak Mrożek. Bohaterowie rodem gdzieś ze styku inteligencji i drobnomieszczaństwa nie kierują się zasadami klanu Dulskich, co zresztą prowadzi do katastrofy. W finale rodzina rozpada się, łatwo i głupio. To w czasach Zapolskiej zdarzało się rzadko. Mogłoby się za to z drobnymi zmianami realiów przydarzyć teraz.

Zapolska zdaje się walczyć z czymś, co dopiero nadchodzi. Nie z niewolą kobiet (jak poniekąd w opowieści o Dulskiej), a raczej – to politycznie niepoprawne – z ich rozpanoszeniem. Owszem, nawet koszmarna Żona wyposażona jest w jakieś usprawiedliwienia, sympatyczne odruchy. Owszem, prawo stoi w jakiejś mierze po stronie mężczyzny – cóż z tego, skoro akurat ten Mąż (Artur Żmijewski) nie korzysta z przewagi, bo jest słaby i delikatny. Wszystko to nie jest zbyt zgodne z antymieszczańskim schematem.



Nie wiem, co myślał Wrona, ale wzięcie finału we współczesny nawias jakoś tę myśl uwypukla. Przypominając zarazem prawdę bardzo aktualną: kiedy dorośli się biją, cierpi dziecko. Nie polubiłem tej inscenizacji, ale próbuję ją zrozumieć. No jest i fenomenalna Agata Buzek jako pozornie bezradna, faktycznie przebiegła Mania z kresów.

Pozostaję rozdarty. Ale nadal będę radził: chcecie uwspółcześniać dawne wielkości, piszcie własne, oryginalne repliki.

Piotr Zaremba



Fot. NAC

Paderewskiego nigdy dosyć

Wydarzeniem nie tylko muzycznym jest ukazanie się niemal jednocześnie dwóch płyt z Koncertem fortepianowym Ignacego Jana Paderewskiego w znakomitych interpretacjach Dang Thai Sona i Jonathana Plowrighta



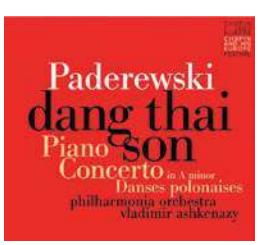
ADAM CIESIELSKI

Obchody stulecia niepodległości są szczególną okazją przywołania twórczości charyzmatycznego artysty i polityka, o którym się mówi, że „wygrał Polskę na fortepianie". Wykorzystując swą olbrzymią popularność nie tylko wśród melomanów, lecz i przywódców światowych mocarstw, niestrudzenie orędował za wskrzeszeniem ojczyzny. Do czynu zbrojnego Józefa Piłsudskiego i kunsztu dyplomacji Romana Dmowskiego dodał swoje wpływy w Białym Domu, skutkujące umieszczeniem kwestii niepodległości Polski w słynnych 14 punktach prezydenta USA Thomasa Woodrow Wilsona.

Koncert a-moll op. 17 jest jednym z najpopularniejszych dzieł zarówno w dorobku Paderewskiego, jak i w ogóle w rodzimej literaturze fortepianowej. Jego zaczątkiem było powstałe już w 1882 r. Allegro. Pozostałe części – Romanze, Andante oraz Finale i Allegro molto vivace rodziły się w następnych latach, m.in. w Krakowie, Zakopanem, Paryżu i Wiedniu. To ostatnie miasto jest szczególnie znaczące. Tam (dzięki finansowemu wsparciu Heleny Modrzejewskiej) Paderewski podjął studia pianistyczne u legendarnego Teodora Leszetyckiego, tam też – w interpretacji żony Leszetyckiego Anetty Jessipowej jako solistki i orkiestry pod batutą Hansa Richtera – 20 stycznia 1889 r. sukces odniosło prawykonanie koncertu. W kwietniu tego samego roku zafrapowana kompozytorem Jessipowa zagrała jego utwór w Warszawie.

Także sam kompozytor miał w repertuarze swój chwalony koncert. Sięgało poń również wielu pianistów polskich i zagranicznych. Z lat ostatnich warto wymienić choćby firmowaną przez Narodowy Instytut Fryderyka Chopina interpretację Nelsona Goernera z Narodową Orkiestrą Symfoniczną Polskiego Radia pod batutą Jacka Kaspszyka. Teraz NIFC w serii „Koncerty zatrzymane w czasie" wydał płytę, na której zwycięzca Międzynarodowego Konkursu Pianistycznego im. Fryderyka Chopina z 1980 r., Wietnamczyk Dang Thai Son, z maestrią i pietyzmem wykonuje zarówno zarejestrowany w roku 2017 w Warszawie Koncert a-moll op. 17, jak i osiem innych kompozycji Paderewskiego nagranych w 2015 r. Soliście towarzyszy brytyjska Philharmonia Orchestra pod batutą Vladimira Ashkenazy'ego, skądinąd znakomitego pianisty, zdobywcy II miejsca w konkursie chopinowskim w 1955 r.

Dobrego nigdy za wiele. Oto z kolei Warner Classic firmuje album, na którym Koncert a-moll (ale także Nokturn B-dur) Paderewskiego przedstawia Jonathan Plowright. Brytyjski mistrz klawiatury jest miłośnikiem i niestrudzonym popularyzatorem zapomnianych dzieł polskiego romantyzmu i postromantyzmu. Na wspomnianej płycie z towarzyszeniem Polskiej Orkiestry Sinfonia Iuventus pod dyrekcją Łukasza Borowicza odkrywa Rapsodię symfoniczną na fortepian i orkiestrę op. 23 Zygmunta Stojowskiego (1869–1946). Tego cenionego w USA, a niemal zupełnie nieznanego w kraju, oryginalnego kompozytora i pedagoga, oddanego ambasadora polskich racji, ze starszym o dziesięciolecie Paderewskim łączyły wieloletnia przyjaźń i wspólnota emigracyjnych losów.



Ignacy Jan Paderewski, „Koncert fortepianowy a-moll op. 17", wyk. Dang Thai Son i Philharmonia Orchestra pod dyr. Vladimira Ashkenazy'ego, wyd. Narodowy Instytut Fryderyka Chopina



Ignacy Jan Paderewski, Zygmunt Stojowski, „Muzyka polska na fortepian i orkiestrę", wyk. Jonathan Plowright i Polska Orkiestra Sinfonia Iuventus, pod dyr. Łukasza Borowicza, wyd. Warner Classics

eprasa.pl 4ec64585d0

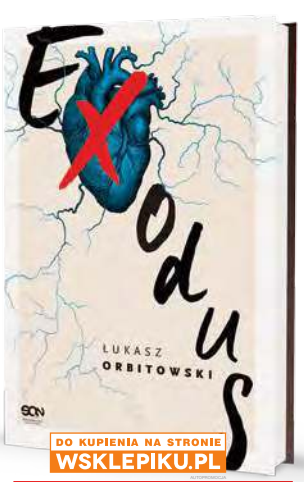
Powroty i ucieczki

„Exodus" Łukasza Orbitowskiego to powieść, w której zachowano proporcje między namysłem nad istotą zła w człowieku a stylistyczną brawurą. W każdym z nas może się kryć potwór. Ale można wsiąść do pociągu i wyruszyć w podróż w poszukiwaniu prawdy o sobie

Przed niespełna dwoma laty ukazała się „Inna dusza", powieść będąca dla Łukasza Orbitowskiego przełomem, który nazywa się nieco górnolotnie artystycznym sukcesem. Doceniona przez krytykę i czytelników pozwoliła mu się wspiąć na krajowy szczyt i chyba skutecznie pozbyć się łatki autora fantastyki, którym nigdy nie był. Pasmo sukcesów zwieńczone Paszportem Polityki wypchnęło go z fantastycznej niszy w niszy pisarskiej. W zamian spotkał go zaszczyt traktowania go jako eksperta od zła i śmierci. W końcu stał się twórcą literatury grozy, którym był zawsze. W przededniu 40. urodzin literatura pozwoliła mu być sobą. Skwapliwie z tego skorzystał. Z przystankiem na „Rzeczy utracone" (zbiór z wpisów z bloga) powrócił, by wyruszyć w podróż. Popełnił „Exodus".

Książka Orbitowskiego jest zjawiskiem dość niepospolitym jak na nasz rodzimy rynek. Uniwersalna, czerpiąca z tego, co wspólne, jednocześnie nasączona jest amerykańską tandetą, lecz i bardzo polska. Śledzi ostatnie dziesięciolecia kultury, polityki, przekształceń społecznych. Po trosze, by dowieść całkowitej normalności, ba, przeciętności bohatera, lecz i po to, by groza nie była owocem wyobraźni autora, surrealistycznym konstruktem, by była ulepiona z rzeczywistości. Bez cienia pretensjonalności, z narratorem gotowym rzucić aforystyczny truizm, by po chwili wygłosić ogólnik puentujący kondycję współczesnego świata.

Bohater zajmuje się tu uciekaniem. Czyni to z godnym lepszej sprawy uporem i rozmachem, dzięki czemu „Exodus" jest także powieścią drogi. Podróżując wraz z nim, przeczesujemy niemal pół Europy, poznając jej uroki i jej całkowity brak uroku. Jednocześnie Polska pozostaje kluczowym miejscem powieści. Oglądając problemy dzisiejszego świata, przeglądamy się również w nim jak lustrze. Także kultura popularna, atakująca zewsząd, staje się cichym bohaterem powieści. To, co polskie, komponuje się z kulturami innych narodów, niejako lecząc nasze kompleksy, będąc elementem mozaiki europejskiej. Widzimy też nowych przybyszów zza Morza Śródziemnego, których los pisarz oddaje realistycznie i z godną XIX-wiecznej prozy plastyką obrazu.



Łukasz Orbitowski
„Exodus"
wyd. Sine Qua Non

Zresztą w „Exodusie" jest bardziej niż kiedykolwiek wcześniej widoczna prawdziwie niebanalna organizacja warsztatu Orbitowskiego. Jest w nim i wspomniana amerykańska tandeta, i radość przemieszczania się po świecie, jak u Kerouaca i Steinbecka. Jest i typowe dla literatury europejskiej szczodre dawkowanie obrazu ze zręcznie wybieranymi detalami, które uwydatniają pewne jego elementy lub nadają kolejnym sekwencjom sensy. Fabuła każe wyobrażać sobie szarość skrytą w cieniu lub mroku, jednak dzięki obrazowaniu towarzyszą jej żywe barwy, kształty, zapachy. Przykładowo opis połowu i patroszenia ryb jest godny Hemingwaya. Nie przychodzi mi do głowy nikt, kto na naszej scenie prozatorskiej potrafiłby równie dobrze operować opisem, bez silenia się na jakąś wydumaną literackość, bez ścigania się z Mickiewiczem na opis zastawy stołowej, jak to się ostatnio zdarza wśród parnasistów.

Jest jeszcze jedna rzecz, która zasługuje na kilka słów: chodzi o typ literatury, jaką uprawia Orbitowski, stojąc w niejakiej sprzeczności z otwarciem się salonów przed autorem „Horror Show". Jest to literatura męska, nasączona męską wizją świata, w którym owszem, są kobiety, nawet kobiety silne i silniejsze od mężczyzn. Poruszają się jednak w świecie testosteronu, gniewu i siły, świecie złych, choć niekiedy zupełnie słabowitych facetów, a pewne ogólniki wypowiadane przez narratora można by uznać za niepoprawne politycznie, nawet seksistowskie.

Do tej pory Orbitowski grozę krył za jakąś atrapą, figurą, metaforą grozy. W „Innej duszy" zła nie obłaskawiał, jednak jego natura pozostała nieznana. Można rzec: zabił, bo zabił. Zło było złem – mówiąc Herbertem. „Exodus" to zaś studium natury ludzkiej, w którym zło nie chowa się pod postacią jakiegoś potwora, lecz chowa się potwór, który je wyrządza – człowiek. Nie jest to zatem studium zła, to traktat o naturze człowieka. Silnie nawiązujący do greckich korzeni tego problemu i na kartach powieści wielokrotnie do niego powracający.

Puenta nie jest tu wyłożona, pytanie o to zło pobrzmiewa przez całą książkę. Jaka jest konkluzja? Przeczytajcie. Orbitowski mówi naprawdę silnym głosem.

Jerzy Kopański

eprasa.pl 4ec64585d0

Czytanie jako

Biedny Wittlin



Wojciech Stanisławski

Kolejne zbiory listów autorów „Kultury" do Jerzego Giedroycia są jak nawoływania się rozbitków

Zdarza się wykrój okładek tak rozpoznawalny, że jest już nie tylko dowodem talentu grafika czy marką serii wydawniczej, lecz elementem tożsamości zbiorowej. Tak się działo pod koniec długiego wieku XIX z żółtymi okładkami powieści paryskich, które, jak zaświadcza Hostowiec, można było ujrzeć w setkach dworków rozproszonych w zachodnich guberniach Cesarstwa Rosyjskiego, między Elizawetgradem a Drują: świadectwo tęsknoty za „Zachodem", więzi z nim i przynależności doń, daremne wobec pożogi, która miała się objawić już za chwilę. W drugiej połowie XX w. co najmniej dwa pokolenia Polaków doznawały dziwnych wzruszeń, widząc charakterystyczny „marmurek" „Kultury" paryskiej i „Zeszytów Historycznych" (najpierw tylko markowany, potem, w tłustszych latach, przyjemnie wypukły pod palcami), a w nich treści niepokojące i wywrotowe. Można się zastanawiać, co się stało z tamtą odwagą myślenia, Redaktor więcej miał z pewnością admiratorów niż wychowanków (a już najwięcej tych, którzy dziś najchętniej zrobiliby z nim sobie selfie), ale w każdym razie „marmurek" jako znak rozpoznawczy sprawdził się, do dziś jego obecność na półkach biblioteki często wiele nam mówi o sympatiach czy rodowodzie politycznym posiadacza.

Podobnego statusu dorabia się powoli seria Archiwum „Kultury": zaprojektowane przez Jana Bokiewicza okładki (elegancka, szara tektura, nazwiska korespondentów tłustym, szeryfowym krojem i tytuł całej serii w kontrze) można spotkać w witrynach księgarń już od blisko ćwierć wieku, kiedy to ukazała się korespondencja Giedroycia i Gombrowicza: od tamtego czasu pojawiło się kolejne osiemnaście tomów. To oczywiście pierwszorzędne źródło do dziejów kultury polskiej, kopalnia smaczków i plotek. Kolejne zbiory listów można czytać jak „zapis gorączki" PRL, równolegle, obserwując, jak Jerzy Stempowski, Czesław Miłosz i Konstanty Jeleński każdy na swój sposób reagują na poznański Czerwiec czy na Marzec '68; doświadczamy zarazem wtajemniczenia i zakłopotania (być może to jedyne stosowne odczucia przy lekturze bądź co bądź cudzych listów?) śledząc, jak Redaktor oswaja i zjednuje sobie to stado ambitnych i niepewnych siebie egotyków.

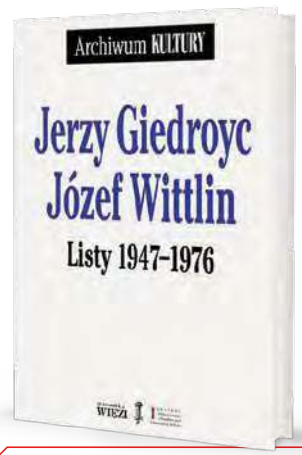
Można wreszcie, może nawet trzeba, czytać te zbiory listów jak nawoływania się rozbitków. Pojedyncze kartki, równie podatne na zniszczenie jak listy w butelkach i ulotne na depesze wystukiwane przez ścianę celi, łączyły tę gromadę rozbitków rozproszonych między Nowym Jorkiem, Neapolem a Londynem, która wcale nie musiała odnieść sukcesu (bodaj i pośmiertnego), jaki ostatecznie stał się jej udziałem: korespondując w cieniu lodowca zimnej wojny, wcale nie byli pewni, czy nie przypadnie im los tylu innych emigracji, polskich i niepolskich, których ziemska droga kończyła się na zimnych poddaszach Paryża.

A wśród tego dramatu historii literat, który w świecie Kennedy'ego, Chruszczowa i Wietnamu zachowuje się, jakby w futerale utkanym ze słowników, „Odysei" i dobrej niemieckiej prozy przetrwał niezmieniony od dwudziestolecia, nie-

eprasa.pl 4ec64585d0

tknięty wojną ani wiekiem: Józef Wittlin, autor nominowanej do Nobla powieści „Sól ziemi" i pysznych wierszy, nie tak głośny jak Skamandryci, za to bardziej od nich wytworny i uporządkowany, rzekłbyś – zegarmistrz o manierach szefa dyplomacji.

Pisarz ukrywał co nieco przed sobą samym kłopoty z dyscypliną i z weną, skarżąc się na kierat pracy redaktorskiej w nowojorskim biurze Radia Wolna Europa, ale jego korespondencja zyskuje przez to odcień niezamierzenie humorystyczny: co list Wittlina, to wymawianie się z niedotrzymanych terminów, nienapisanych szkiców, nieprzygotowanej na czas antologii własnych tekstów („Orfeusz w piekle XX wieku", ważny zbiór esejów, ukazał się z pięcioletnim bodaj opóźnieniem w stosunku do zamierzeń wydawcy), i cierpki żart Giedroycia („Jak obliczyłem, wydostanie od Wittlina jednego eseju wymaga dwóch lat starań oraz około 89 listów. Po tym okresie dostaję esej na inny temat, ale zawsze znakomity") nie jest przesadzony ani na jotę. Oprócz powtarzających się w każdym niemal liście utyskiwań na trudy nowojorskiego życia jest cykl roczny: wiosną Wittlin obiecuje napisać wszystko, co zamierza, na wakacjach, jesienią musi pracować w RWE za dwóch, by nadrobić letnie zaległości, zimą zapada na zdrowiu – i tak mijają lata.



Jerzy Giedroyc, Józef Wittlin, „Listy 1947–1976", Archiwum „Kultury", wyd. Muzeum Literatury i Towarzystwo „Więź", 2017

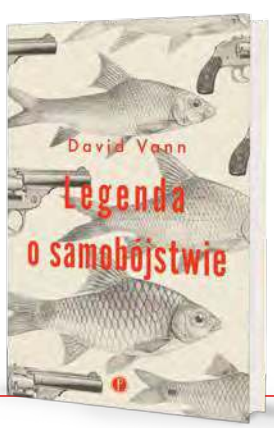
A przecież jest w tych listach i ciekawość nowych autorów, od Hłaski po Haupta, i pamięć przedwojennych jeszcze ambicji oraz sporów pisarskich kształtujących relacje autorów emigracyjnych i PRL-owskich, i stoicka wytrwałość emigranta, który już wie, że nie napisze kolejnych tomów „Soli ziemi" i nie wróci do kraju. Jest wreszcie dowód na to, jak nikt nie jest wolny od uciekania od prawdy o sobie: można go znaleźć w ostatnim liście w zbiorku, napisanym już przez wdowę po Józefie kilka dni po jego śmierci, w marcu 1976 r. „Józio bardzo chciał żyć" – pisze Halina Wittlin o mężu, który przez lata naprawdę nie żałował Giedroyciowi opisów swoich przeziębień, anemii i zapaleń ucha. „Ostatecznym powodem zgonu była daleko posunięta marskość wątroby. [...] Bardzo chciał żyć i okłamywaliśmy go przez cały czas".

Wody Alaski

Ta książka będzie drażnić jak niegojąca się ranka na dłoni po skaleczeniu muszlą, haczykiem czy płetwą okonia. Mniejsza o kilka najbrutalniejszych stron, na których autor moim zdaniem trochę szarżuje, mnożąc makabryczne sceny.

Tym, co naprawdę wytrąci ze snu czytelników – rodziców i nie tylko – będzie ukazanie, na jak wiele sposobów można skrzywdzić dziecko: nie tylko w oczywisty sposób, dostępny byle osiłkowi, lecz także własną niedojrzałością, nieuporządkowaniem czy poczuciem winy. Na szczęście powieść ta nie jest, jak to się zdarza, przypudrowanym przez redaktora zapisem z kozetki psychoterapeuty. David Vann odwołuje się do dramatu swojej rodziny i przepracowuje go, ale widać, że zdania, które składają się na „Legendę o samobójstwie", były długo kołysane i wygładzane. To literatura wysokiej próby.

To książka wpisująca się w rodowody literatury amerykańskiej. Krytycy porównują Vanna z Cormakiem McCarthym, sam autor wymienia wśród swoich mistrzyń Elizabeth Bishop, której dwa wersy nieoczekiwanie dzwonią pod koniec powieści, ale mnie natychmiast stanął przed oczami jeden autor: odkryty przez Miłosza Robinson Jeffers, chmurny kalifornijski poeta mieszkający w domu z głazów, piszący o szczekaniu fok, o pianie przypływu, o pojedynkach ryb i ptaków, Jankesów i Japończyków, o „inhumanizmie", czyli potrzebie uznania faktu, że „jest tylko to, co jest": krwawa miazga sekwoi, ikra wysypująca się z rozdartego brzucha, sól i żelazo. Autora „Zniewolonego umysłu" fascynował zarazem i odrzucał ten „inhumanizm", ale zdawał sobie sprawę, że taka wizja natury rzeczowej i brutalnej (nie „okrutnej", bo to już nasza, ludzka interpretacja), a jednocześnie pięknej jest bardzo głęboko wpisana w doświadczenie amerykańskie. Ta wizja, którą można rozpoznać u Melville'a i Thoreau, u Twaine'a i Dos Passosa, stoi też



David Vann, „Legenda o samobójstwie", tłum. Dobromiła Jankowska, wydawnictwo Pauza, Warszawa 2018

u podstaw wyobraźni Vanna: najlepiej może widać to w otwierającym książkę opowiadaniu-elegii „Ichtiologia".

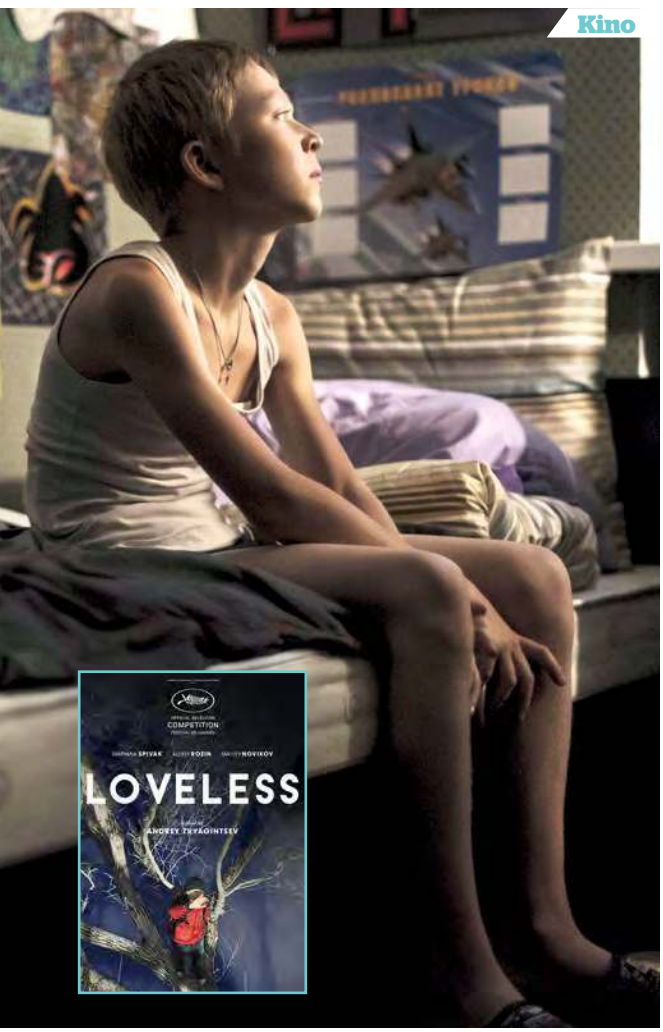
Taka jest ta proza, opisująca wybrzeże tego samego oceanu, który urzekł Jeffersa, tylko o pięćset mil na północ. To opowieść łącząca dwieście lat Ameryki, kiedyś niewinnej i traperskiej, dziś wracającej do marzeń o zmaganiach z łosiem, niedźwiedziem i łososiem już tylko w daremnej ucieczce przed sobą.

eprasa.pl 4ec64585d0

Adamski



Rosja ma zadyszkę



Borys (Aleksiej Rozin) i Żenia (Marjana Spivak) to dobrze sytuowani przedstawiciele nowej rosyjskiej klasy średniej. Hedoniści. Ich małżeństwo się rozpada na oczach 12-letniego syna Aloszy, na którego nie zwracają nawet uwagi. Jedyne, czego pragną, to ułożenie sobie nowego życia z dotychczasowymi kochankami. Pewnego dnia Alosza słysząc awanturę, znika z domu. Zaczynają się poszukiwania.

Rodzinna płaszczyzna filmu twórcy „Lewiatana" szarpie za serce. Z powodu swojej namacalności. Realności. Przyziemności. Jednak Andriej Zwiagincew nie bawi się w psychodramę. Rozciąga rodzinny dramat na kino polityczne i metafizyczne. Jest w „Niemiłości" symbolika godna samego Tarkowskiego. Jest też ironia. Bardzo zimna i przenikliwa. Rodzinny dramat nabiera cech apokaliptycznej przypowieści.

To apokalipsa na wielu poziomach. Słyszymy ją w propagandowych putinowskich mediach relacjonujących zakłamaną narrację wojny w Donbasie. Widzimy ją w losach bohaterów pozbawionych uczuć, wyrzekających się miłości doskonałej i czystej – tej do dziecka. Przenikliwy twórca „Powrotu" mówi o zdemoralizowaniu Rosji. Nie jest to zdemoralizowanie taplającej się w biedzie prowincjonalnej biedoty z nokautującej „Łagodnej" Łożnicy. Nie jest to również demoralizacja rosyjskiej administracji splecionej z cyniczną Cerkwią w „Lewiatanie" Zwiagincewa. Tutaj widzimy wyjałowienie duchowe Rosjan z klasy średniej. To specyficzna grupa. Bryluje w mediach społecznościowych, jada w dobrych restauracjach, żyje od jednego selfie do drugiego. Śni sen ludzi Zachodu. Jest jednocześnie egoistyczna i zimna jak skąpane w śniegu kadry „Niemiłości".

Zwiagincew w niezwykle inteligentny sposób buduje metaforę współczesnej Rosji. W końcu uderza w sam środek rosyjskiej duszy. W tym filmie jej nie ma. Nie ma też rosyjskiej tożsamości. Jest za to kobieta biegnąca w dresie z rosyjską flagą na piersi. Widzimy ją zza szklanych drzwi ekskluzywnego apartamentu. Szybko schodzi z bieżni. Zdyszana. Zmęczona. Biegnąca bez celu. Tak jak Rosja.

„NIEMIŁOŚĆ", REŻ. ANDRIEJ ZWIAGINCEW, DYSTR. AGAINST GRAVITY

Nigdy dosyć Oriany

Książka



Mogę ją czytać godzinami. Mistrzyni pióra. Zawsze niepokorna, wkurzająca cały świat lewicowa chrześcijańska ateistka. Taka była, co dobitnie widać w jej proroczej trylogii o islamie zalewającym Europę. Maszerująca przez życie sprzeczność. Oriana Fallaci pisząca o tak szalenie kontrowersyjnej postaci jak reżyser „120 dni Sodomy", którego film o Jezusie oficjalnie poleca Watykan? Chrześcijańska ateistka wielbiąca marksistę i geja, który jej zdaniem również usilnie poszukiwał Jezusa?

Właśnie dlatego ta krótka książeczka jest tak piorunująca. Teksty Fallaci o Pierze Paolu Pasolinim nokautują. Nie tylko stylem, szczerością, brutalnością, lecz także miłością, jaka wylewa się z każdego słowa. To ona pierwsza kwestionowała wersję zabójstwa Pasoliniego w reportażach, które publikowała od 1975 r. na łamach „L'Europeo". To właśnie te reportaże. Kawał prawdziwego dziennikarstwa, które umiera na naszych oczach.

„PASOLINI. NIEWYGODNY CZŁOWIEK", ORIANA FALLACI, ŚWIAT KSIĄŻKI

Skala ocen: rewelacja | dobry | pozytywne zaskoczenie

eprasa.pl 4ec64585d0

Łukasz Adamski
publicysta, krytyk filmowy

poleca

Neonowy chaos


Internet

Omijający polskie kina film utalentowanych braci Bena i Joshuy Safdie to kawał mocnego kina sensacyjnego i wzruszająca opowieść o braterskiej miłości i poświęceniu. Nick Niklas (Ben Safdie) jest lekko opóźniony w rozwoju. W pierwszej scenie widzimy go z psychologiem na spotkaniu, które w bezceremonialny sposób przerywa jego brat Connie Niklas (Robert Pattinson). Przypominają trochę bohaterów „Rain Mana" Levinsona. Za wszelką cenę chcą się wyrwać z nizin społecznych. Społeczne kino w stylu braci Dardenne'ów? Nie. Szybko przenosimy się do banku, w którym Niklasowie dokonują bezczelnego napadu. Takich narracyjnych przewrotek dostaniemy kilka.

„Good Time" to jednak coś znacznie więcej niż typowy heist movie. Bliżej mu do naznaczonego społecznym pazurem „Pieskiego popołudnia" Lumeta. Szybko po napadzie z pozoru zaplanowany skok (bracia mają nawet wyznaczoną drogę ucieczki) sypie się jak domek z kart. Niklasowie zamiast urządzać sobie nowe życie z forsą w kieszeniach muszą uciekać przed policją.

Nikt jeszcze w kinie nie pokazał w taki sposób nowojorskiego Queensu. Jest coś magicznego w tej dzielnicy pełnej tekturowych domków, tanich czynszówek, na których pierwsze miliony zrobił Trump, i wszechobecnego kiczu. Bracia Safdie zatapiają akcję w neonowym elektropopie, unikając przy tym sztuczności kina choćby Nicolasa Refna. To dzielnica labirynt z porażającą smutną rzeczywistością wykoślawionego amerykańskiego snu.

Robert Pattinson już u Cronenberga zrywał z wizerunkiem amanta dla nastolatków. Teraz dowiódł, jak utalentowanym jest aktorem. W jego Connie'em buzują sprzeczne emocje. Gdy brat wpada w ręce policji, on działa instynktownie. Jest w stanie poświęcić wszystko po to, by tylko uratować ukochaną osobę. Paradoksalnie byłby w stanie to zrobić, gdyby nie prześladujący go pech. Absurdalny i towarzyszący nieraz każdemu z nas. Poruszająca opowieść o ludziach naprawdę pokrzywdzonych przez los, którzy zamiast światła w tunelu widzą oświetlony neonem chaos.

„GOOD TIME", REŻ. BEN I JOSHUA SAFDIE, DOSTĘPNY NA NETFLIXIE

Fajtłapa wraca!

Po sześciu latach wrócił. Jeden z najoryginalniejszych amerykańskich komików nie zawiódł fanów. Larry David przeszedł do historii amerykańskiej popkultury jako współtwórca kultowego dziś serialu „Seinfeld" (1989–1998). Od 2000 r. bawi, grając... samego siebie. Jest bogaty, niezależny, ma piękną żonę i sławnych przyjaciół (wielu z nich gra w serialu siebie). Mieszka w słonecznym Los Angeles, choć wygląda jak postać wyjęta z nowojorskiego świata Woody'ego Allena (notabene zagrał u niego główną rolę w świetnym „Co nas kręci, co nas podnieca"). Pełen neuroz i niezdarności w przyziemnych czynnościach i pozbawiony taktu żydowski liberalny intelektualista to jedna z moich ukochanych postaci amerykańskiej telewizji. Może znajduję w nim swoją delikatną mizantropię? Ostatni sezon „Pohamuj entuzjazm" jest swoistym The Best of Larry David. To perfekcyjne podsumowanie jednego z najzabawniejszych i najinteligentniejszych sitcomów w historii TV.


Internet/telewizja

„POHAMUJ ENTUZJAZM", WSZYSTKIE SEZONY DOSTĘPNE NA HBO GO

eprasa.pl 4ec64585d0

Narcystyczni, przekonani o swojej wyjątkowości, a przy tym infantylni, przesadnie wrażliwi, do bólu politycznie poprawni i nieznoszący krytyki – to tzw. pokolenie płatków śniegu. Weszli w dorosłość po 2010 r. Są wyzwaniem dla uczelni i pracodawców

Pokolenie śnieżynek



ALEKSANDRA RYBIŃSKA

Fot. Shutterstock

Dzień po wyborach prezydenckich w USA w listopadzie 2016 r. 20-letnia mieszkanka Manchesteru Anna Greenwood nie poszła na zajęcia z dziennikarstwa multimedialnego na Uniwersytecie Salford. Jak powiedziała brukowcowi „The Sun", całą noc nie spała, sprawdzając wyniki wyborów na swoim smartfonie. Gdy się okazało, że wygrał Donald Trump, zwinęła się w kłębek na podłodze i przeleżała tak cały dzień. „Miałam pójść na zajęcia, ale nie mogłam znieść towarzystwa innych ludzi. Nie mogłam przestać płakać" – wyznała gazecie. 24-letnia blogerka Kirsten Rees z Glasgow przyznaje w rozmowie z „The Sun", że „staje się bardzo emocjonalna, gdy czyta wiadomości w internecie". „Kilka razy załamałam się, publicznie broniąc praw kobiet. Płakałam na demonstracji przeciwko nałożeniu podatku VAT na tampony i podpaski. Strasznie się denerwuję, gdy ludzie robią coś złego, gdy mają jakąś ukrytą agendę" – mówi.

WYJĄTKOWI

Anna i Kirsten to tzw. pokolenie płatków śniegu (snowflakes). Określa się tak tych milenialsów, którzy weszli w dorosłość po 2010 r. i zostali wychowani przez rodziców z pokolenia baby boomers w przekonaniu, że są wyjątkowi i niepowtarzalni. Pojęcie „snowflakes" nawiązuje przy tym do kultowej książki „Fight Club" Chucka Palahniuka z 1996 r., w której pada stwierdzenie: „Nie jesteś wyjątkowy. Nie jesteś pięknym i wyjątkowym płatkiem śniegu".

Śnieżynki to – według potocznie przyjętej definicji – młodzi, emocjonalnie niedojrzali narcyzowie o lewicowo-liberalnych poglądach i postawie roszczeniowej, których łatwo urazić. Trudno znoszą krytykę oraz opinie odbiegające od ich własnych. Dąsają się, płaczą, popadają w histerię. Uczucia oraz ciasny gorset poprawności politycznej, w którym zostali wychowani, biorą przewagę nad racjonalnością. Każda, nawet najłagodniej przedstawiona krytyka, to osobisty afront. „Uznajcie nasze subiektywne odczucia, bo jeśli nie..." – wydają się krzyczeć. A ponieważ żyją w epoce powszechnego dostępu do informacji, wciąż pochyleni nad tabletem czy smartfonem, mają wrażenie, że wszystko ich dotyczy. Od huraganów w Alabamie po połowy dorsza w Szkocji.

Przekonała się o tym 28-letnia Haley Smith z Londynu prowadząca organizację Flow Aid, która dostarcza bezdomnym kobietom środki czystości. Z pozoru mało kontrowersyjny temat. „Przestałam umieszczać posty na Facebooku, bo ciągle ktoś z moich znajomych czuł się osobiście dotknięty. Nawet jeśli chodziło o coś, co nie ma z nim nic wspólnego. Nie mogłam już znieść dyskusji o tym, kto bardziej cierpi bez środków higieny – kobiety czy mężczyźni – i co kto czuje w związku z tym. Interesują mnie działania, nie emocje" – mówi Smith w rozmowie z dziennikiem „The Guardian". „To straszne, ale ludzie w moim pokoleniu tracą ogromne pokłady energii na bezsensowne debaty" – dodaje.

W Wielkiej Brytanii śnieżynki trafiły do świadomości szerszej publiczności po referendum w sprawie Brexitu. Młodzi Brytyjczycy zaczęli wówczas masowo zapadać na depresję. Poseł UKIP Janice Atkinson określiła w „Huffington Post" listy, które otrzymała po referendum od młodych „Remainers", jako „płaczliwe, marudne i szczerze śmieszne".

O wiele wcześniej śnieżynki ujawniły się jednak na amerykańskich kampusach uniwersyteckich. Claire Fox, szefowa brytyjskiego think tanku Institute of Ideas, opisuje w swojej książce „Uważam to za obraźliwe!" („I find that offensive!") konfrontację między studentami Uniwersytetu Yale a dziekanem uczelni Nicholasem Christakisem. Dziekan zasugerował

eprasa.pl 4ec64585d0

studentom, by „wyluzowali", zamiast się skarżyć, że niektóre kostiumy na Halloween są „nieczułe kulturowo". Studenci zareagowali, według Fox, na jego uwagę „wrzaskami, płaczem i histerią". Konfrontacja została nagrana na wideo i trafiła do internetu. A pokolenie płatków śniegu stało się przedmiotem publicznej debaty. Słownik Collins uznał śnieżynki za jedno z najważniejszych słów 2016 r. Według słownika pokolenie płatków śniegu to „pokolenie ludzi, którzy są mniej odporni i bardziej wrażliwi niż wcześniejsze pokolenia". Collins dostrzegł także (rzeczywistą lub pozorną) niedorosłość tej części pokolenia milenialsów, którą wyraża słowo „adulting" oznaczające robienie rzeczy (nawet nudnych i przyziemnych), które robią dorośli, gdy jest się dorosłym.

Brytyjska gazeta „Financial Times" także wciągnęła śnieżynki na swoją listę najważniejszych słów 2016 r., ale załączyła inną definicję. Według „FT" są to młodzi ludzie, którzy są zbyt wrażliwi, by zmierzyć się z poglądami odbiegającymi od ich własnych. Szczególnie na uniwersytetach i innych forach, gdzie dotychczas toczyły się ostre i otwarte debaty.

O śnieżynkach powstały już liczne krytyczne książki, choćby Nicka Hume'a „Trigger Warning: Czy strach przed zgorszeniem zabija wolność słowa?" lub Brendana O'Neilla „Obowiązek obrażania". Wszystkie wskazują na nową szatę pojęciową, która wykształciła się z powodu obecności śnieżynek na uczelniach przez ostatnią dekadę i przeszła do potocznego języka. Jak słowo „trigger" (spust), które określa coś, co może wywołać zgorszenie, lub „safe spaces" (bezpieczne przestrzenie), dokąd śnieżynka może się wycofać, gdy czuje się dotknięta. Jest też tzw. privilege, czyli uprzywilejowanie. Każdy, kto chce się wypowiadać na tematy dotyczące mniejszości, powinien się najpierw upewnić, czy ma do tego prawo, czy ze względu na swoje uprzywilejowanie seksualne, finansowe lub rasowe powinien milczeć. Skutkuje to tym, że o problemach czarnych mogą się wypowiadać tylko czarni, a o problemach kobiet tylko kobiety, o ile nie są uprzywilejowane. Nawet nieświadomy rasizm czy seksizm stanowi przy tym tzw. mikroagresję, która usprawiedliwia „makroreakcję".

Nie należy oczywiście też przywłaszczać sobie cudzej kultury lub tylko jej elementów bez pozwolenia. „Cultural appropriation" (kulturowe przywłaszczenie) to grzech regularnie piętnowany przez młodych, lewicowych działaczy na kampusach. Wystarczy jako biały anglosaski protestant przebrać się na Halloween za Eddiego Murphy'ego, by stać się winnym tego grzechu.

Z PŁACZEM DO DZIEKANA

Uniwersytety dawno ugięły się pod naciskiem przedstawicieli pokolenia płatków śniegu i dostosowały się do ich wymagań. Uniwersytet w Oksfordzie umieścił, według brytyjskiej gazety „The Times", ostrzeżenia na case studies przeznaczonych dla studentów prawa, zawierające „opisy przemocy seksualnej". Uniwersytet Wschodniej Anglii zakazał studentom noszenie sombrero, bo może to obrazić Latynosów. Na Berkeley zabroniono klaskania na koncertach, bo „wywołuje to stany lękowe u niektórych studentów". Jak pisze „The Spectator", na Uniwersytecie w Cambridge odwołano afrykański wieczór tematyczny, bo „mogło to obrazić kogoś gdzieś". Gdy Claire Fox chciała przedstawić swoją książkę o śnieżynkach w jednej ze szkół w Hertfordshire, najpierw usłyszała od uczniów, że jest „straszną kobietą", a potem, że ich obraża. „Stali się żywym dowodem na słuszność moich tez" – uważa Fox. By wrażliwe uszy śnieżynek nie usłyszały czegoś, co mogłoby je zaboleć, na wielu anglosaskich uczelniach wprowadzono zasadę „no platform", czyli niezapraszania na mównicę osobistości, których poglądy – bez względu na to, czy lewicowe, czy prawicowe – mogłyby kogoś urazić.

Podobne doświadczenia, choć bardziej brzemienne w skutkach, ma 22-letnia asystentka akademicka z Kanady Lindsey Shepherd. Pokazała swoim studentom na Uniwersytecie Ontario nagranie wykładu profesora komunikacji Jordana Petersona, który odważył się w nim kwestionować sens genderowych zaimków. Studenci złożyli skargę i Shepherd została oskarżona o tzw. targeting, czyli celowanie w mniejszości, co miało spowodować, że niektórzy studenci nie czuli się w jej obecności bezpiecznie. Poinformowano ją, że dopuściła się aktu przemocy, co jest sprzeczne z Kartą praw człowieka Ontario. Następnie ją zawieszono.

Zdaniem krytyków atmosfera strachu, która wytworzyła się na uczelniach, niszczy kulturę debaty i ogranicza wolność słowa. Wykładowcy stali się zakładnikami studentów, którzy z płaczem uciekają z zajęć lub składają skargi w dziekanacie, gdy ich treść im nie odpowiada. Rosną też koszty związane z opieką psychologiczną dla studentów. Według Uniwersyteckiego Centrum Zdrowia Psychicznego (Center for Collegiate Mental Health) w USA w latach 2014–2015 liczba studentów wzrosła o 5,6 proc. W tym samym czasie liczba studentów korzystających z pomocy psychologów i uczęszczających na terapię wzrosła o 29,6 proc. Najczęściej leczonym problemem były przy tym „ogólne stany lękowe".

„Uniwersytet to targowisko idei i te idee powinny być z zasady z sobą sprzeczne. Studenci muszą się konfrontować z trudnymi tematami, bo inaczej niczego się nie nauczą" – argumentuje Shaun R. Harper, profesor edukacji na Uniwersytecie Południowej Kalifornii w rozmowie z „US News". Według niego szczególnie groźnym pomysłem jest robienie z uczelni bezpiecznych, pozbawionych stresu przestrzeni, gdzie zasady zewnętrznego świata nie obowiązują. Przestrzeni pozbawionych rasizmu, dyskryminacji, a nawet rywalizacji. „Mamy tych młodych ludzi przygotować do życia. Nie możemy tego zrobić, hodując ich w bańce mydlanej. Oni nie potrafią wygrywać sporów, bo ich w ogóle nie podejmują" – dodaje Harper.

Mottem baby boomers było: „Rób, co chcesz", mottem śnieżynek jest: „Uważaj, co mówisz i robisz, bo twoja indywidualna wolność wpływa na kolektyw". Dla pisarza Breta Eastona Ellisa, autora „American Psycho", wraz ze śnieżynkami nastała „nowa epoka wiktoriańska". „Śnieżynki są jak wiktoriańskie damulki oburzające się, że ktoś powiedział coś, co jest sprzeczne z ich moralnymi zasadami" – twierdzi. Inni też widzą powrót epoki wiktoriańskiej, ale ich zdaniem wyraża się on w niechęci młodych milenialsów do podejmowania ryzyka. „Ich rodzice wychowali ich w bezpiecznym otoczeniu, także pod względem finansowym. Chuchali na nich i dmuchali. A dzisiejszy świat jest pełen min. Łatwo

eprasa.pl 4ec64585d0

zostać oskarżonym o molestowanie seksualne czy gwałt. Na wielu kampusach wprowadzono zasadę »tak znaczy tak«, co oznacza, że należy najpierw się upewnić, czy dana osoba zgadza się na fizyczne zbliżenie. Powróciły bariery utrudniające kontakt między studentami płci męskiej i żeńskiej, przeciwko którym buntowali się baby boomersi w latach 70. Widzimy w konsekwencji spadek aktywności seksualnej wśród młodych, szczególnie wśród młodych mężczyzn" – utrzymuje konserwatywny dziennikarz Ben Domenenech w „Washington Examiner".

Według niego walka liberalnej lewicy o prawa kobiet i mniejszości seksualnych przyniosła ograniczenie wolności. „Do tego należy dodać wręcz purytańskie strzeżenie języka. Co wczoraj było tylko przedmiotem luźnej debaty, jak zaimki genderowe dla osób trans, dziś jest nienaruszalnym dogmatem" – dodaje Domenenech. Zdaniem Claire Fox narcyzm śnieżynek jest napędzany przez politykę tożsamości liberalnej lewicy, która wmawia im, że określają ich głównie „rasa, religia, płeć i przynależność etniczna". Do tego dochodzi „obsesja bezpieczeństwa" zachodnich społeczeństw. „To doprowadziło do całkowitej infantylizacji tego pokolenia" – zaznacza Fox.

TERAPIA Z KUCYKIEM

Zjawisko śnieżynek ma oczywiście także wyraźny wymiar polityczny. Młodzi milenialsi stali się ulubionym przedmiotem drwin alt-right w USA. Po zwycięstwie Trumpa w wyborach prezydenckich Uniwersytet Massachusetts w Bostonie oferował studentom sesje „posttraumatycznej" terapii z psem o imieniu Doggo. Na Uniwersytecie Karoliny Północnej stres wyborów połączył się ze stresem egzaminów, więc uczelnia uruchomiła zajęcia z „malowania kolorowanek". Na odprężenie. Na Uniwersytecie Wschodniej Karoliny zestresowani studenci mogli się bawić ze szczeniaczkami, a na uniwersytecie w Chapel Hill – z kucykami i małymi kotkami.

Niektórzy nie uniknęli jednak zderzenia z rzeczywistością. I było ono bolesne. Kilka uczelni uznało bowiem, że wobec zwycięstwa enfant terrible Partii Republikańskiej w wyborach należy zaprosić „tych od Trumpa". Tak na Uniwersytecie w Houston gościł założyciel ruchu Homoseksualiści za Trumpem (Gays for Trump), były publicysta prawicowego portalu Breitbart Milo Yiannopoulos. Gdy jedna ze studentek zaczęła protestować przeciwko głoszonym przez niego tezom, Yiannopulos odparł: „Proszę pani, cieszę się, że pani przyszła, ale to nie jest jakieś śnieżynkowe party, tylko mój wykład. Będąc zupełnie szczerym: mam w dupie pani uczucia!".

W maju 2017 r. na Berkeley miał gościć nacjonalista Richard Spencer z wykładem o tym, „jak rasa wpływa na ludzi o pochodzeniu europejskim". Oburzeni studenci zablokowali jego występ. Później Spencer wystąpił na Uniwersytecie Floryda, w związku z czym gubernator Florydy ogłosił stan wyjątkowy. Uniwersytet Berkeley w Kalifornii zaprosił prawicowego publicystę i komentatora Bena Shapiro, oferując jednocześnie studentom, którzy wysłuchają jego występu, „doraźną pomoc psychologiczną". Shapiro nazwał to „szaleństwem". Steve Bannon, wydawca Breitbart News, często i chętnie drwi z wrażliwej młodzieży. Śnieżynki płci męskiej to dla niego „samce beta". W przeciwieństwie do Trumpa, który jest jego zdaniem „samcem alfa". Feministki z pokolenia płatków śniegu są określane przez amerykańską prawicę jako „bojowniczki na rzecz sprawiedliwości społecznej" („social justice warriors", w skrócie SJW), które nałykały się niebieskich pigułek (to aluzja do „Matrixa") i teraz szybują w przestworzach.

Śnieżynki czują się oczywiście urażone. Jak wynika z badania przeprowadzonego przez firmę ubezpieczeniową Aviva, uważają one, że porównywanie ich do płatków śniegu jest „niesprawiedliwe". A nawet szkodzi ich zdrowiu psychicznemu. Tak uważa według Avivy aż ¾ ankietowanych Brytyjczyków w wieku od 16 do 24 lat.

Nie brakuje zresztą tych, którzy ich bronią. Zdaniem pisarki Natashy Devon baby boomersi i ludzie z pokolenia X skarżą się na młodych milenialsów, bo ci kwestionują ich idee. „Dzisiejsze pokolenie nie jest moim zdaniem słabsze niż poprzednie. Zresztą co jest takiego złego w byciu zaangażowanym? Świat nie jest idealny i wciąż należy walczyć o takie rzeczy jak równość płci i przeciwko rasizmowi" – przekonuje. Także zdaniem brytyjskiej prawnik i założycielki organizacji Women in Leadership Sholi Mos-Shogbamimu „nie ma nic złego w byciu wrażliwym". „To oznaka siły. I to nieprawda, że takie rzeczy jak feminizm są dziś zbędne. Problemy, które istniały 20 lat temu, istnieją także dziś" – przekonuje. Jej zdaniem główny problem śnieżynek polega na tym, że mają dostęp do „niebywałej ilości informacji, ale nie wiedzą, co z tym zrobić". „Ich wpływ jest w konsekwencji niewielki. To baby boomersi i pokolenie X wciąż rozdają dziś karty" – zaznacza Mos-Shogbamimu w rozmowie z „The Guardian".

- **Baby boomersi:** urodzeni między 1946 a 1964 r., są uważani za pokolenie, które „miało wszystko", a co najmniej o wiele więcej niż ich rodzice dorastający w okresie wojny i wielkiej depresji. Dzięki temu korzystali z dobrodziejstw państwa opiekuńczego, jak darmowa edukacja i tanie mieszkania.
- **Pokolenie X:** urodzeni między 1965 a 1976 r., czyli pokolenie „Dlaczego ja?". Są pierwszym pokoleniem, które doświadczyło zjawiska rozwodów na szeroką skalę. Ich rodzice dorastali w epoce, w której dokonywały się ogromne zmiany społeczne (lata 60.), ale iksy nie mają ambicji zmieniania świata.
- **Pokolenie Y lub milenialsi:** urodzeni między 1977 a 1995 r., czyli pokolenie rozpieszczone przez baby boomersów, leniwe i nastawione na natychmiastowe zaspokojenie swoich potrzeb. Żyjące w wirtualnym świecie portali społecznościowych i aplikacji, czyli – zdaniem ekspertów – „uzależnione od internetu i samotne".
- **Pokolenie Z:** urodzeni między 1996 a 2010 r., czyli pierwsze pokolenie, które nie pamięta ery przed internetem, zwane także pokoleniem i-pad. Skupieni na technologii.
- **Pokolenie Alpha:** urodzeni po 2010 r. Niewiele jeszcze wiemy o tym pokoleniu. Eksperci przewidują jednak, że będzie to najbardziej wykształcone formalnie pokolenie w historii. Ale także bardziej egoistyczne i materialistyczne niż igreki i zety.

eprasa.pl 4ec64585d0

Towiańszczyzna

Od wielu miesięcy abp Wojciech Polak kołacze do drzwi naszych sumień, powtarzając ewangeliczną przestrogę Jezusa: „Byłem przybyszem, a nie przyjęliście Mnie". Konkretnie chodzi o to, że „Chrystus cierpi w uchodźcach i musimy się na tych uchodźców otworzyć". To dobrze, że prymas Polski przypomina nam, biednym chrześcijanom, o potrzebie niesienia pomocy bliźnim. Sęk w tym, że uchodźcy z Ukrainy, którzy aktualnie stacjonują nad Wisłą, raczej nie narzekają na brak wsparcia. Wygląda na to, że abp Polak ma na myśli innych uchodźców, mianowicie imigrantów islamskich, których na razie możemy zobaczyć wyłącznie w telewizji. W gruncie rzeczy żarliwy apel hierarchy skierowany jest więc nie do zwykłych ludzi, lecz do polskiego rządu. Jak rozumiem, prymas oczekuje, że nasze państwo przyjmie pod swój skrawek nieba kilka tysięcy wyznawców Allaha, w tym paru cierpiących terrorystów. W przeciwnym razie zostanie suspendowane.

Polityka to „roztropna troska o dobro wspólne", a nie Koło Sprawy Bożej

Większość chrześcijan zdaje sobie sprawę, że polityka to – jak pisał Jan Paweł II – „roztropna troska o dobro wspólne", a nie Koło Sprawy Bożej. Najwyraźniej jednak abp Polak uważa inaczej. Już w 2012 r. jako sekretarz generalny Konferencji Episkopatu Polski podjął apostolski dialog z prawosławnymi przyjaciółmi Władimira Putina. Efektem było podpisane przez abp. Józefa Michalika i patriarchę Cyryla „Wspólne przesłanie do Narodów Polski i Rosji". Jak pamiętamy, chodziło o to, by „każdy Polak w każdym Rosjaninie i każdy Rosjanin w każdym Polaku widział przyjaciela i brata". Od czasów Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej nikt nie wyraził tej idei bardziej przejmująco.

W 1842 r. Andrzej Towiański założył w Paryżu sektę religijną zwaną Kołem Sprawy Bożej. Charyzmatyczny Litwin, który szybko stał się duchowym guru części polskiej inteligencji, nauczał, że walka z bronią w ręku, a nawet oddanie życia za ojczyznę to sprzeciwienie się woli Boga. Głosił, że aby zmienić świat, wystarczy rozważać Słowo Boże w chrześcijańskiej wspólnocie, uczyć się kochać nieprzyjaciół i stawać się lepszym człowiekiem. Podczas organizowanych przez Towiańskiego zamkniętych posiedzeń bracia wyznawali sobie wzajemne urazy, prosili o wybaczenie i wysłuchiwali moralnych pouczeń. Atmosfera kuźni duchowej przyciągnęła m.in. poetę Seweryna Goszczyńskiego, który w latach 1830–1831 brał udział w ataku na Belweder i w bitwie pod Stoczkiem. Nie zabrakło również wieszczów narodowych: Adama Mickiewicza i Juliusza Słowackiego.

Relacje zaczęły się psuć, gdy Towiański zarządził modlitwę za duszę cara Aleksandra I. Jak głosi plotka, brat Juliusz krzyknął wówczas, że duch Stefana Batorego zabronił mu się modlić za jakiegokolwiek Moskala, i wkrótce opuścił sektę.

Mickiewicz wytrzymał dłużej. W 1844 r. przetłumaczył nawet podpisany przez Aleksandra Chodźkę, ale ułożony przez Towiańskiego list do Mikołaja I. Guru zwracał się w nim do cara w klimacie miłości bliźniego, prosząc go o objęcie duchowego przywództwa nad ludami słowiańskimi. Sprawę doznanych krzywd kwitował ewangeliczną mądrością, że „nie do braci należy sądzić braci". Zresztą – przyznawał – Polacy także odwrócili się od Boga, za co zostali ukarani rozbiorami. Teraz czas się wyrzec nienawiści i rozpocząć „nową epokę chrześcijańską". Oczywiście, pismo wywołało burzę w środowisku emigracji. Towiańskiego uznano za rosyjskiego szpiega, którego celem jest sparaliżowanie polskich dążeń niepodległościowych.



Także dzisiaj można spotkać chrześcijan, którzy całkiem poważnie twierdzą, że już nie tylko zbrojna walka o niepodległość, lecz i zwyczajne zaangażowanie patriotyczne jest pogańskim „wyborem Barabasza". Wszem wobec ogłaszają, że nie interesują ich realia polityczne, i upodabniają się do hippisów biegających po ukwieconej łące z okrzykiem „Miłość! Pokój! Braterstwo!". Dopóki podobne postawy zdarzają się w zamkniętych środowiskach, dopóty pozostają świadectwem infantylizmu. Kiedy pojawiają się na wyżynach życia publicznego, stają się skrajnie nieodpowiedzialne.

A poza tym uważam, że Pałac Kultury i Nauki im. Józefa Stalina musi zostać zburzony.

Wojciech Wencel

eprasa.pl 4ec64585d0

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Zrównoważony rozwój

Tytuł felietonu niezbyt oryginalny, bo tym razem chodzi o zwrócenie uwagi na oficjalny, często używany przez globalnych i lokalnych polityków termin. Na ile ekonomiczny i prawniczy, na ile racjonalny, a w jakim stopniu światopoglądowy i ideologiczny?

Sformułowanie to słyszałem wielokrotnie u byłego ministra środowiska prof. Jana Szyszki w kontekście Puszczy Białowieskiej. Wydawało się to naturalne, gdyż pierwotna koncepcja zrównoważonego rozwoju pojawiła się w Niemczech w XIX w. w kontekście gospodarowania lasami. Uznano wtedy, że należy wycinać tylko tyle drzew, ile w ich miejsce można zasadzić nowych. Stare polskie powiedzonko: „Nie było nas, był las, nie będzie nas, będzie las" znane jest dobrze także w Niemczech.



Ważne, aby zakres pojęcia „zrównoważonego rozwoju" nie budował kolejnych ideologicznych ani światopoglądowych absurdów

Prof. Jan Szyszko mówi, że zrównoważony rozwój to racjonalna, sensowna gospodarka przyrodniczym dobrem, utrzymanie dla przyszłych pokoleń unikatowych walorów Puszczy Białowieskiej oraz zapewnienie miejscowej społeczności warunków do dalszego rozwoju w symbiozie z puszczą. Jak widać, profesor trzyma się naszej interpretacji zrównoważonego rozwoju zawartej w artykule 5 Konstytucji RP z 1997 r.: „Rzeczypospolita Polska strzeże niepodległości i nienaruszalności swojego terytorium, zapewnia wolności i prawa człowieka oraz bezpieczeństwo obywateli, strzeże dziedzictwa narodowego oraz zapewnia ochronę środowiska, kierując się zasadą zrównoważonego rozwoju".

Tak więc zrównoważony rozwój w naszym prawie najściślej związany jest z ochroną środowiska i zachowuje swój paradygmat na równi z nienaruszalnością granic, wolnością praw i dziedzictwa narodowego. Także w ustawie Prawo ochrony środowiska zrównoważony rozwój łączy w sobie „rozwój, w którym następuje proces integrowania działań politycznych, gospodarczych i społecznych z zachowaniem równowagi przyrodniczej" oraz trwałość procesów przyrodniczych w celu zaspokajania podstawowych potrzeb poszczególnych społeczności zarówno obecnego, jak przyszłych pokoleń.

Nieco inne akcenty zawiera „globalna" definicja zrównoważonego rozwoju. Po raz pierwszy pojawiła się w 1987 r. w Raporcie Światowej Komisji Środowiska i Rozwoju ONZ. Raport zawiera w sobie trzy uzupełniające się elementy: stymulowany pod względem osiąganych korzyści wzrost gospodarczy, ochronę środowiska i zasobów naturalnych oraz rozwój społeczny. Tak więc od tego czasu pojęcie to nie ogranicza się już do leśnictwa. Znacznie się poszerzyło i obejmuje już prawie wszystkie przejawy życia gospodarczego i społecznego. Dziś zrównoważony rozwój to nie tylko rozwój gospodarczy i ochrona środowiska, lecz także rozwój społeczny, a także sprawiedliwość społeczna. Wszystko zależy tu od założonej perspektywy. Nastąpiło przeniesienie akcentów z ekogospodarki na szerokie sfery życia społecznego.

O zrównoważonym rozwoju mówi też coraz częściej premier Mateusz Morawiecki. Dobrze, że w tym kontekście przywołuje, jak ostatnio w Davos, zapisane w naszej konstytucji zasady sprawiedliwości społecznej i społeczny charakter gospodarki rynkowej opartej na wolności gospodarczej, własności prywatnej i solidarności społecznej. Używając tak pojemnego określenia jak „zrównoważony rozwój", można skutecznie trafić z argumentami do zagranicznego rozmówcy, a kontekst Puszczy Białowieskiej nie musi się sprowadzać do polemiki z kłamliwymi hasłami tzw. ekologów o prymitywnym wycinaniu puszczy dla zysku.

Ważne, aby zakres pojęcia „zrównoważonego rozwoju" nie budował kolejnych ideologicznych ani światopoglądowych absurdów zawartych w licznych międzynarodowych dokumentach pod hasłami „globalnego zrównoważonego rozwoju". To m.in. zrównoważone gospodarowanie zasobami naturalnymi całej ziemi i angażowanie w to społeczeństwa obywatelskiego, propagowanie zrównoważonych zachowań i myślenia, dążenie do zrównoważonego transportu światowego (za pomocą banków), zrównoważonego światowego systemu rolniczego, zrównoważonej konsumpcji i produkcji, edukacji itd. Od tego „zrównoważenia" tylko krok do zrównoważonej przyszłości i zrównoważonej populacji, jak to się zdarzyło na Szczycie Ziemi w Rio de Janeiro w 2012 r., gdzie postulowano zrównoważenie płci i umocnienie pozycji kobiet.

Zrównoważony rozwój? Rozwój tak, ale nie ideologia.

eprasa.pl 4ec64585d0

Tomasz Morus

DARIUSZ KARŁOWICZ

Dzięki PIW otrzymaliśmy „Pisma więzienne" św. Tomasza Morusa – wybór listów, rozważań i modlitw pisanych w londyńskim Tower. Morus – jeden z największych humanistów XVI w., autor sławnej „Utopii", przyjaciel Erazma, z wykształcenia prawnik, z powołania mąż stanu – daje w nich ostatnią lekcję polityki: świadectwo wierności głosowi sumienia w obliczu wyboru, za który zapłaci głową.

Po ślubie Henryka VIII z Anną Boleyn Morus zrzeka się urzędu kanclerza. Nie szuka konfliktu. Nie epatuje krytyczną opinią na temat unieważnienia małżeństwa z Katarzyną Aragońską. Rezygnacja z urzędu nie jest demonstracją, ale poszukiwaniem sposobu umożliwiającego dochowanie wierności władcy, z którego decyzjami trudno się zgodzić. I na pewno nie szuka śmierci! Niestety podpisanie aktu supremacji ustanawiającego Henryka głową Kościoła w Anglii to granica, którą Morus uważa za niemożliwą do przekroczenia.

Oskarżony o zdradę stanu po urągającym przyzwoitości procesie zostaje skazany na śmierć. Opuszczony przez wszystkich nikogo nie ocenia ani nie moralizuje. Do końca stroni od patosu – bardzo ludzki zarówno w swoich obawach, jak i angielskim poczuciu humoru (zgodnie z relacją obecnego przy egzekucji Williama Ropera, wchodząc na chwiejący się szafot, prosi: „Panie Poruczniku, pomóż mi wejść na górę, z powrotem poradzę sobie sam"). Życzeniem króla jest, by przed egzekucją nie mówił długo. Może również dlatego ostatnie zdanie cechuje niezwykła zwięzłość. „Umieram jako dobry sługa króla, ale przede wszystkim sługa Boga".

W czasach gdy o „nieposłuszeństwie obywatelskim" mówi się z dowolnie błahego powodu (Thoreau przewraca się w grobie), Morusowa lojalność wobec króla wydaje się niezrozumiała. Pragnienie zachowania wierności monarsze zdumiewa bardziej nawet niż gotowość do śmierci za wiarę. Zgoda – mówimy – ludzie uważają pewne rzeczy za ważniejsze od życia, niektórzy nawet potrafią dokonać takiego wyboru, ale posłuszeństwo wobec niesprawiedliwej władzy? Toż to absurd!

Do głowy przychodzi inny wielki tekst mówiący o podobnym wyborze. Mam na myśli Platońskiego „Kritona". Rzecz dzieje się w ateńskim więzieniu, już po wyroku na Sokratesa. Filozofa czekającego na egzekucję odwiedza uczeń, który namawia go do ucieczki. Ale Sokrates odmawia. Dlaczego? Oskarżenie było wszak niedorzeczne, a wyrok okazał się niesprawiedliwy. Czy nie zwalnia to z lojalności wobec polis? Czy obowiązki wobec rodziny nie są w tej sytuacji ważniejsze od wierności prawu? Sokrates uważa, że nie.



Kiedy wybory, które formowały kulturę europejską, stają się niezrozumiałe, możemy się dowiedzieć czegoś ważnego o naszej epoce. Dlatego spróbujmy odwrócić pytanie. Co budzi w nas taki sprzeciw? Wydaje mi się, że zasadniczy problem dotyczy wagi przypisywanej dwu sprawom: wartości państwa i znaczeniu wierności.

Przy oczywistych różnicach zachodzących między pogańskim mędrcem a chrześcijańskim świętym łączy ich przekonanie, że państwo, prawo, porządek polityczny wymagają najwyższej powagi. Owszem, państwo bywa niedoskonałe, zawodzi, ale to przecież zbyt mało, by można było je z tego powodu przekreślić. Kto by tak zrobił, dopuściłby się występku przeciw porządkowi chroniącemu ludzi i cywilizację.

Fuzja liberalnego indywidualizmu z komunistyczną mrzonką czyni nas niezdolnymi do dostrzeżenia wartości państwa. Lata europejskiego pokoju zrobiły swoje. Zauroczeni mitem świata bez granic i rządów nie łączymy go z obrazami upadłych państw, z panującą tam brutalnością, nędzą, chaosem, z rozpaczą uchodźców.

Drugą sprawą, która utrudnia nam zrozumienie postaw Morusa i Sokratesa, jest stosunek do kwestii lojalności. Rzecz jest oczywiście ściśle powiązana z poprzednią. Przekonanie, że wierność jest cnotą fundamentalną dla trwania ludzkiego świata, należy dziś do przeszłości, bo za fundament uchodzi co innego. Żyjemy w świecie, który nie potępia Anny Kareniny, bo wolność stawia znacznie wyżej od odpowiedzialności. Czy oznacza to pobłażliwość dla braku lojalności w każdej postaci? Czy uderza w państwo?

Sprawa nie jest prosta. Owszem, lojalność może być selektywna. Niewierność wobec żony nie oznacza nielojalności w interesach ani pogardy dla prawa. Takie podejście to purytańska przesada. Z drugiej strony jeśli wierność przestaje być cnotą cenioną w życiu prywatnym, dlaczego miałaby być ważną cnotą polityczną? Kultury – jak ludzie – źle znoszą schizofreniczne rozdarcia. Dlatego kultura niewierności opuściła alkowę. Zmienia świat. Dobrze widać to na przykładzie wyborów. Od Nowego Jorku, przez Londyn, po Warszawę w dzień po ogłoszeniu wyników na ulicę wychodzą niezadowoleni. Jakaś część chce wykrzyczeć frustrację, ale jakaś uważa, że lojalność wobec akceptowanych wczoraj reguł nie obowiązuje. Jak wyglądałby świat, gdyby ich podejście stało się normą? Trudno powiedzieć. Na pewno nie byłoby w nim miejsca na demokrację. Na Sokratesa ani Morusa zresztą też.

Atak na Roż

Jeszcze nie ucichły echa październikowej klęski Kurdów w Iraku, a już ich pobratymcy – Kurdowie w Syrii – muszą stawić czoła agresji wojsk tureckich



JAN ROKITA

W chwili gdy przygotowuję tę analizę, w zaatakowanej w sobotę 20 stycznia syryjskiej prowincji Afrin są już ofiary śmiertelne po obu stronach, a Kurdowie nie mają zbyt wielkich szans na powstrzymanie przeważających sił tureckich. Trzy miesiące temu Kurdowie w Iraku, którzy dzięki poparciu Ameryki mają tam od dawna własną faktyczną państwowość, utracili 1/3 swoich terenów na rzecz rządowej armii irackiej, która niespodziewanym blitzkriegiem zajęła ważne tereny roponośne i dwa wielkie miasta: Kirkuk i Kurmatu, z tego ostatniego wypędzając (wg danych Reutersa) ok. 30-tysięczną kurdyjską mniejszość. Błąd Kurdów irackich polegał zarówno na ich zbyt asertywnej polityce, której przejawem było referendum nad proklamowaniem formalnej niepodległości Kurdystanu, jak i na zaskakującym nieprzygotowaniu oddziałów słynnej „peszmergi" do stawienia oporu nagłej napaści. Amerykanie, najbliżsi sojusznicy i protektorzy Kurdystanu irackiego, nie stanęli wtedy w obronie swoich protegowanych, gdyż ci nie chcieli wcześniej słuchać płynących z Waszyngtonu rad o konieczności prowadzenia ostrożniejszej i bardziej realistycznej polityki.



OPERACJA „GAŁĄŹ OLIWNA"

Obecny atak turecki idzie na tereny Kurdów syryjskich, a ściśle rzecz biorąc – na Afrin, czyli jeden z trzech skonfederowanych kantonów Rożawy, nieformalnego i nieuznawanego przez świat organizmu quasi-państwowego, powstałego na terenach, jakie dowodzone przez Kurdów, a wspierane przez USA Syryjskie Siły Demokratyczne (SDF) zdobyły w walkach z Państwem Islamskim. Afrin jest najdalej wysuniętym na zachód kantonem Konfederacji Rożawy, położonym (tak samo jak dwa pozostałe) wzdłuż granicy tureckiej, ale już w pobliżu Aleppo i Morza Śródziemnego. Od kantonów wschodnich różni się także tym, że nie jest terytorium rdzennie kurdyjskim; Turkom łatwiej zatem podważyć prawa Konfederacji Rożawy do tych terenów. W 2016 r. tu-

eprasa.pl 4ec64585d0

awę

recki prezydent Recep Erdoğan po raz pierwszy wysłał swoje wojska na terytorium syryjskie, wbijając klin między Afrin a dwa wschodnie kantony kurdyjskie, w ten sposób uniemożliwiając Kurdom przeprowadzenie planu zjednoczenia całej Rożawy pod swoim przywództwem. Tamta operacja nosiła kryptonim „Tarcza Eufratu" i pozwoliła Turkom nie tylko na osłabienie Kurdów, lecz także na utworzenie w Syrii de facto własnej przygranicznej strefy okupacyjnej. W ten sposób Ankara zareagowała na obecność wojsk rosyjskich w Syrii, stając się odtąd koniecznym partnerem dla Rosjan w ewentualnych przyszłych decyzjach dotyczących losu upadłej państwowości syryjskiej. Teraz Erdoğan uznał, że nadszedł czas na dokończenie tamtej operacji. Zaatakowany od północy i wschodu kanton Afrin ma zostać odłączony od Rożawy i znaleźć się w obrębie tureckiej strefy okupacyjnej. A propaganda reżimu Erdoğana nadała tej zbrojnej operacji prowokacyjny kryptonim „Gałąź oliwna", ogłaszając, że jej celem jest „uwolnienie tamtejszej ludności od ucisku i opresji". Gałąź oliwna w ręku Erdoğana najwyraźniej oznacza m.in. regularne bombardowania oraz pancerne zagony niemieckich czołgów Leopard, widoczne na filmach publikowanych w internecie. Kłamstwo i dewaluacja języka są typowymi politycznymi narzędziami każdej wojny.

Warto pamiętać, że kantony Rożawy to zjawisko swoiste i unikatowe w tym regionie świata. W kantonach władzę sprawują obieralne kolegia obywatelskie, obowiązuje religijna tolerancja (wielu Kurdów syryjskich to areligijni lewicowcy) oraz radykalne równouprawnienie kobiet, które tworzą odrębne od wojsk męskich wojskowe oddziały kobiece. Ów idealistyczny ustrój Rożawy, przypominający nieco wizje ustrojowe XIX-wiecznych europejskich socjalistów utopijnych, ma swoje źródło w doktrynie Abdullaha Öcalana – lidera kurdyjskiej lewicy siedzącego od lat za terroryzm w tureckim więzieniu. Komunista Öcalan miał przejść w więzieniu ideową konwersję za sprawą czytanych tam książek amerykańskiego ekologa i anarchisty Murraya Bookchina, wzywając Kurdów, aby przystąpili do budowy swoistego państwa idealnego, opartego na wolności, samorządzie i życiu zgodnym z naturą.

Dla konserwatywnego realisty, jakim jest turecki prezydent, wszystkie te mrzonki brzmieć muszą bardzo niebezpiecznie dla geopolitycznych interesów Turcji, aspirującej do roli regionalnego mocarstwa, dla sunnickiej religii, a w końcu także dla jego własnych na poły autorytarnych rządów. Polityczna organizacja syryjskich Kurdów i jej zbrojne ramię SDF to dlań nic innego jak rozsadniki kurdyjskiej bezbożności i terroryzmu, co brzmi tym bardziej wiarogodnie, że kurdyjscy lewicowi terroryści, przeprowadzający zamachy w odwecie za tureckie pacyfikacje ludności kurdyjskiej, też traktują Öcalana jako swojego duchowego przywódcę.



Fot. vaalaa/Shutterstock.com

eprasa.pl 4ec64585d0

I choć wszelkie analizy skomplikowanej kurdyjskiej polityki wskazują na to, iż nie ma żadnej politycznej koordynacji między kantonami Rożawy a zdelegalizowaną w Turcji Kurdyjską Partią Pracy (PKK), będącą zapleczem odwetowych grup terrorystycznych, to dla Erdoğana samo pokrewieństwo ideowe utopijnych socjalistów z Rożawy i bojówek z PKK jest ze wszech miar politycznie wygodne i nieustannie podkreślane.

DEAL TURECKO-ROSYJSKI

Niemal jednocześnie z inwazją na Afrin szef sztabu armii tureckiej gen. Hulusi Akar wyleciał do Moskwy z misją zneutralizowania ewentualnego sprzeciwu Kremla wobec tureckich poczynań militarnych. Turcja jest w końcu zaprzysięgłym wrogiem syryjskiego tyrana Asada, który z kolei jest zdany na łaskę i niełaskę Władimira Putina jako jego polityczny i wojskowy wasal. W poniedziałek 22 stycznia Erdoğan ogłosił rzecz dość niezwykłą, że mianowicie uzyskał zgodę Moskwy na zbrojne zajęcie kantonu Afrin.

Co w tym najciekawsze, to to, że kilkanaście godzin przed turecką interwencją, w niedzielę 21 stycznia wieczorem, rosyjski koncern Gazprom podał w sieci wiadomość, iż po wielu miesiącach negocjacji i tureckiego sprzeciwu właśnie otrzymał zgodę Ankary na przeprowadzenie przez tureckie wody terytorialne na Morzu Czarnym drugiej nitki gazociągu Turkish Stream, który miałby dostarczać rosyjski gaz do Europy, z obejściem Ukrainy, Słowacji i Polski. A szef Gazpromu Aleksiej Miller wkrótce potem z satysfakcją obwieścił, iż wobec tak znaczącej zmiany tureckiej polityki energetycznej spodziewa się, że obie rury tej inwestycji mogą być gotowe już w 2019 r.

Do tej pory sami Rosjanie byli raczej ostrożni w planowaniu drugiej gazowej rury przez Morze Czarne i Turcję, mając na względzie nie tylko opór Ankary, lecz przede wszystkim rozmaite trudności, jakich spodziewali się w tej mierze ze strony Komisji Europejskiej. Najwyraźniej obecne negocjacje rosyjsko-tureckie przebiegły tak dobrze, że Rosjanie (przynajmniej deklaratywnie) nie tylko pozbyli się swych wątpliwości, lecz nawet uznali prawo Erdoğana do okupacji dalszego kawałka Syrii i wyparcia stamtąd milicji kurdyjskiej.

Podobnie jak Kurdowie iraccy trzy miesiące temu, tak teraz Kurdowie syryjscy zostali w zasadzie opuszczeni przez sojuszników amerykańskich. Sekretarz stanu Rex Tillerson, który właśnie odbywa podróż po Europie (w tym także do Warszawy), oświadczył w Londynie, że „Ameryka uznaje i w pełni rozumie prawo Turcji do chronienia swych obywateli przed elementami terrorystycznymi". Zapewne w tej amerykańskiej deklaracji nie byłoby nic nadzwyczajnego, gdyby nie to, że dotąd nie słyszano o bazach terrorystycznych w kantonie Afrin, a wojna turecko-kurdyjska toczyła się daleko bardziej na wschód. Jest oczywiste, że motywacją operacji „Gałąź oliwna" nie jest wcale likwidacja rzekomych baz terrorystycznych, ale uderzenie w quasi-państwowość kantonów Rożawy, odebranie im ich zachodnich terytoriów i utworzenie tam trwałej tureckiej strefy okupacyjnej w Syrii. Amerykanie udają, że nie są tego wszystkiego świadomi, ale nikt na serio w to przecież nie uwierzy.

> Idealistyczny ustrój Rożawy przypomina nieco wizje ustrojowe XIX-wiecznych europejskich socjalistów utopijnych

Tyle tylko, że sytuacja Amerykanów wobec Kurdów syryjskich jest dość skomplikowana, gdyż nie tylko wyszkolili oni i uzbroili w większości kurdyjskie oddziały SDF, lecz – co więcej – to właśnie te oddziały odegrały kluczową rolę w rozbiciu Państwa Islamskiego (ISIS), zdobyciu jego stolicy Rakki, a także (co jeszcze ważniejsze z perspektywy polityki USA) w zapobieżeniu takiemu scenariuszowi, w którym niemal cała Syria znalazłaby się pod hegemonią wspólnie działających wojsk rosyjskich i perskich, jednako wrogich Państwu Islamskiemu i Ameryce.

CO Z TYM ZROBI AMERYKA?

Dlatego rząd Donalda Trumpa dokonuje teraz jakiejś przedziwnej politycznej ekwilibrystyki, której efektem jest jednak (przynajmniej na razie) opuszczenie Kurdów i faktyczna uległość wobec Ankary. Jeszcze pół roku temu, w lipcu 2017 r., gdy w najlepsze trwały walki z ISIS, sekretarz obrony James Mattis deklarował Turkom, iż broń, jaką USA dostarczyły Kurdom w Rożawie, zostanie zwrócona US Army po rozgromieniu ISIS. Amerykańskie dowództwo zaczęło zaś regularnie informować armię turecką o tym, jaki sprzęt i w jakim rejonie został dostarczony Kurdom. Ówczesna deklaracja Mattisa musiała budzić naturalne zdziwienie, gdyż nikt dotąd chyba nie słyszał, aby broń dostarczona na front wojenny mogła zostać, tak po prostu, po zakończeniu wojny oddana właścicielom! Amerykańskiemu ministrowi chodziło więc raczej o jakiś gest wobec Ankary i wywołanie efektu minimum zaufania ze strony autokratycznego i skrajnie nieufnego Erdoğana.

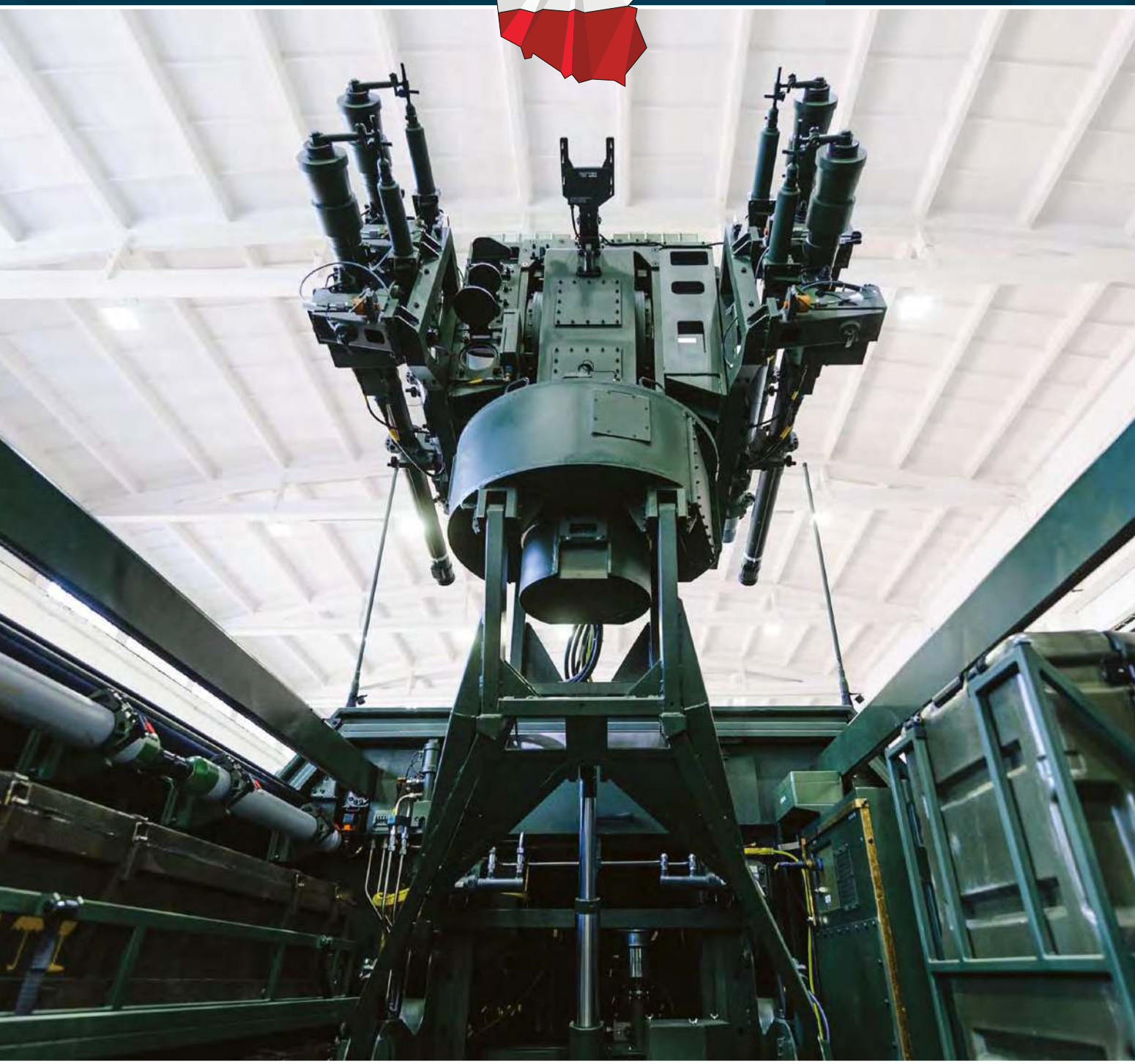
Teraz z kolei, gdy rozpoczęła się turecka operacja w kantonie Afrin, amerykańscy dowódcy ogłosili plan budowy 30-tysięcznych Sił Bezpieczeństwa Granicznego pod kurdyjskim dowództwem, które na stałe miałyby zapewnić bezpieczeństwo pogranicza syryjsko-tureckiego. Widać jak na dłoni, że Waszyngton jest mocno skonfundowany akcją zbrojną jednego z państw NATO, skierowaną otwarcie przeciw jego jedynym dziś sojusznikom w konflikcie syryjskim. I nie mając odwagi otwarcie stanąć po stronie Kurdów – co groziłoby głębokim kryzysem wewnętrznym w NATO i politycznym odpłynięciem Turcji od sojuszu z Zachodem – będą próbować jakiejś skomplikowanej gry, która pozwoliłaby ochronić chociaż część autonomicznej kurdyjskiej Rożawy, zagrożonej dziś turecką ekspansją.

62/07/17/F

eprasa.pl 4ec64585d0

PGZ

POLSKA GRUPA ZBROJENIOWA



ODBUDOWUJEMY POLSKI PRZEMYSŁ OBRONNY

www.pgzsa.pl

eprasa.pl 4ec64585d0

Póty dzban wodę nosi...

Pięknie brzmią różne doniesienia o dialogach na różnych szczeblach, z najwyższymi włącznie. Niewyrobieni politycznie obywatele i reprezentujący ich obserwatorzy (czytaj: redaktorzy oraz eksperci od wszystkiego dobrego) zaczynają widzieć nie tylko światełko w tunelu prowadzącym do „brukselskiego jajka", lecz i świecącą nad nim tęczę.

Jest zatem jakaś nić porozumienia między Warszawą a szefem Komisji Europejskiej Junckerem oraz jego zastępcą Timmermansem. Widać to też na obliczu Timmermansa, Człowieka Roku „Gazety Wyborczej". Obrósł on mianowicie brodą, całkiem siwą, co może oznaczać, że gotów jest odejść na emeryturę w aurze porozumienia z największym wrogiem „europejskich wartości", czyli z polskim rządem. I chwała mu za to, o ile to nie kolejny chwyt propagandowy, politycznie poprawna chała. Nowy premier i zmiany na stanowiskach ministra obrony oraz szefa MSZ wywołały tak wielki entuzjazm Brukseli, że gotowa rozmawiać, wyjaśniać i słuchać wyjaśnień, ale przede wszystkim liczy na ustępstwa ze strony polskiej.

Co się takiego stało, że kołchoz unijny wymiękła? Nominacja Mateusza Morawieckiego na prezesa Rady Ministrów spowodowała zmianę systemu politycznego w kraju dobrej zmiany? Czy może ta zmiana jest tak dobra, że znienawidzony przez większość chadecko-liberalną w Parlamencie Europejskim konserwatywny rząd zyskuje coraz większe poparcie społeczeństwa polskiego, w tym lemingów, czyli tzw. centrystów, tradycyjnie towarzyszących wszystkim przekrętom i korupcjom? Lecz ten nowy premier nie zamierza rezygnować z ideałów rządzącej partii, czyli Prawa i Sprawiedliwości, czemu dał wyraz w wypowiedzi dla „Wiadomości" TVP: „Mamy prawo jako suwerenny kraj naprawiać swój wymiar sprawiedliwości. Bez zmiany tej części ustroju nie będzie normalności. Prawu musi towarzyszyć sprawiedliwość". I to w końcu dociera do brukselskich władców Europy. Już widzą, że nie są takimi władcami, na jakich chcieliby wyglądać, a – co gorsza – Zjednoczona Prawica nie ma z kim przegrać, jako że totalna opozycja straciła zaufanie nie tylko konserwatystów, lecz także lewaków, i goni w piętkę w sondażach.

Jest niemal pewne, że wybory do Sejmu w roku 2019 znów wygra PiS. A może również następne, bo obywatelom podobają się reformy społeczne i gospodarcze i cieszy ich wzrost pozycji Polski na arenie międzynarodowej. Czyli wszystko pracuje na prawicę, na dodatek katolicką. Jak żyć w takiej Polsce – zastanawia się europosłanka Róża Thun – skoro nie udało się ideologiczne trzęsienie ziemi nad Wisłą, a zwolennicy aborcji na życzenie obrócili się przeciwko własnej formacji.

W Polsce brukselskie „wartości" mają przechlapane. Okazało się bowiem, że są one pozbawione wartości pielęgnowanych przez wieki na naszym kontynencie. Dlaczego, przecież Unia Europejska tak bardzo się starała? No właśnie dlatego. Poprawność polityczna i jej przewodnie hasło, które propaguje w Polsce Jerzy Owsiak: „Róbta, co chceta", zdezorganizowały życie obywateli państw UE, bo odebrano im hierarchię wartości, szacunek dla pozytywnych wzorów, gwałcąc ich tradycje i dorobek kulturowy amoralnym ekshibicjonizmem osobników uważających się za autorytety. Ten zwykły „ludź" został zapędzony do kąta, porządni obywatele, ciężko pracujący na utrzymanie rodzin i poprawę bytu, zostali zakwalifikowani do klasy prymitywnych podludzi.



Wszystko tu pracuje na prawicę, na dodatek katolicką. Jak żyć w takiej Polsce?

Nie może tak być, żeby pławiąca się w bogactwie mniejszość znęcała się ideologicznie nad większością. Polska dała przykład, jak przezwyciężyć ten dyktat liberalizmu lewicowego, a za Polską pójdą inni. Zauważyła to bawarska lewacka gazeta „Süddeutsche Zeitung", przestrzegając przed dyktatem niemiecko-francuskim w komentarzu na temat rezolucji przyjętej z okazji 55. rocznicy podpisania traktatu elizejskiego przez parlamenty niemiecki i francuski. Traktat ten oznaczał zamianę wrogości na przyjaźń między tym dwoma narodami. „SZ" zauważył, że rezolucja ta, wzywająca do pogłębienia współpracy niemiecko-francuskiej, jest odbierana jako pogłębienie dyktatu tych państw, nie tylko przez społeczeństwa Europy Środkowej, lecz również przez małe państwa zachodnie.

Jak tak dalej pójdzie, to Unia Europejska będzie się składać wyłącznie z Niemiec i Francji, a jedynym punktem spornym będzie dylemat, do którego z tych państw powinna należeć Bruksela i jej muzułmanie. Walka z polskim rządem powoduje, że coraz więcej naszych obywateli nie identyfikuje się z ideologią UE, najwyżej z jej kasą. Podobne nastroje zaczynają dominować w pozostałych krajach. Wszak póty dzban wodę nosi, póki się ucho nie urwie.

eprasa.pl 4ec64585d0

To nie zbrodnia

Republika Federalna Niemiec będzie miała nowy – to znaczy stary – rząd. Mocno osłabiony, ledwo przekraczający 50 proc. poparcia. Czyli rząd słaby, najsłabszy w historii tego państwa i całkowicie niedostosowany do nastrojów panujących w tym najbogatszym kraju europejskim. A wszystko to z powodu szeroko otwartych drzwi dla muzułmańskich imigrantów.

Jak się okazuje, nieprawdą jest, że Niemcy gotowi są zrezygnować z wolności osobistej dla kasy. Owszem, są oni interesowni, czego nawet nie ukrywają, ale pod warunkiem że nie są upokorzeni w swojej dumie, a raczej bucie za cenę zaoszczędzonych na ich godności monet. Do niedawna pomiatali cudzoziemcami pracującymi dla tych monet w ich kraju, pogardzali Polakami, Rumunami, Turkami i obywatelami krajów zaprzyjaźnionych, Włochami czy Francuzami. Czyli gorszym sortem tych narodów, który zamiast żyć w dobrobycie, przyjechał na saksy. Kto to widział? Czy jakiś Niemiec pozwolił sobie na zbieranie sałaty albo chmielu w Polsce lub Czechach, a winogron we Włoszech? Ale skądże. Niemiec wyjeżdża za granicę albo jako turysta, albo jako szef firmy inwestującej w biednych krajach. Jak jakieś panisko.

No i masz, babo, placek. Coraz więcej Niemców przeprowadza się do tej biedy, również do Polski czy na Węgry, żeby żyć w wolnym kraju, w którym nie ma zamachów terrorystycznych, a przybysze z „cywilizacji" bliskowschodniej nie gwałcą, nie rabują ani nie brudzą, bo ich zwyczajnie nie ma.

A u nich jest nadwyżka budżetowa, ale nie ma wolności poglądów, co sprzyja bezkarności przybyszów z innego świata. Burmistrz 100-tysięcznego miasta Cottbus (dawna NRD) wstrzymał kwaterowanie uchodźców, a jest ich zaledwie 3,5 tys. I to oni są przyczyną awantur, a nawet walk z mieszkańcami. W proteście wyszło na ulice 2,5 tys. obywateli. W mieście tym, pamiętającym terror komunistyczny, obudził się patriotyzm. Demonstranci nieśli transparent z nietypowym dla tego narodu hasłem: „Umiłowanie ojczyzny nie jest zbrodnią!". A nacjonalizm?

Krystyna Grzybowska

polecamy
WSKLEPIKU.PL



KREMLOWSKA SZKOŁA NEGOCJACJI. JAK OSIĄGNĄĆ SUKCES W BIZNESIE, KONTROLUJĄC KAŻDY ETAP ROKOWAŃ?

Igor Ryżow

Jak wyjść zwycięsko ze wszystkich sporów i negocjacji – w pożądanym przez Ciebie kierunku? Jak uchronić się przed presją i manipulacją i w jaki sposób trafnie odczytać ukryte intencje przeciwnika? Jak skutecznie bronić swoich interesów i panować nad emocjami – nie tylko swoimi, ale i negocjatora strony przeciwnej? Kremlowska szkoła negocjacji w latach zimnej wojny dała do rąk sowieckim dyplomatom skuteczną broń w trudnych pertraktacjach z Zachodem. Wykorzystywała agresywne techniki, pozwalała na przejęcie inicjatywy w rozmowach i stawiała przeciwnika na trudniejszych pozycjach startowych, niż pierwotnie to zakładał. Książka pomoże pozbyć się strachu, uprzedzeń i błędów. Nauczy elastyczności i prostych zasad, które nieodmiennie prowadzą do sukcesu. Pokonanie przeciwnika w wielkiej bitwie jest wyczynem, ale dopiero osiągnięcie nad nim walnego zwycięstwa przy zielonym stoliku jest sztuką. Sprawienie, iż nawet się nie domyśla, że przegrał, jest prawdziwą esencją skutecznej sztuki negocjacji. Warto uczyć się od tych, z którymi nieraz przyszło się nam mierzyć.

Zamówienia można również składać telefonicznie pod numerem:
22 836 54 45

AUTOPROMOCJA

eprasa.pl 4ec64585d0

Rządowe oczko w głowie

W Polsce trzeba budować nie tylko fabryki, porty, drogi, lecz przede wszystkim mieszkania i domy dla młodego pokolenia. To jest także polska racja stanu



Fot. Andrzej Skwarczyński



JANUSZ SZEWCZAK

Mimo realizowanych już ponad 30 tys. projektów inwestycyjnych i rozwojowych finansowanych ze środków unijnych oraz krajowych na kwotę 280 mld zł, w tym programu drogowego opiewającego na 135 mld zł do roku 2023, jak i wydatków na koleje w kwocie prawie 70 mld zł, to zdecydowanie najważniejszym priorytetem rządu Mateusza Morawieckiego, i to nie tylko w 2018 r., lecz co najmniej do końca tej kadencji Sejmu, winien być program Mieszkanie+.

To powinien być ten flagowy okręt rozwoju i inwestycji na najbliższe lata ze względu nie tylko na skalę inwestycji i potrzeb, lecz szczególnie ze względu na rangę społeczną oraz na to, by Polacy chcieli wracać do swej prawdziwej ojczyzny. I to zarówno ci z Zachodu, jak i zwłaszcza ci ze Wschodu: Kazachstanu, Rosji, Ukrainy czy Białorusi. By Polacy chcieli jednak wracać, musimy im zaoferować nie tylko godziwe płace, które stopniowo już rosną, lecz właśnie tanie, łatwo dostępne, nowe mieszkania na wynajem, z możliwością wykupu. Inaczej przy dość szybko rosnącej polskiej gospodarce i odczuwalnym już braku rąk do pracy będziemy zdani na pracowników z Pakistanu, Bangladeszu czy Indonezji, a więc krajów muzułmańskich, a tego Polacy woleliby uniknąć.

Po skutecznie już realizowanym programie Rodzina 500+, z jego nadspodziewanie dobrymi efektami ekonomicznymi i społecznymi, to właśnie program Mieszkanie+ staje się dziś prawdziwym wyzwaniem dla nowej rządowej ekipy premiera Morawieckiego. I wiadomo, że działania w tej sferze powinny być mocno zintensyfikowane, że potrzeba nie tylko wizjonerów i nadzorców, lecz także dużej grupy sprawnych menedżerów i elastycznych bankowców, dla których zysk nie będzie jedyną wykładnią. Nie jest tajemnicą, że dotychczasowe efekty tego programu budowlanego i mieszkaniowego nie były satysfakcjonujące, mimo ogromnych starań ministra infrastruktury Andrzeja Adamczyka, który przykładał wielką wagę do tego pomysłu. Wydaje się więc, że zbyt małe były aktywność i współpraca podmiotów uczestniczących w tym programie oraz zaangażowanie samorządów i wiara w efekty tak istotnej dla tego programu instytucji, jaką jest bank BGK Nieruchomości. I to mimo że przybywało chętnych i terenów inwestycyjnych – prawie 70 miast zgłosiło się do programu.

Dziś, w początkach 2018 r., mamy zaledwie dwa konkretne efekty tych działań: osiedle domków w Jarocinie i całe osiedle mieszkaniowe na niemal 200 lokali, które już w marcu będzie miało swoich najemców, w Białej Podlaskiej. Młody, dynamiczny prezydent Białej Podlaskiej Dariusz Stefaniuk z PiS nie wystraszył się odpowiedzialności ani ryzyka i pierwszy wbijał łopatę pod mieszkaniową inwestycję rok temu w obecności m.in. Jarosława Kaczyńskiego, Mateusza Morawieckiego i parlamentarzystów z południowego Podlasia. Widać więc, że gdy się chce, to można szybko, w miarę tanio i z pożytkiem społecznym zrealizować nawet tak duży projekt mieszkaniowy w ramach rządowego programu, jakim jest Mieszkanie+. I – co ciekawe oraz ważne – stało się to z pomocą firm lokalnych,

eprasa.pl 4ec64585d0

którym się chciało i opłacało. To istotne tym bardziej, że ekipa PO-PSL przez osiem lat swych rządów zaniedbywała nie tylko inwestycje drogowe na terenach wschodniej Polski. Bernadeta Puczka, prezes spółki miejskiej w Białej Podlaskiej, odpowiedzialna za projekt Mieszkanie+ w tym mieście, zapewnia, że lista najemców 186 mieszkań, na które zgłosiło się tylko drogą elektroniczną ponad 1,4 tys. naszych rodaków z całej Europy Zachodniej, ale i z Białorusi czy Ukrainy, będzie znana już w marcu. Biała Podlaska rozważa uruchomienie kolejnej tego typu inwestycji mieszkaniowej ze względu na ogromne zainteresowanie i jeszcze większe potrzeby.

Dziś Mieszkanie+ trafiło pod nadzór ministra inwestycji i rozwoju Jerzego Kwiecińskiego, co świadczy o randze i przywiązywanej wadze do realizacji tego projektu. Wydaje się, że jest realna szansa na jego przyspieszenie, bo Polacy czekają z wytęsknieniem na jego efekty. To oczywiste, że dla młodego pokolenia, zwłaszcza z mniejszych ośrodków miejskich, to jedyna szansa i istotny argument, by nie opuszczać rodzimych stron na rzecz wielkich miast. Koszty wynajmu tego typu mieszkań: 400–800 zł miesięcznie, czyli czynsz 10–15 zł za 1 mkw., to argument nie do pogardzenia, licząc razem czynsz, wynajem i eksploatację nawet dla tych, którzy rozważają swój powrót z Londynu czy Dublina. To również gwarancja mobilności młodych pracowników.

W Polsce trzeba budować nie tylko fabryki, porty, drogi, obwodnice, linie kolejowe czy elektrownię atomową, która może kosztować nawet 80–100 mld zł, lecz przede wszystkim mieszkania i domy dla młodego pokolenia. To jest także polska racja stanu, najbardziej istotna i najbardziej zrozumiała dla zwykłego Kowalskiego. Nowe mieszkanie o przyzwoitym standardzie i niskich kosztach eksploatacji to najbardziej namacalna realizacja idei dobra wspólnego, jaką powinien realizować rząd dobrej zmiany. Tym bardziej że poziom polskiego mieszkalnictwa jeszcze daleko odbiega od zachodnioeuropejskich standardów. Własny dom czy mieszkanie to często jedyny realny majątek Polaków i prawdziwa tęsknota za zamożnością, stabilizacją lub poczuciem bezpieczeństwa ekonomicznego. Gdy idzie o procentowy udział we własności swojego lokum, przebijamy nawet zamożnych Niemców, ale tam pracownika stać i na wynajem mieszkania, i na utrzymanie rodziny. Godziwa płaca i tanie, powszechnie dostępne mieszkanie to prawdziwy wyraz Polski sprawiedliwej oraz zasobnej. Dlatego tak ważny jest ten rządowy program Mieszkanie+, który na lata może się stać prawdziwym kołem zamachowym polskiej gospodarki. Tu nie wolno zawieść oczekiwań ani aspiracji rodaków. W rękach mądrych, sprawnych polityków i menedżerów może to być prawdziwie cywilizacyjne wyzwanie, wielkie osiągnięcie i realny sukces. W końcu nie każdy Polak może mieć kamienicę po szmalcownikach czy siedem mieszkań, jak to bywało w przypadku polityków PO – prezydentów dużych polskich miast.

REKLAMA

HISTORIA TRANSFORMACJI POLSKIEGO SEKTORA FINANSOWEGO

Wojny tajnych służb, polityczne intrygi, tajne konta, handel bronią z arabskimi terrorystami.

Powstanie BRE Banku, prywatyzacja PZU, kulisy wyprzedaży za bezcen państwowych banków, kulisy powstania Banku Millenium.

Ile pieniędzy wypłynęło z Polski poprzez Fundusz Obsługi Zadłużenia Zagranicznego?



Słynna seria „Resortowe dzieci" opisała transformację od PRL-u do III RP w sferze mediów, służb specjalnych i elit politycznych. Piotr Nisztor rozszerza tę listę o transformację bankowości.

40/0118/F

eprasa.pl 4ec64585d0



Miliardy złotych, jakie PGE wyda na inwestycje w ciepło, pomogą w walce ze smogiem

Więcej ciepła, a mniej smogu

Fot. Shutterstock | 29/1017/F

Źródeł smogu można wymienić kilka, ale największy wpływ na jego powstawanie ma tzw. niska emisja. Jej źródłem są samochody, zwłaszcza napędzane silnikami Diesla, oraz piece, którymi ogrzewamy domy jesienią i zimą. O ile negatywny wpływ samochodów na tworzenie się smogu może zostać ograniczony dzięki naciskowi na elektryfikację aut, o tyle problem pieców może uda się rozwiązać dzięki rozbudowie sieci ciepłowniczych oraz modernizacji i budowie nowych ciepłowni i elektrociepłowni. Ten proces może przyspieszyć wskutek zmiany, jaka dokonała się na rynku ciepła w roku 2017, kiedy PGE Polska Grupa Energetyczna, największy producent energii elektrycznej, kupiła od francuskiego koncernu EDF m.in. osiem elektrociepłowni oraz sieci ciepłownicze, stając się tym samym również największym producentem ciepła.

ELEKTROCIEPŁOWNIE OGRANICZĄ NISKĄ EMISJĘ

Koncern pracował nad strategią dla swoich aktywów ciepłowniczych, która została ogłoszona pod koniec ub.r. Jednym z elementów tej strategii są dodatkowe zakupy producentów ciepła i sieci ciepłowniczych, a następnie ich modernizacja. To wszystko ma pociągnąć nakłady rzędu 17 mld zł, a więc pieniądze od dawna w tej branży niewidziane. W większości miast ciepłowniami zarządzają samorządy, dla których produkcja ciepła nie stanowi źródła zysku, za to jest postrzegana jako coś, co generuje koszty.

Tyle że PGE nie chce wyłącznie produkować ciepła. Widać to choćby w planach koncernu wobec kupionej od EDF elektrowni Rybnik. PGE podpisała z władzami miasta list intencyjny, na mocy którego zobowiązała się do budowy w elektrowni modułu ciepłowniczego służącego do produkcji ciepła w kogeneracji. Można powiedzieć, że elektrownia Rybnik zmieni się w elektrociepłownię, z której ciepło popłynie do mieszkańców miasta i okolic. Dla PGE jest to o tyle ważne, że choć Bruksela nie przepada za instalacjami węglowymi, to jednocześnie lepiej traktuje te, w ramach których powstaje jednocześnie i ciepło, i energia elektryczna.

Warto także zwrócić uwagę, że zarówno elektrownie, jak i elektrociepłownie są wyposażone w różnego rodzaju filtry oraz instalacje, które redukują znacznie ilość pyłów i zanieczyszczeń, jakie są emitowane do atmosfery. Gospodarstw domowych nie stać na takie urządzenia, wskutek tego zmiana źródła ciepła z własnego pieca węglowego, zwłaszcza niższej klasy, na ciepłownię lub elektrociepłownię powoduje znaczącą poprawę jakości powietrza. Takie rozwiązania jak to tworzone w Rybniku zaś można uznać wręcz za pozbawione wpływu na środowisko, jako że do produkcji ciepła będą wykorzystywane jednostki już funkcjonujące w elektrowni wyposażone w nowoczesne instalacje oczyszczania spalin.

eprasa.pl 4ec64585d0

ZMIANA W JEDNYM MIEŚCIE ODBIJE SIĘ NA CAŁEJ OKOLICY

Ale sama produkcja ciepła oraz energii elektrycznej to tylko część problemu, bo jest jeszcze kwestia tego, jak to ciepło bywa rozprowadzane oraz wykorzystywane. Sama modernizacja czy wręcz budowa nowych sieci ciepłowniczych to jedno, PGE chce także zwiększyć efektywność tej części biznesu dzięki wprowadzeniu nowych technologii do nadzoru nad stanem sieci, do kontroli wykorzystania ciepła i energii elektrycznej oraz do rozwoju inteligentnych miast. To wszystko ma umożliwić obniżenie zapotrzebowania na ciepło i prąd ze strony klientów.

Oczywiście te działania PGE będzie prowadzić tam, gdzie już jest obecna w wytwarzaniu i dystrybucji ciepła, oraz tam, gdzie się pojawi. Wiadomo, że koncern analizuje sytuację w wielu miastach w Polsce pod kątem tego, jak wygląda tam obecnie produkcja ciepła oraz stan sieci ciepłowniczej i czy będzie się opłacało wejść tam i zainwestować. Ale warto zwrócić uwagę na to, że już wejście do jednego z miast i zmiana sytuacji pod względem smogu może doprowadzić do bardzo poważnych przekształceń w okolicy. Chodzi o to, że jeśli mieszkańcy jednego z miast odczują mocną poprawę jakości powietrza w swojej okolicy, to ich sąsiedzi z najbliższych miejscowości zaczną wymagać od swoich radnych wprowadzenia podobnych zmian. W rezultacie owe kilkanaście miliardów złotych nakładów szybko może urosnąć do znacznie większych kwot, jeśli śladami inwestycji PGE podążą inne firmy czy samorządy.

Trzeba również pamiętać, że wsparcie PGE w walce ze smogiem nie obejmuje wyłącznie obecnych i przyszłych nakładów na ciepłownie oraz elektrociepłownie. Otóż do niedawna firmy energetyczne nie mogły różnicować cen prądu w zależności od pory dnia. Teraz jest to możliwe dzięki zmianom w prawie i zgodzie regulatora, jakim jest Urząd Regulacji Energetyki. Taryfa antysmogowa oferowana przez firmy energetyczne gospodarstwom domowym jest w nocy o 40–50 proc. niższa od ceny w standardowej taryfie. W przypadku połączenia preferencyjnych stawek w ofercie produktowej z opłatami za usługi dystrybucyjne oszczędności będą jeszcze większe. I tak np. w przypadku PGE klient może skorzystać z ceny niższej nawet o ponad 65 proc. niż w ciągu dnia. Oznacza to, że w wielu przypadkach opłaca się ogrzewać dom przy użyciu urządzeń elektrycznych (do niedawna był to jeden z najdroższych sposobów). Zamiast palić w piecu, można po prostu uruchomić grzejnik elektryczny. To jeden z najprostszych sposobów walki ze smogiem, jako że prowadzi do znacznego spadku emisji pyłów. Jak już zostało wspomniane, to piece domowe są jednym z głównych źródeł smogu, tymczasem przestawienie się na ogrzewanie prądem z elektrowni to źródło mocno ogranicza. Jednocześnie nie ma wpływu na zanieczyszczenia generowane przez elektrownie, jako że one i tak pracują w nocy.

MS



PGE chce być dobrym sąsiadem i partnerem samorządów w walce o czyste powietrze

Dzięki transakcji przejęcia polskich aktywów EDF, które funkcjonują już pod nazwą PGE Energia Ciepła, Grupa PGE stała się liderem na rynku ciepła, umacniając jednocześnie pozycję lidera na rynku energii elektrycznej. Chcemy w maksymalnym stopniu wykorzystać ten potencjał i – będąc najlepiej zarządzaną firmą ciepłowniczą – inicjować zmiany w całym segmencie.

Zaprezentowana przez nas w grudniu Strategia Ciepłownictwa w wymiarze społecznym opiera się na czterech filarach: bezpieczeństwie energetycznym, czyli niezawodności dostaw ciepła i energii elektrycznej po konkurencyjnej cenie, środowisku, rozumianym jako ograniczenie zjawiska smogu i niskiej emisji, społecznościach lokalnych, z którymi zamierzamy prowadzić aktywny dialog, oraz miejscach pracy, czyli wsparciu rozwoju społeczno-ekonomicznego.

Zgodnie z misją wyznaczoną w Strategii Ciepłownictwa chcemy stymulować transformację i rozwój krajowego ciepłownictwa, przyczyniając się do poprawy jakości środowiska, konkurencyjności gospodarki i poziomu dobrobytu społecznego oraz bezpieczeństwa energetycznego na poziomie lokalnym i krajowym.

W tę misję wpisaliśmy również wizję, w której zakładamy zdobycie pozycji firmy ciepłowniczej pierwszego wyboru, lidera innowacyjnego rozwoju ciepłownictwa zorientowanego na klienta, działającej efektywnie w oparciu o współpracę z samorządami. Strategię będziemy realizować zgodnie z wartościami Grupy PGE – partnerstwem, rozwojem i odpowiedzialnością.

Jako największa firma sektora chcemy być dobrym sąsiadem i wesprzeć samorządy w osiąganiu celów, na które samodzielnie nie mogą sobie pozwolić. Zaprezentowany przez nas program rozwoju segmentu ciepłownictwa wesprze wzrost gospodarczy regionów, a tym samym wpłynie pozytywnie na poprawę konkurencyjności gospodarki i podnoszenie poziomu dobrobytu społecznego. Nasze plany wpisują się w rządową Strategię na rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju i ją wspierają.

Zdajemy sobie również sprawę ze wzrastającej świadomości i wymagań klientów, dlatego chcemy wytyczać kierunki rozwoju sektora w Polsce w oparciu o innowacyjne rozwiązania, m.in. postępującą digitalizację, rozwój inteligentnych sieci i koncepcję smart city. W lutym w naszej ofercie sprzedażowej pojawi się także nowa taryfa antysmogowa, która w połączeniu z usługami dystrybucyjnymi PGE pozwoli klientom na zaoszczędzenie w godzinach nocnych nawet 65 proc. kwoty, jaka obecnie wiąże się z korzystaniem z energii w ciągu dnia.

Wyznaczyliśmy sobie ambitny program inwestycyjny i będziemy go konsekwentnie realizować w oparciu o zasady zrównoważonego rozwoju. Chcemy tym samym kreować energetykę jutra, na czym skorzystają nasi obecni i przyszli klienci, a także akcjonariusze. Polska to jeden z największych rynków ciepła w Europie – to szansa, którą zamierzamy wykorzystać. I wiemy, jak to zrobić.

***Henryk Baranowski**,*
prezes zarządu PGE Polskiej Grupy Energetycznej

eprasa.pl 4ec64585d0



eprasa.pl 4ec64585d0



Fot. Andrzej Skwarczyński | 3/1217/F

Repolonizacja banków

Polski kapitał kontroluje już ponad połowę aktywów sektora bankowości komercyjnej w naszym kraju. Jeszcze 2,5 roku temu udział ten był o kilkanaście punktów procentowych niższy. Repolonizacja, rozumiana jako przejmowanie kontroli nad podmiotami sektora bankowego przez spółki z polskim kapitałem, staje się faktem. Jak do niej doszło? Jakie są i jakie mogą być jej skutki dla sektora finansowego i gospodarki?

Banki z przeważającym polskim kapitałem w akcjonariacie posiadają udział przekraczający 50 proc. rynku bankowości komercyjnej w naszym kraju, który mierzony wartością aktywów wynosi ok. 1,59 bln zł. Część kontrolowana przez krajowych akcjonariuszy banków komercyjnych stanowi więc ponad 800 mld zł.

Nieco ponad 24 miesiące temu podmioty te miały jeszcze około 1/3 udziału w rynku. Wszystko zmieniło się za sprawą tzw. repolonizacji sektora bankowego. Spółki kontrolowane przez skarb państwa zaczęły przejmować działające w Polsce banki od zagranicznych inwestorów. Sprzyjające ku temu okoliczności pojawiły się m.in. w następstwie kryzysu finansowego z lat 2007–2009. Wiele międzynarodowych grup finansowych wyprzedawało aktywa, by poprawić swoją sytuację finansową, a także by spełnić wymagania instytucji nadzorujących rynek.

ROLA ZAGRANICZNYCH UDZIAŁOWCÓW W POLSKICH BANKACH

Znacznie zagranicznych udziałowców strategicznych w krajowym systemie bankowym wzrosło gwałtownie w drugiej połowie lat 90. Postępująca wówczas prywatyzacja krajowych banków wymagała zaangażowania znacznych zasobów kapitałowych oraz know-how, które znajdowały się wówczas w posiadaniu międzynarodowych grup bankowych. Wsparcie finansowe i merytoryczne, jakie uzyskały polskie banki od zagranicznych akcjonariuszy, pozwoliło na ich stabilny rozwój, przyczyniając się do wzrostu zarówno wolumenu, jak i jakości usług oferowanych na polskim rynku. Zależność finansowa i organizacyjna od międzynarodowych grup bankowych powoduje jednak, że kondycja finansowa podmiotów dominujących polskich

eprasa.pl 4ec64585d0

banków oraz decyzje biznesowe podejmowane przez zagranicznych udziałowców mogą stanowić zarówno czynnik stabilizujący, jak i destabilizujący sytuację krajowych podmiotów zależnych, wpływając na procesy zachodzące w krajowym systemie bankowym, a w konsekwencji i w gospodarce. Transfer ryzyka może się odbywać wieloma kanałami, których znaczenie uzależnione jest od powiązań finansowych na linii grupa–bank córka oraz od realizowanego przez bank krajowy modelu biznesowego.

Wydarzenia z okresu globalnego kryzysu pokazały, że banki matki mogą stanowić źródło wsparcia dla krajowych podmiotów zależnych nawet w sytuacji, gdy same borykają się ze znaczącymi trudnościami finansowymi. Podmioty dominujące bezpośrednio po kryzysie zwiększyły skalę finansowania polskich banków, a w kolejnych okresach finansowanie to było systematycznie odnawiane. Jednocześnie jednak banki kontrolowane przez zagranicznych udziałowców ograniczyły w tym samym czasie skalę finansowania dostarczanego do polskich przedsiębiorstw, co było szczególnie widoczne na przykładzie kredytów bieżących.

PZU PRZEJMUJE ALIOR BANK Z RĄK GRUPY CARLO TASSARA

Repolonizacja rozpoczęła się od wykupienia przez Grupę PZU Alior Banku od włoskiej grupy Carlo Tassara, stworzonej przez biznesmena Romaina Zaleskiego. Ubezpieczyciel nabył 25,25 proc. akcji Alior Banku za 1,63 mld zł.

Grupa Carlo Tassara była zobowiązana przez Komisję Nadzoru Finansowego do sprzedaży pakietu akcji do połowy 2016 r. O wyjściu Włochów z inwestycji w Polsce prasa spekulowała już w 2011 r., gdy media z Półwyspu Apenińskiego donosiły o kłopotach finansowych Carlo Tassara. Zainteresowanie Alior Bankiem wykazywały fundusze private equity, ale KNF nie pozwoliła na takie rozwiązanie, więc bank przeprowadził emisję akcji na Giełdzie Papierów Wartościowych w Warszawie. Jednocześnie grupa Carlo Tassara nadal planowała sprzedaż udziałów, być może także dlatego, że bank etap najbardziej dynamicznego rozwoju – a więc i wzrostu wartości – miał już za sobą.

Skarb państwa, główny akcjonariusz PZU, w oficjalnym komunikacie poparł przejęcie pakietu akcji Alior Banku (obecnie Grupa PZU ma 32,23 proc. akcji Alior Banku; pozostali udziałowcy to fundusze emerytalne i inwestycyjne, oraz inwestorzy indywidualni). Miał to być początek dalszej konsolidacji sektora, opartej na krajowym kapitale. Kończył się okres importowania kapitału i know-how od zagranicznych banków.

> Część banków należących do zagranicznych właścicieli wypłacała znaczące dywidendy. Teraz zyski wypracowywane przez zrepolonizowane podmioty będą pozostawały w znacznie większym stopniu w rękach krajowych inwestorów

ALIOR BANK PRZEJMUJE CZĘŚĆ BPH

Kolejna odsłona repolonizacji sektora bankowego rozpoczęła się już na początku 2016 r. Wtedy amerykański koncern General Electric zdecydował, że sprzeda większą część Banku BPH dopiero co repolonizowanemu Alior Bankowi.

Wyjście GE z akcjonariatu BPH to pośrednie następstwo kryzysu finansowego z lat 2007–2009. Amerykanie wciąż borykali się z problemami finansowymi i byli zmuszeni do sprzedawania aktywów na różnych rynkach. Poza tym GE – jako koncern przede wszystkim przemysłowy – chciał się skupić na swojej podstawowej działalności. BPH był wystawiony na sprzedaż od kilku lat, jednak potencjalnych kupujących odstraszała wysoka cena, jakiej żądało GE. W końcu Amerykanie zgodzili się na sprzedaż części biznesu – bez portfela kredytów hipotecznych oraz BPH TFI – wartej około 1,5 mld zł. Alior Bank zapłacił 1,23 mld zł.

W ten sposób do Alior Banku do kwietnia 2017 r. trafiło ponad 2,5 mln klientów BPH oraz około 12 mld zł depozytów. Fuzja trwała pięć miesięcy.

GRUPA UNICREDIT ODSPRZEDAJE BANK PEKAO

Pod koniec 2016 r. stało się jasne, że repolonizacja sektora bankowego będzie miała coraz bardziej spektakularny charakter. Przeżywająca problemy finansowe włoska grupa UniCredit postanowiła sprzedać Pekao: drugi największy bank w Polsce, dysponujący ponad 165 mld zł aktywów i przeszło 5 mln klientów.

Nabywcami zostały Grupa PZU oraz Polski Fundusz Rozwoju – państwowa spółka strategiczna, mająca za zadanie wspierać wzrost gospodarczy m.in. poprzez inwestowanie w kluczowe dla naszego kraju branże. UniCredit sprzedało w ramach transakcji 32,8 proc. akcji Pekao, z czego 20 proc. walorów nabyło PZU za 6,5 mld zł, a 12,8 proc. przejął PFR za 4,1 mld zł.

Państwowe podmioty przejęły kontrolę nad Pekao, płacąc 123 zł za akcję. Cena ta była o prawie 10 proc. niższa od wieloletniej średniej ceny akcji banku notowanego na GPW od końca lat 90.

Pekao jest nie tylko drugim pod względem wartości aktywów bankiem w Polsce, lecz także znajduje się w dobrej kondycji biznesowej. „Oczekuje się, że transakcja przyniesie PZU wiele korzyści finansowych, m.in. spowoduje przyrost zysku prowadzący do osiągnięcia 10–11 proc. wzrostu zysku na jedną akcję w latach 2017–2018. Dodatkowy dochód przyczyni

eprasa.pl 4ec64585d0

się do osiągnięcia planowanego przez PZU wskaźnika zwrotu na kapitale [return on equity, ROE – pokazuje, jaki zysk został wypracowany na bazie kapitałów własnych – red.] na poziomie 18 proc. Wysoki wskaźnik ROE dla Banku Pekao przyczyni się do utrzymania aktualnej polityki wypłaty dywidendy w wysokości prawie 100 proc. osiągniętego zysku banku. PFR spodziewa się uzyskania zwrotu z inwestycji w Pekao na poziomie powyżej 10 proc. w stosunku rocznym i zakłada horyzont inwestycyjny wynoszący co najmniej od 3 do 5 lat [oznacza to, że PFR może wyjść z akcjonariatu banku za około 3 do 5 lat od wejścia – red.]" – o czym PZU poinformowało po podpisaniu umowy z UniCredit.

Obecnie PZU posiada 20 proc. udziałów w Pekao, PFR – 12,8 proc., a UniCredit 6,26 proc. Pozostałe akcje są w rękach licznych funduszy inwestycyjnych i emerytalnych oraz inwestorów indywidualnych.



RAZEM MOCNIEJSI

Oczywistym i bezpośrednim skutkiem repolonizacji sektora bankowego jest zdobywanie coraz większej części rynku przez polski kapitał. Co to oznacza dla zrepolonizowanych instytucji i ich klientów?

Po pierwsze, repolonizacja sektora bankowego daje szansę na wykorzystywanie efektów synergii, np. w zakresie dystrybucji produktów i usług finansowych. Chodzi o to, że banki kontrolowane przez skarb państwa i jego spółki mogą wchodzić łatwo w różne formy współpracy. W grupach finansowych kontrolowanych przez skarb państwa jest wiele instytucji finansowych – nie tylko banków, lecz także towarzystw funduszy inwestycyjnych (PZU TFI, Pioneer Pekao TFI, PKO TFI), firm ubezpieczeniowych (PZU, Link4) – które mogą uzyskać nowe możliwości sprzedaży swoich produktów i usług. Szczególnie duże możliwości daje repolonizacja drugiego największego banku na rynku, czyli Pekao.

Po drugie, repolonizacja może umożliwić poprawę bilansu płatniczego Polski. Część banków należących do zagranicznych właścicieli wypłacała znaczące dywidendy, a przodował w tym bank Pekao. Teraz zyski wypracowywane przez zrepolonizowane podmioty będą pozostawały w znacznie większym stopniu w rękach krajowych inwestorów.

Po trzecie wreszcie, krajowym podmiotom może być łatwiej o uzyskiwanie finansowania ze strony zrepolonizowanych banków. I to zarówno w czasach dobrej, jak i złej koniunktury gospodarczej.

> Można liczyć na to, że największe banki z dominującym polskim kapitałem będą wspierać – przy zachowaniu wysokich standardów w zakresie zarządzania ryzykiem kredytowym – działania promujące eksport i innowacje, czyli filary, na których ma się opierać nasz wzrost

WSPARCIE DLA GOSPODARKI

Czy repolonizacja nie przyczyni się jednak do zmniejszania konkurencji na polskim rynku bankowym? Trudno powiedzieć, jednak nie wydaje się, by było to realne zagrożenie. Udział pięciu największych banków w rynku kredytów sześć lat temu nie przekraczał 40 proc., a dziś znajduje się w okolicach 44 proc. – poziom koncentracji kredytów w grupie największych instytucji nie zmienił się więc znacząco. Choć trzeba pamiętać, że m.in. w wyniku globalnych tendencji w ostatnich kilku latach z rynku zniknęło wielu graczy: hiszpańskiemu Santanderowi swoje banki odsprzedały irlandzka grupa AIB (BZ WBK) oraz belgijska KBC (Kredyt Bank); holenderski Rabobank sprzedał BGŻ francuskiej grupie BNP Paribas; Nordea została przejęta przez PKO BP; grecki oddział Eurobanku (Polbank) został wchłonięty przez austriacki Raiffeisen; Allianz odsprzedał nieudany projekt bankowy Getin Noble Bankowi; z rynku zniknął także Meritum Bank przejęty przez Aliora. W grudniu 2017 r. pojawiła się także informacja, że BZ WBK przejmie polską filę Deutsche Banku.

Na repolonizacji sektora bankowego powinna wygrać polska gospodarka. Można liczyć na to, że największe banki z dominującym polskim kapitałem będą wspierać – przy zachowaniu wysokich standardów w zakresie zarządzania ryzykiem kredytowym – działania promujące eksport i innowacje, czyli filary, na których ma się opierać nasz wzrost. Polski kapitał ma podążać za polskimi firmami eksportującymi swoje towary w różne zakątki świata, a branże ważne dla rozwoju naszego przemysłu będą mogły się spodziewać jeszcze silniejszego i stabilniejszego wsparcia polskich banków.

Paweł Sowiński

eprasa.pl 4ec64585d0



Hit tygodnia

Olympus EyeTrek Insight El-10

Niewiele osób pamięta pomysł Google'a na okulary, czyli Google Glass, które zamiast stać się hitem, przeszły już raczej do historii jako ciekawy pomysł, który po prostu się nie przyjął. Nie zmienia to faktu, że inne firmy, jak choćby Olympus, bazując na pomyśle multimedialnych okularów, tworzą własne urządzenia, często do wyspecjalizowanych zadań. Olympus EyeTrek Insight El-10 to specjalna kamerka podpinana do okularów, która może się okazać przydatna w pracy robotników, inżynierów, a nawet biznesmenów. Kamerka rejestruje obraz w rozdzielczości 1992 × 1216 pikseli (zdjęcia) i kręci filmy, ma 1 GB RAM pamięci i 8 GB ROM, mikrofon monofoniczny, port micro USB, Wi-Fi, Bluetooth, akcelerometr, żyroskop, magnetometr. Wyświetlacz OLED pracuje w rozdzielczości 640 × 400 pikseli, bateria działa do 60 min, waży 66 g. Urządzenie tanie nie będzie – 1,5 tys. dol., co może świadczyć, że rzeczywiście jest stworzone z myślą o pracy, nie o rozrywce.

Plusy i minusy

+ ciekawe urządzenie, które może znaleźć dla siebie na rynku całkiem sporą niszę
– zapewne cena, zdecydowanie zbyt wysoka, by przyciągnąć do siebie przeciętnego zwolennika gadżetów

Razer Naga Trinity i Razer Tartarus V2

Razer nie zapomina o graczach, ogłosił właśnie premierę myszki Razer Naga Trinity oraz klawiatury Razer Tartarus V2. Mające wiele opcji personalizacji myszka oraz klawiatura są zdolne dostosować się do wielu gier oraz stylów grania i przeznaczone są szczególnie do gier sieciowych. Razer Naga Trinity to już dziewiąte wcielenie modułowej myszki z trzema wymiennymi panelami bocznymi. Użytkownicy mogą wybrać 12-przyciskowy panel obsługiwany kciukiem lub 7-przyciskowy kołowy panel. Całość dopełnia panel z dwoma głównymi przyciskami myszy w nowym układzie, idealny do używania na co dzień. Podczas używania 12-przyciskowej konfiguracji gracze będą mieli do dyspozycji do 19 programowalnych klawiszy, które mogą dopasować do własnych preferencji. Aby zyskać jeszcze większą kontrolę nad grą, gracze mogą także zaopatrzyć się w Razer Tartarus V2. Nowa ergonomiczna klawiatura gamingowa ma 33 w pełni programowalne klawisze. Myszka i klawiatura są dostępne w RazerStore.com od czwartego kwartału 2017 r.



Polaroid OneStep 2



Nie może zabraknąć czegoś z dziedziny fotografii. I oto mamy dość niesamowity powrót – Polaroid OneStep 2. Jest to nowa odsłona legendarnego modelu OneStep z 1977 r. A wszystko za sprawą Impossible Project (obecnie Polaroid Originals). Aparat jest w pełni analogowy – a trzeba dodać, że rynek aparatów do fotografii natychmiastowej cały czas istnieje i ma się całkiem dobrze (jak na niszę) – co może się okazać niezłym wabikiem dla wszelkiej maści pasjonatów robienia zdjęć sprzętem sprzed rewolucji cyfrowej. Aparat korzysta z papieru typu i-Type lub 600. Czas wywoływania zdjęcia to 10–15 min. Sam aparat zbyt mały nie jest (460 g, wymiary: 150 × 110 × 95 mm), ale taka uroda Polaroidu. Jeśli chodzi o obiektyw, to ma on ogniskową 106 mm, ale biorąc pod uwagę rozmiar zdjęcia – mamy do czynienia z odpowiednikiem 40 mm. Cena też nie wydaje się wygórowana – 599 zł, ale już kasetka z ośmioma listkami papieru to już 79 zł. Czy znajdą się chętni na tę uroczą „staroć"? Zapewne, magia koloru zdjęć jak i ich szybkiego wywoływania wciąż jest żywa.

Przygotował ***Paweł Gadaczek***

eprasa.pl 4e

27/0118/F

Kierunek ORLEN



Masz dużą RODZINĘ?

Z Kartą Dużej Rodziny kieruj się na stację ORLEN
i korzystaj ze specjalnych rabatów:

- **rabat 8 groszy** / 1 litr paliw standard
- **rabat 10 groszy** / 1 litr paliw VERVA
- **20% zniżki** na wszystkie produkty w Stop Cafe i myjnię

Kierunek jest jeden...

ORLEN

eprasa.pl 4ec64585d0



Kubica jak Rocky. Jeszcze wróci

Fot. East News/Zak Mauger



CEZARY KOWALSKI

Robert Kubica mimo heroicznych starań nie zdołał przekonać szefów Williamsa do powierzenia mu posady kierowcy wyścigowego na sezon 2018. Został jednak rezerwowym i pewnie uparty krakus nie spocznie, dopóki nie dopnie celu.

Ostatni raz startował w Formule 1 osiem lat temu. W lutym 2011 r. miał koszmarny wypadek, występując w rajdzie, czego nie powinien był robić (rajdy są drugą pasją Roberta). Omal nie skończyło się amputacją ręki. Przed kontuzją jedyny Polak w F1 był stawiany na równi z Lewisem Hamiltonem i Fernandem Alonso, czyli na najwyższej półce kierowców, którzy mają talent i umiejętności, by walczyć o mistrzowskie tytuły.

Przypomnijmy, że Roberta przymierzano już do ekipy Ferrari w miejsce Felipe'a Massy. Miał dołączyć do swojego przyjaciela Alonso. Obaj mieli walczyć o wskrzeszenie wielkiej marki i jej dominację przez lata. Wiele wskazywało na to, że tak by się właśnie stało. Był w najlepszym wieku, jeszcze młody, a już rutynowany, zaprawiony w bojach i niezwykle odważny.

Upadek był bardzo bolesny, bo nastąpił w momencie, kiedy kariera nabierała decydującego przyspieszenia. Oświadczenie samego zawodnika, że w tamtym stanie nie wyobraża sobie kontynuowania kariery, brzmiało jak definitywne rozstanie się z F1. W mediach pojawiały się zdjęcia zdeformowanej ręki naszego kierowcy, które rozwiewały wszelkie wątpliwości. Wydawało się, że starty w rajdach WRC 2 pozostaną czymś na otarcie łez.

Nadzieje na come back Kubicy do F1 wróciły dopiero w ubiegłym roku, kiedy koncern Renault zdecydował się na pierwszy test, a później na wyniki, które osiągał. Eksperci się zastanawiali, ile tego dawnego Kubicy drzemie w obecnym kierowcy, który ma trwałe ograniczenia ruchowe po wypadku.

Robert potrafił jednak niwelować te ograniczenia do tego stopnia, że poważnie się zastanawiano nad jego powrotem. Świadczy to też oczywiście o skali jego talentu. Jego umiejętności współpracy z inżynierami, wiedza na temat nowoczesnych technologii zawsze zwracały na niego uwagę. Nadal jednak zadawano pytanie, czy potrafi nawiązać walkę z najlepszymi. Bo przecież od 2010 r. minął szmat czasu.

Mówi się, że zadecydowały pieniądze Rosjanina Siergieja Sirotkina (bank SMP, którego właścicielem jest dobry znajomy Władimira Putina), na którego ostatecznie postawił Williams jako kierowcę numer jeden. I pewnie jest w tym sporo racji. Choć dla zespołu pieniądze są oczywiście ważne, to czynnikiem nadrzędnym wydaje się postawienie na zawodnika, który pozwoli zagwarantować sukcesy w trakcie sezonu. Czy młody Rosjanin sprosta tym wyzwaniom?

Obecna sytuacja nie jest więc wcale dla Roberta końcem marzeń. Przeciwnie. Ma rok, aby startując w treningach piątkowych przed Grand Prix, rozwijając samochód w Williamsie, jeżdżąc w symulatorze czy podczas testów, udowodnić, że jest w stanie jeździć szybko. Bo przegrał w dużej mierze poprzez wyniki, które osiągał w ostatnim teście w Abu Zabi. Sam przyznał, że jeszcze nie czuje tych opon, na których jeździ się obecnie w Formule 1.

Pamiętajmy też, że F1 to nie tylko testowanie nowoczesnych technologii, lecz również globalny show. Romantyczna historia sportowca, który po takim koszmarze wraca po latach na szczyt i jest w stanie pokonać swoje ograniczenia, byłaby bezcenna. To niemal jak hollywoodzka opowieść o Rockym, który kolejny raz wraca na ring.

Przypomina się rok 2006. Robert był wtedy trzecim kierowcą BMW Sauber, ale w połowie sezonu zajął pozycję numer jeden. Dlaczego nie miałoby się wydarzyć coś podobnego teraz? Owszem, za kierowcami, którzy go wyprzedzają w zespole, stoją wielkie pieniądze sponsorów, ale jeśli zawodnicy nie odniosą sukcesów, litości nie będzie. A wtedy za kierownicą może usiąść Kubica.

8/1217/F

eprasa.pl 4ec64585d0



Sponsorzy Polskiej Reprezentacji Olimpijskiej

PYEONGCHANG2018

Sponsor Strategiczny

Sponsor Generalny

Sponsor

Sponsor Kolekcji Olimpijskiej

Główny Partner Medyczny

Oficjalny Przewoźnik

Partnerzy PKOl

Partnerzy Medialni PKOl

eprasa.pl 4ec64585d0



Sukces ORLEN Team w jubileuszowej edycji Dakaru

Sukces to właściwe słowo na określenie wyniku sportowego i postawy Kuby Przygońskiego z ORLEN Team podczas jubileuszowego, 40. Rajdu Dakar

Zawody organizowane po raz dziesiąty w Ameryce Południowej były w zgodnej opinii uczestników najtrudniejsze od czasu przeniesienia ich z piasków Afryki. Równa jazda i przemyślana strategia Przygońskiego wspieranego przez pilota Toma Colsoula przyniosła mu piąte miejsce w kategorii samochodów – najwyższe w dotychczasowej historii jego startów. Motocyklista ORLEN Team Maciej Giemza zajął 24. miejsce w swojej klasie, co jak na debiutanta jest świetnym wynikiem i bardzo dobrym prognostykiem na przyszłość.

O tym, że nie było lekko, niech świadczy jedna liczba: spośród 335 załóg, które wystartowały w peruwiańskiej Limie, jedynie 190 zameldowało się na mecie w argentyńskiej Cordobie. Właśnie dlatego kibice kochają Dakar: to coś więcej niż zwykły rajd, to wyzwanie wymagające pokonania wszystkich swoich ograniczeń. Dwa tygodnie ekstremalnego wysiłku w piekielnie trudnych warunkach przyciąga największych śmiałków z całego świata, a ukończenie rajdu jest osiągnięciem samym w sobie. Dziewięć tysięcy kilometrów wiodło tym razem przez najtrudniejsze tereny Peru, Boliwii i Argentyny, na których na zawodników czekały niezliczone trudności.

50/117/F

eprasa.pl 4ec64585d0





W kategorii samochodów po raz trzeci z rzędu na najwyższym stopniu podium stanął reprezentant teamu Peugeota: po Stephanie Peterhanselu triumfującym w 2016 i 2017 r. tym razem po koronę sięgnął popularny „El Matador", czyli Carlos Sainz. Drugie i trzecie miejsca w klasyfikacji generalnej zajęli kierowcy Toyoty: Katarczyk Nasser al-Attiyah oraz Giniel de Villiers z RPA, który smak triumfu w Dakarze poznał już w 2009 r.

Piąte miejsce Polaka to także najlepszy rezultat spośród wszystkich kierowców jadących Mini. Warto podkreślić, że Przygoński poprawił również swoją najlepszą lokatę uzyskaną podczas jego wszystkich startów w Dakarze – podczas edycji 2014 zajął szóste miejsce, jadąc na motocyklu. Przygoński tak komentował swój wynik: „Jesteśmy strasznie zmęczeni, ale szczęśliwi i zadowoleni z wyniku. Mieliśmy naprawdę dużo przygód przez ostatnie dwa tygodnie: od uszkodzonych kół, przez chorobę Toma, po zakopane Mini. Udało się wyjść ze wszystkich opresji, dopisało trochę szczęścia i kończymy rajd na piątym miejscu! Bardzo dziękuję za świetną współpracę Tomowi, bez którego nie byłoby tego wyniku. Dziękuję również wszystkim, którzy nas wspierali i nam kibicowali. To nie jest nasze ostatnie słowo na Dakarze!".

Wśród motocyklistów najszybszy był Austriak Matthias Walkner, który przed rokiem uległ jedynie Brytyjczykowi Samowi Sunderlandowi. Tym razem Sunderland nie miał szczęścia: pod koniec czwartego etapu miał groźny wypadek. Po przewiezieniu helikopterem do szpitala okazało się, że Anglik doznał urazu kręgosłupa. Pod jego nieobecność dobrze poradził sobie Kevin Benavides z Argentyny, który stracił do Walknera niewiele ponad kwadrans, oraz Australijczyk Toby Price, który święcił triumf przed dwoma laty. Młody wychowanek Akademii ORLEN Team 22-letni Maciej Giemza zajął znakomite 24. miejsce w debiucie, które tak skomentował: „Z jednej strony, jestem strasznie zmęczony, a mój organizm wyniszczony tysiącami kilometrów, a z drugiej szczęśliwy, że udało się dojechać, i to z bardzo satysfakcjonującym wynikiem. Bardzo dużo się nauczyłem przez ostatnie dwa tygodnie i mam nadzieję, że te doświadczenia zaprocentują w nadchodzącym sezonie i w kolejnym rajdzie Dakar".

Nie mniej zadowolony był mentor Maćka, weteran dakarowych zmagań Jacek Czachor, który wraz z Markiem Dąbrowskim przygotowywał Giemzę do startu: „Muszę go pochwalić za organizację, świetną współpracę, równą jazdę na wszystkich etapach oraz za to, że nie podejmował niepotrzebnego ryzyka. Celem było ukończenie rajdu i udało się to zrealizować. W nadchodzącym sezonie będziemy pracować nad szybkością tak, żeby w kolejnej edycji był w stanie na stałe zagościć w pierwszej dwudziestce".

Na dalszych miejscach metę osiągnęli inni Polacy – Paweł Stasiaczek i Maciej Berdysz zajęli miejsca w szóstej dziesiątce.

Dakar wciąż się rozwija, czego dowodem jest rozgrywana po raz drugi rywalizacja w kategorii pojazdów UTV, czyli lekkich i stosunkowo tanich maszyn, które mogą się okazać przyszłością rajdu. Terenowe pojazdy użytkowe to świetna alternatywa dla quadów, a dzięki specjalnej konstrukcji są wręcz stworzone do jazdy po ekstremalnie trudnym terenie. Organizatorzy Dakaru wierzą, że ta kategoria będzie przyciągać coraz większą liczbę uczestników.

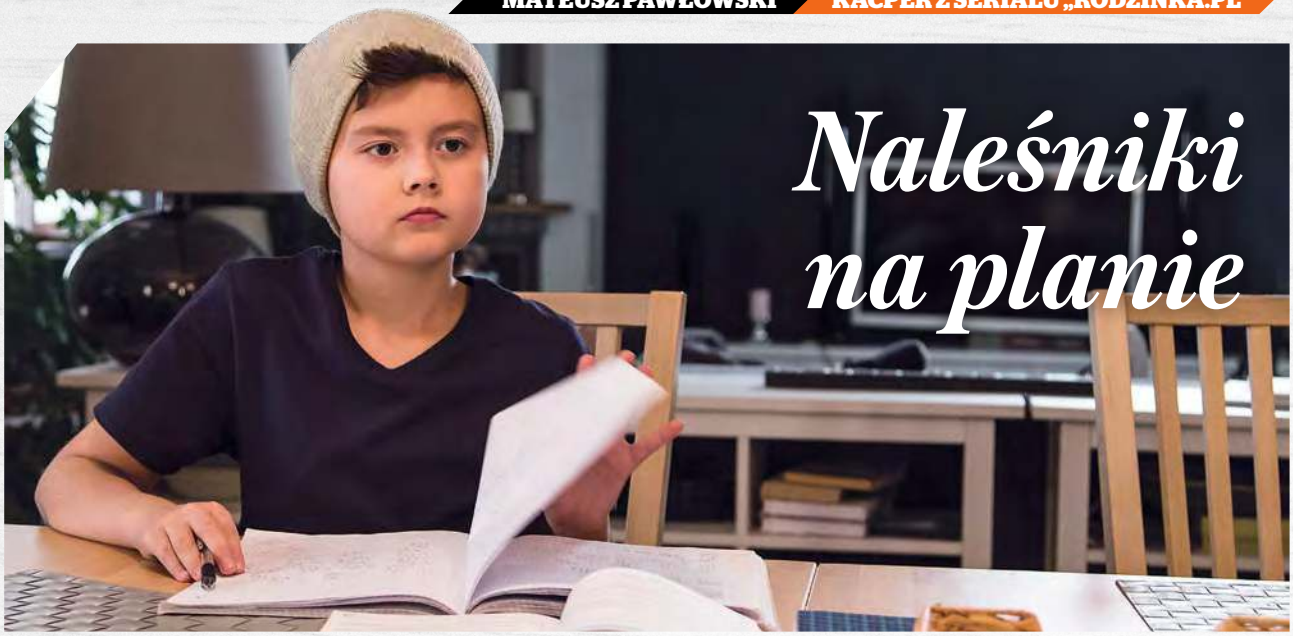
Dakar 2018 przeszedł już do historii. Załoga ORLEN Team osiągnęła świetne rezultaty i zasłużyła na gratulacje. Oczywiście nie zmienia to faktu, że za rok kibice liczą na jeszcze więcej!

Michał Muzyczuk



MATEUSZ PAWŁOWSKI KACPER Z SERIALU „RODZINKA.PL”

Naleśniki na planie



Fot. Maria Wyrzykus

Dzień dobry. Jestem Mateusz Pawłowski. W serialu „Rodzinka.pl” Kacper Boski. Mam trzynaście lat. I trochę już w kuchni zrobić potrafię. I na planie, i w domu. Ostatnio w serialu mieliśmy scenę z robieniem jajecznicy. To znaczy, Kacper ją robił. A potem przyszli jego bracia – bo dobrze pachniała – i chcieli trochę dostać. Kacper nie za bardzo miał na to ochotę, i słusznie, bo gdy w końcu się zgodził, to wszystko mu zjedli.

To nie była pierwsza jajecznica, jaką usmażyłem. W domu też najpierw biorę kawałek masła i robię tak, żeby było na całej patelni, bo jak nie będzie rozpuszczone na całości, to w miejscach, w których go zabraknie, jajecznica się przyklei. Potem wbijam jajka. Ile? To zależy, czy poprzedniego dnia np. nie jadłem kolacji. Jak jadłem, to biorę dwa, a nawet jedno – jeśli bardzo się spieszę. Ale mogą też być trzy, jeśli poprzedniego dnia dużo biegałem albo byłem w parku linowym. Wbijam jajka na rozgrzaną patelnię i mieszam. Czasem dodaję szczypiorek, a wcześniej np. szyneczkę. Na co mam ochotę.

W serialu nauczyłem się robić naleśniki. Ciasto nawet mi dobrze wyszło, bo nie zawsze tak jest: czasem robi się za gęste albo, jeśli jest za dużo wody, wychodzi „ciapciate”. Tylko miałem kłopot z przekładaniem. A naleśniki – racuchy także – najlepsze są z cukrem pudrem. Albo z kremem czekoladowym.

Moja serialowa mama Natalia (którą gra Małgorzata Kożuchowska) tak naprawdę nie gotuje na planie. Jest za dużo dubli. Co kilka musiałaby np. smażyć nowego indyka, bo ten pierwszy by się spalił. Każdy z członków ekipy ma również określony czas na nakręcenie scen i nie zawsze robi się je po kolei. Czyli kiedy indyk pojawił się na stole, to był przygotowany wcześniej, ale był dobry. Próbowaliśmy.

Notowała: ***Jolanta*** *Gajda-Zadworna*

Ulubione leniwe Kacpra, na szybko

(przepis pochodzi z książki „Gotuj z Rodzinką.pl”)

Składniki: 500 g białego sera, 2 jajka, ok. 1 szklanki mąki pszennej, 2 łyżki mąki ziemniaczanej, szczypta soli, 1/2 kostki masła, 5 łyżek bułki tartej.

Wykonanie: Ser rozgniatamy praską, aby nie było grudek (ewentualnie mielimy w maszynce). Mąkę pszenną przesiewamy przez sitko na stolnicę. Dodajemy rozgnieciony ser, mąkę ziemniaczaną, szczyptę soli i dwa jajka. Zagniatamy składniki na jednolite ciasto. Dzielimy na części i formujemy wałki blisko 2 cm średnicy. Wałki lekko spłaszczamy i tniemy pod kątem w kostki. W garnku gotujemy wodę z odrobiną soli. Wrzucamy kluski na wrzątek i po wypłynięciu gotujemy jakieś 2 min. Następnie odcedzamy i przekładamy na talerz. Na patelni rozgrzewamy masło i dodajemy bułkę tartą. Mieszamy i posypujemy kluski na talerzu.

Boska rada: Aby bułka nie wchłaniała zbyt dużo tłuszczu, zrumieniamy ją najpierw na suchej patelni, a następnie dodajemy masło i rozpuszczamy je, ciągle mieszając.



eprasa.pl 4ec64585d0



W różowych okularach

ANNA MONICKA

Dlaczego warto jeść pieprz? Bo podkręca smaki, poprawia trawienie, a także – co ciekawe – humor. Choćby dlatego, że łagodzi bóle stawów i mięśni.

Znamy różne pieprze: czarny, biały i zielony. Każdy pasuje do czegoś innego, bo smaków mają wiele. Ale mój ulubieniec – czerwony, zwany też różowym – dodasz nawet do czekolady, lodów czy perfum. Bo jest ostry i zarazem słodki, lekko korzenny, lecz goryczka jest przyjemna dla języka.

Gdy mam czarny humor, noszę mój pieprz w kieszeni i od czasu do czasu zjadam po ziarenku jak tik-taki. Niemal od razu się czuję, jakbym założyła różowe okulary. To bardzo ciekawe doświadczenie.

Jak jeszcze jeść tę niezwykłą przyprawę? Jest idealna do wszelkich past kanapkowych podawanych na śniadanie, począwszy od twarożków, przez mielone jajka czy siekane pomidory. Jej subtelny, lekko malinowy aromat ożywia klasyczne smaki. Jeśli dosypiecie odrobinę do musli czy domowych płatków śniadaniowych, poranny posiłek będzie nie tylko bardziej rozgrzewał, lecz i przy okazji lekko odchudzał, bo wszystkie pieprze, nawet różowy, poprawiają termogenezę.

W zupie czerwony pieprz czuje się jak ryba w wodzie. Jeśli chcesz tchnąć nowego ducha w rosół, krupnik czy pomidorową, weź kilka ziarenek (góra 10, bo choć różowy, to jednak ma moc). Jest przyprawą, która wybitnie lubi się z delikatnymi drobiowymi mięsami – ucieramy go w moździerzu i posypujemy nim w czasie duszenia.

Co dalej? Śledź – i taki na słodko, pod jabłkowo-selerową pierzynką, i marynowany z cebulką czy polewany utartymi z cukrem borówkami. Sałaty – jak najbardziej, zwłaszcza podawane z cytrusowymi sosami i owocami: brzoskwinią, ananasem czy mango. Zresztą same surowe owoce też będą miały bardziej wyrazisty smak, jeśli skropimy je sosem z czerwonego pieprzu (lub kajeńskiego) z cytryną i syropem klonowym.

Gdy zacznie się czas smażenia konfitur czy dżemów, także nie zapominajcie o pieprzu. Pasuje do malin, śliwek, wiśni i czereśni – zyskują lekko pikantny żywiczno-ziołowy głęboki smak, podobnie jak porzeczki.

Warto spróbować, bo to bardzo zdrowa przyprawa.



Spis omyłek

Fot. Shutterstock (x2)

ROBERT MAZUREK

Rozumiem, że czasem trudno odróżnić mosiądz od złota, a prawdziwego Kaczora od Kazimierza Kaczora, bywa. Z winami jest jeszcze trudniej, bo liczba zasadzek, na jakie wpadają także PT Czytelnicy, jest spora. A że niektóre się w pytaniach powtarzają, to proszę, kilka odpowiedzi.

Montepulciano – do rozwikłania tej zagadki przydałaby się polszczyzna, która nazwy miast każe pisać wielką, a szczepy winogron małą literą. Niestety Włosi tego nie znają. Wyjaśnijmy więc tę częstą omyłkę. Otóż Vino Nobile di Montepulciano to szlachetne (nie tylko z nazwy) wino z toskańskiego miasteczka Montepulciano wytworzone głównie z sangiovese (ten sam szczep, który daje chianti). Z kolei Montepulciano d'Abruzzo to wino ze szczepu montepulciano z Abruzji, uznawane za mniej szlachetne, co nie znaczy gorsze, ale rzadko starzone w beczkach.

Tokaj – ten sam przypadek, bo mieliśmy i słynne węgierskie wino, głównie z furmintu, z okolic Tokaju, i szczep z północnych Włoch, tocai friulano. Teraz Unia Europejska uznała, że nazwy mogą używać tylko Węgrzy i basta. A Radikon z Friuli pisze na etykiecie Jakot, bo kto mu zabroni czytać od tyłu.

Wino pomarańczowe – piszę tu o nich często, ale zawsze warto podkreślić, że nie jest to – Boże, broń – wino z pomarańczy, ale z białych winogron, które w wyniku długiej maceracji nabierają zdecydowanego, pomarańczowego koloru. Gruzini mówią na to wino bursztynowe i też nie mają na myśli nalewki z bursztynu.

Sherry – wzmacniane wino z Andaluzji przez pamiętających jeszcze peerelowskie sklepy monopolowe mylone czasem z tanią i koszmarną nalewką wiśniową cherry. Pierwsze pić trzeba, od drugiego uciekać.

Portugieser – nic bardziej mylnego niż nazwa! To czerwone, nie tyle austriackie, ile habsburskie wino nie ma nic wspólnego ani z porto, ani z Portugalią w ogóle. Uprawiane jest głównie w dawnych Austro-Węgrzech i Niemczech, daje często świeże, proste, owocowe wina.

robert.mazurek@hotmail.com, @wina_Mazurka

eprasa.pl 4ec64585d0

Normalna epoka

PIOTR SKWIECIŃSKI

Mój dawny kolega ze studiów Maciej Janowski, dziś już od dawna profesor, napisał w historycznym dodatku do „Wyborczej" felieton poświęcony imigracji. Którą, dodajmy, Maciej ceni, jak zresztą cenił zawsze. Pamiętam te dyskusje o tym, czy multietniczny – bo już wtedy, na początku lat 80. był multietniczny – Londyn jest czymś lepszym, czy gorszym od XIX-wiecznego...

Clou tego tekstu zawiera się w tezie: „Nie żyjemy w okresie jakiejś bezprecedensowej inwazji obcych kultur na Europę, ale w normalnej, przeciętnej epoce ucierania się najrozmaitszych wpływów kulturowych". Dlaczego według Macieja Janowskiego jest ona normalna i przeciętna? Bo zawsze istniała etniczna i kulturowa różnorodność. I zawsze trwały migracje. Pod tym ostatnim względem Maciej ma bezdyskusyjnie rację. Gorzej z tą normalnością i przeciętnością.

Dlaczego? Przede wszystkim dlatego, że ten sam proces chemiczny zaczyna prowadzić do dramatycznie odmiennych rezultatów, gdy zmienimy nieco skład uczestniczących w nim substancji. Choć mniej uważny obserwator może nadal, do pewnego momentu, uważać, że nie dzieje się nic nowego.

A skład uczestniczących w procesie migracyjnym substancji zdecydowanie się zmienił. I to po obu stronach. Ta przyjmująca, większościowa (czyli zachodnia) zatraciła cechę twardości i zdecydowania, która niegdyś wzbudzała wśród przybyszy respekt na zupełnie podstawowym poziomie. I wymuszała na nich szacunek wobec gospodarzy. Dziś jest on – nie zawsze, nie wszędzie i powoli, ale na tyle powszechnie, że można mówić o prawidłowości – zastępowany lekceważeniem.

I to prowadzi do skutków odmiennych niż te, do których prowadziła imigracja niegdyś. Tym bardziej że zmienia się również skład drugiej reagującej substancji. To znaczy zmieniła się też, utwardziła tożsamość przybyszy z krajów muzułmańskich (bo o nich przecież chodzi). Ich doktryna religijna była zawsze taka sama, ale sposób jej przeżywania, dominująca interpretacja – były inne niż dziś. W dodatku przez kilkadziesiąt lat Arabowie (znów: chodzi tu przede wszystkim o nich; inni wyznawcy islamu nie są nawet w przybliżeniu źródłem tak potężnych problemów) przeszli przez szkołę tworzenia się narodów, bo w sensie historycznym jeszcze stosunkowo niedawno byli na etapie, na którym ich tożsamość określały raczej religia i plemienność. I choć teraz, na fali islamizmu, wracają chyba do odnajdywania się bardziej w światowej wspólnocie panmuzułmańskiej, to przejście przez szkołę narodową nauczyło ich większej niż kiedyś niechęci wobec obcych. Tym bardziej że przeszli też przez jeszcze inną szkołę – konfliktu z Izraelem. To też budowało i buduje ich tożsamość, i to na fundamencie konfrontacji. Konfrontacji z krajem i narodem uważanymi przez Arabów za forpocztę oraz integralną część Zachodu.

Nie, Maćku. Nie sposób powiedzieć, żeby nasza epoka była pod względem imigracji „normalna i przeciętna".

Maciej Janowski przypomina niemieckich czy flamandzkich średniowiecznych osadników, niemieckich tkaczy w XIX-wiecznej Łodzi, wołoskich pasterzy w XVI w. ściąganych przez polskich ziemian w Beskidy, by skonkludować: „Widzimy, że odrębność kulturowa w takiej sytuacji jest właśnie tym argumentem, który najsilniej przemawia na rzecz nowych przybyszy. Oznacza ona bowiem, że mają oni – dzięki owej odrębności kulturowej – coś, co dzisiaj określa się jako know-how: pewne kompetencje rolnicze, hodowlane, produkcyjne czy wojskowe, a czasem prawno-instytucjonalne (samorząd miejski i wiejski, znany u nas jako prawo niemieckie), które mogą się istotnie przyczynić do rozwoju kraju".

Niby racja. Tylko... jakie niby unikalne kompetencje (prócz, rzecz jasna, samej odmienności, co dla niektórych jest argumentem samym w sobie) mają obecni muzułmańscy migranci? W czym niby przerastają rdzenną ludność? Czego niby mogą ją, Maćku, nauczyć?

„To ucieranie się niesie ze sobą zarówno szanse, jak i niebezpieczeństwa, ale w moim najgłębszym przekonaniu zbyt usilne dążenie do zachowania homogeniczności kulturowej państwa jest o wiele bardziej niebezpieczne niż wszelkie zagrożenia wywołane imigracją" – pisze Janowski. Dlaczego? Najważniejszy argument z punktu widzenia Macieja brzmi tak: „Represje wobec mniejszości mogą być preludium do wprowadzenia autorytaryzmu"... I chyba jesteśmy w domu.

Licznych zwolenników imigracji utwierdza w ich poglądach przede wszystkim niechęć wobec przeciwników tejże. Więcej – kulturowa wobec nich odraza. I strach przed nimi.

Zadałbym jednak nieśmiało pytanie: czy nie widzicie, iż poddawanie się imigranckim falom, wręcz kibicowanie im na złość mamie, to jest, przepraszam, ciemnogrodowi, nie zmniejsza, tylko zwiększa prawdopodobieństwo, że w końcu nastąpi to, czego się boicie? Że w końcu nastąpi reakcja już niekontrolowana? Wierzgnięcie? I że rzeczywiście władzę, może nawet faktycznie autorytarną, kto wie, obejmą postaci i ugrupowania tak mające się do tych, których teraz się boicie, jak progresywny rosyjski liberał z XIX w. do czekisty?

Nie potraficie sobie tego wyobrazić?



Naprawdę nie boicie się wierzgnięcia?

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 4ec64585d0

LOKAL DLA AWANTURNYCH

Pod batutą TVN

Nie od dziś wiadomo, że lewicowcy, gdy chcą komuś zamknąć usta, ciskają weń epitetem „faszysta". Cel jest taki, by obarczony takim epitetem człek ze strachu się spocił i profilaktycznie zamilknął, no bo nigdy nie wiadomo, co z takiego obarczenia „faszyzmem" może wyniknąć.



Witold Gadowski

Pan Bertold Kittel (szerzej znany jako oszczerca Romualda Szeremietiewa) przygotował materiał o „strasznych faszystach z ruchu narodowego", a tieliewidienije TVN natychmiast nagrzało tę dziennikarską wprawkę do granic absurdu. Tłumaczył się (właściwie nie wiem po co ani dlaczego) nawet premier Mateusz Morawiecki. Kilkunastu idiotów hajluje, oszczerca Kittel filmuje i już mamy temat, którym żyje polski medialny grajdół. To tyleż żenujące, ile po prostu głupie. Tefauenowska propaganda ciągle potrafi ludziom wmówić idiotyzmy, byleby tylko osłonić swoich mocodawców i napędzić interesy czerwonej burżuazji. W myśl tefauenowskiej logiki każdy, kto nie podziela poglądów Kolendy-Zaleskiej czy Olejnik, już jest podejrzany.

Teraz wybryki kilkunastu przygłupów są już kolportowane w całej Europie. Zaczyna się mówić o „ekscesach neonazistów w Polsce". Głos zabrał, znów zbyt pochopnie, nawet prezydent Andrzej Duda. Wszyscy zajmują się propagandowym materiałem sprokurowanym przez człowieka, który spotwarzył Szeremietiewa i nie miał odwagi wybąkać nawet słowa „przepraszam".

Nikt rozsądny nie będzie się utożsamiał z durniami gloryfikującymi Hitlera, ale taki eksces nie może urastać do rangi wizerunku tego, co się dzieje w Polsce, a przecież po to TVN ten materiał nagłośnił. Prowokacja stacji nie zasługuje na nic więcej, jak tylko szybkie ukaranie prohitlerowskich wariatów, i tyle. Codziennie dzieją się w Polsce zdarzenia o wiele większej rangi, nie dajmy zatem narzucić sobie opowieści czerwonej telewizji, której zależy, aby takie opluskwienie rozlało się jak najszerzej.

Komu jak komu, ale to przecież założycielom TVN – jako postkomuchom – bliżej jest do hitlerowskiej wersji socjalizmu niż np. Jarosławowi Kaczyńskiemu. Każdy lewak ma bliżej do hakenkreuza niż konserwatysta. Te oczywistości trzeba przypominać, aby neomarksistowska maszynka do przerabiania umysłów nie pomieszała naszym rodakom zmysłów.

W Niemczech oficjalnie działa neonazistowska partia NPD, ale to Polsce dziś zarzuca się „ożywienie faszystowskich nastrojów".

Zastanawia mnie tylko, dlaczego obecni luminarze dobrej zmiany tak ochotnie tańczą pod batutą telewizji towarzysza Mariusza Waltera.

Popkultura

Tzw. dobra zmiana wciąż szerokim łukiem omija polską popkulturę. Prawo i Sprawiedliwość, radzące sobie świetnie i w gospodarce, i w obronności, wciąż nie docenia siły promowania polskości drzemiącej w piosence czy teledysku. Tymczasem pół wieku komunizmu nie wyrządziło w mentalności Polaków takiego spustoszenia jak osiem lat rządów PO-PSL.



Lech Makowiecki

PZPR – wzorem towarzyszy radzieckich – próbowała ręcznie sterować gustami i światopoglądem Polaków. Większość z nas pamięta wszechobecną w prasie, radiu i telewizji cenzurę. I te festiwale sformatowane na polsko-radziecką przyjaźń. Jeśli patriotyzm – to tylko antyniemiecki, pobrzmiewający w balladzie z „Czterech pancernych". O Katyniu, Wołyniu czy Wyklętych – głucha cisza. Na szczęście nawet metoda kija i marchewki stosowana wobec twórców nie pomogła w skutecznej indoktrynacji narodu. W radiu pobrzmiewały rosyjskie stylizacje, a i tak cała Polska słuchała Pietrzaka, Kaczmarskiego czy Kelusa...

To, czego nie udało się zrealizować komunistom, zaszczepiła Polakom postkomuna i zblatowani z nią liberałowie. Tuskowe hasło „Polskość to nienormalność" było zielonym światłem dla totalnej demoralizacji i obsceny w sztuce – przy jednoczesnym blokowaniu (wyszydzaniu) bogoojczyźnianych treści. Patriotyzm stał się passé. Twórcę, który ośmieli się promować tradycyjne wartości, spotyka dziś ostracyzm lewackiego mainstreamu. Dlatego większość celebrytów i gwiazdek popkultury omija polskość szerokim łukiem, a niektórzy wręcz nieźle żyją z opluwania naszego „ciemnogrodu".

Konsekwencje łatwo przewidzieć: nikt nie będzie chciał bronić „obciachowej" Polski przed kolonizacją, dżihadem czy zielonymi ludzikami. Gdy większość polskich gwiazd stała się wyniosłymi Europejczykami, trud odbudowy polskiej dumy w pieśni podjęli się m.in. zepchnięci do internetu „bardowie wyklęci" i patriotyczny hip-hop. Czy w roku jubileuszu Niepodległej dostaną swą szansę na FPP Opole 2018?

eprasa.pl 4ec64585d0

PRZEZ ŚWIETLIK

Kanał obowiązkowy

W trwającym wciąż ogólnoświatowym boju z neonazistowskimi czcicielami płonących batoników umknęło kilka wydarzeń i wypowiedzi nader istotnych i pasjonujących, a także ważnych dla wspólnoty. Dlatego pragnę z tego miejsca podziękować macierzystej redakcji programu „W tyle wizji" za wyłapanie jednej z najważniejszych recenzji książkowych XXI w. Słowa to ważne, bo i wypowiedziane przez faceta, przy którego mądrości i wszechstronności, a także dostojnym głosie, doświadczenia tysiącletniego biblijnego Matuzalema są jak gaworzenie noworodka. Domyślniejsi już chyba wiedzą, że chodzi o samego pana Jacka Żakowskiego, który w swoim kochanym Tok FM powiedział, że, uwaga, uwaga: „»W pustyni i w puszczy« to książka rasistowska i źle napisana". Odważnie, ale skoro to pan Jacek orzekł, Sienkiewicz idzie do śmietnika.

Literatury ojczystej – tej powstałej przed Jackiem Żakowskim – można by uczyć tylko jako lektur „błędów i wypaczeń"

Co prawda grafomański pisarz dostał za „Quo vadis" Nobla. Co prawda w Polsce w „Pustyni..." zaczytywało się sześć pokoleń, a książkę przetłumaczono na 25 języków. Ale szczęśliwie Żakowski, jak to się mówi na YouTubie, Sienkiewicza „zaorał". Teraz czas na grafomankę Orzeszkową, dziada Żeromskiego, świra Prusa. Wszyscy do kosza, przemielić, spalić, zakazać, audiobooki i taśmy filmowe poniszczyć, pliki pokasować. Po co nam to całe dziadostwo. Wystarczy nam Jacek Żakowski i paru jego równie utalentowanych znajomych.

Myślę, że wszystko to światła wskazówka dla minister edukacji, a może i trochę roboty dla podopiecznych ministra Gowina. Literatury ojczystej – tej powstałej przed Jackiem Żakowskim – można by uczyć tylko jako lektur „błędów i wypaczeń". W tym celu należałoby skończyć z archaicznym podziałem na okresy historyczne w literaturze, wszystkie te romantyzmy i pozytywizmy zastąpić bardziej współczesnym podziałem uzależnionym od rodzaju przewinień, które popełnił nieżyjący pisarz.



Po pierwsze, należałoby wyróżnić lektury rasistowskie, trafia do nich siłą autorytetu Henryk Sienkiewicz. Władysław Reymont za opis przedwojennej Łodzi i nieuwzględnienie moralnej niższości narodowości polskiej wobec narodowości niemieckiej i żydowskiej zostaje już raczej zakwalifikowany jako nazista. Nazistką jest także Zofia Kossak-Szczucka oraz sporo od niej wcześniejszy Piotr Skarga, a także, a fe, ksiądz Staszic. Takich jak on, tych, którzy swoje słowa przelewali na papier przed dniem narodzin Romana Dmowskiego, czyli – jak wiadomo – datą narodzin światowego nazizmu, można określać jako protonazistów.

Nieco starsza od nazizmu, choć jemu pokrewna, jest literatura klerykalna i reakcyjna, datująca się od Galla Anonima, Wincentego Kadłubka, a nawet niby to tolerancyjnego, ale klechy, Pawła Włodkowica. W XVII w. mamy do czynienia z pamiętnikarską erupcją zaścianka i nacjonalizmu, tych wszystkich pasów słuckich, sarmatyzmów i nienawiści wobec przybyszów ze Szwecji, Moskwy, Istambułu czy też Moskwy. Ten nacjonalizm apogeum osiągnie w wieku XIX wraz z tzw. romantyzmem. Niemal cała literatura pozytywistyczna będzie z kolei raziła seksizmem. Podział ról i „szlachcianki" zdegenerowane do przepełnionych bogoojczyźnianym bełkotem kur domowych. Nawet emancypantka Brzeska z Prusa, choć przez chwilę postępowa, kończy w klasztorze, co i ją, i pisarza, umiejscawia w odmętach reakcji i kleru.

Do tak opracowanego zestawu literatury zakazanej mieliby oczywiście dostęp nie wszyscy, tylko wybrani funkcjonariusze znający ją z bryków i omówień, by im nie zaszkodziła. Co zamiast tego będzie w bibliotekach, lekturach, księgarniach? „Koniec", „Nauczka" i inne tytuły. Z Wikipedii wynika, że Jacek Żakowski całkiem sporo tego napisał. Zamiast kanonu obowiązkowego będzie kanał obowiązkowy.

Wiktor Świetlik
Autor jest dyrektorem Programu 3 Polskiego Radia

eprasa.pl 4ec64585d0

Czkawka z PRL



Aleksander Nalaskowski

Niedawno rozmawiałem z młodym fizykiem. Piekielnie zdolny, wykształcony również w zagranicznych uniwersytetach i ośrodkach badawczych, specjalista od tego, czego dostrzec gołym okiem nie można. Ma trzydzieści dziewięć lat, habilitację i międzynarodowe kontakty. Pytałem, jak się odnosi do tajnych współpracowników SB, a niegdyś jego nauczycieli akademickich. I tu przyszło zdziwienie. Porządny człowiek, ze znakomitej rodziny z tradycjami, katolik, oczytany humanista... nie miał zdania. Powiedział, że owszem współpracowali z bezpieką, że to było złe, ale mogli dzięki temu wyjeżdżać na Zachód i przywozić najciekawsze materiały, a niekiedy sprzęty, przed którymi Polska była szczelnie zamknięta. „No, ale donosili na kolegów, na opozycyjnych działaczy wśród uczonych" – ciągnąłem. „No tak, donosili, ale potem wszyscy (także ofiary) miały z tego korzyść" – odpowiadał.

Nie umiem pojąć, jak człowiek, z którym widuję się m.in. na Marszu rtm. Pileckiego, może być tak niejednoznaczny, tak rozmiękczony w sprawach pryncypialnych, daleko ważniejszych niż odkrycia fizyczne. Przecież w stanie wojennym i PRL w ogóle raz po raz wpadały drukarnie, schowki z publikacjami opozycyjnymi, zatrzymywano ludzi, często ich bito, zastraszano, poniżano, szykanowano, a nawet porywano. Postmodernistyczna ambiwalencja, że nic nie jest do końca dobre i nic nie jest do końca złe, płynna rzeczywistość, w której wszystko się zmienia i poglądy, oceny etyczne też, teraz dopadła młodych jak swoich.

Przecież pamiętam swoją młodzieńczą odwagę, a byłem tylko niewielkim opozycyjnym pioneczkiem, trybikiem nieznacznym, pamiętam, jak strasznie się bałem być odważny, jak powstrzymywałem łzy, gdy ubek zaczął coś mówić o mojej brzemiennej małżonce i małym synku, jak robiło mi się słabo ze strachu, gdy wymamrotałem „Niczego nie podpiszę", jak straszyli, że wywiozą mnie do jakiegoś milicyjnego aresztu na prowincji i tam o mnie „zapomną" na długo. Nie, nie byłem bohaterem, ale udało mi się nie być szmatą, Bonim czy innym ks. „Kamilem". Już wtedy postanowiłem, że nie odpuszczę im tego mojego strachu ani tej odwagi. Okazało się, że byłem frajerem? Że należało współpracować i przyspieszyć druk książki, swojej, kolegów, ubiegać się o paszport i łykać swobodnie zachodnią myśl pedagogiczną? Bo przecież „wszyscy by na tym skorzystali". Nie wiem, jak wam, czytelnicy, ale mnie się chce po prostu wymiotować.

Już niebawem należy się spodziewać, że kolejne pokolenie będzie kojarzyć Oświęcim z przemysłem chemicznym

Kiedyś przed wykładem zobaczyłem studenta czytającego tom poezji powstańczej (Baczyński, Gajcy). Zachwyciłem się najszczerzej, zaczęliśmy rozmawiać. Normalny chłopak, trzy razy ode mnie młodszy (tak!), a wie, co to powstanie warszawskie. I już wiem, skąd moja reakcja – był absolutnym wyjątkiem!

Innym razem na wykładzie dla studentów, którzy zamierzali być nauczycielami (humaniści, przyrodnicy, ścisłowcy), wspomniałem o Januszu Korczaku, o jego drodze z ulicy Krochmalnej do Treblinki. I usłyszałem pytanie: „To w tej Treblince mordowali ludzi?". W odpowiedzi poprosiłem, aby zgłosiły się osoby, które potrafią wymienić trzy obozy koncentracyjne. Rękę podniosło sześć osób na prawie sto. To gdzie tu miejsce na całkiem „aksamitny terror" UB i SB? Przecież w stanie wojennym zamordowano „tylko" około stu osób. Garsteczka ledwie. A TW nie donosili Niemcom, tylko Polakom. No to w czym problem? Jasne, że przy takim myśleniu to zaszłości i ewidentne winy, szmacenie, donoszenie (za korzyści), bolkowanie – nie mają sensu. Z punktu widzenia tych, którzy tego nie przeżyli, to nieznaczące przewinienia. Ot, ludzkie słabostki, „no bo nie każdy musi być bohaterem", prawda?

A będzie jeszcze gorzej! Wszak, mimo werbalnych zapewnień ministra nauki i szkolnictwa wyższego, humanistyka się nie opłaca. Zapewne historia też... Stawiamy na technokratów, odkrywców, wynalazców, którzy niczego już w ojczystym języku pisać nie będą, bo to się im punktowo nie opłaci. Już niebawem więc należy się spodziewać, że kolejne pokolenie będzie kojarzyć Oświęcim głównie z przemysłem chemicznym.

Mają w tym też swój udział nauczyciele akademiccy – byli współpracownicy bezpieki. Przecież nie tylko uczą, lecz i wychowują, tworzą klimat i narrację, którą podają studentom, że „prawda nie jest taka czarno-biała", „że każdy przypadek jest indywidualny", „że per saldo...".

Nie zrobimy żadnej reformy ani nic nam do końca nie wyjdzie, jeśli gdzieś tam wysokopartyjny komunista i tajny współpracownik SB będzie dziekanem, a inny donosiciel będzie opowiadał studentom o historii Stanów Zjednoczonych, a jeszcze inny odbierał dyplom doktora, będąc wcześniej etatowym oficerem Służby Bezpieczeństwa i bezpośrednim „opiekunem" wydziału, który po latach nadał mu stopień naukowy. Taka inercja nas zniewoli i zje!

eprasa.pl 4ec64585d0

ROBERT MAZUREK

Rzadziej niż joga

Z sakramentów najważniejsze są trzy: święcenie jaj, kolęda i procesja. W takiej kolejności. I jeśli jakiemuś akademickiemu teologowi wydaje się ów wybór niesłuszny, to proszę się udać na konsultacje do miejscowego proboszcza. W końcu miliony ludzi nie mogą się mylić, a rekordy frekwencyjne biją właśnie wtedy.

Najwięcej emocji budzi kolęda. Oczywiste, bo czuje się człowiek nieswojo, nie wiadomo, o czym z takim kosmitą, który do domu wszedł, pogadać, czy proponować, by coś zjadł albo i się czegoś napił, bo wypada, a nie daj Boże się zgodzi i zasiedzi. Tu – jak zwykle u mnie – myśl z boku: znajomy proboszcz narzeka, że poić to wszyscy chcą, ale nikt nie zaproponuje, by skorzystał potem z toalety.

Gdybym się przeniósł do Miasteczka Wilanów, to sąsiedzi, widząc wchodzącego do domu księdza, pomyśleliby, że umarłem

Z kolei zaprzyjaźniony jezuita opowiadał, jak wieki temu wszedł do jednej rodziny w Gliwicach. Małżeństwo z nastoletnim synem, drętwo tak, że katatonii można dostać, rozmowa ewidentnie się nie klei i zasadniczo sygnał taki, by spadać w podskokach. Więc zbierając się pośpiesznie, zerknął tylko na kolekcję modeli samolotów. „Ładne" – rzucił. „A ksiądz się na tym zna?" – zapytał z odczuwalną nutą rozbawienia i lekceważenia pan domu. Gorzej trafić nie mógł. „Krecik" bowiem – ów jezuita ksywę takową nosił ze względu na swe okulary i wzrok marny – to absolwent historii na UJ, a III Rzesza, jej lotnictwo i uzbrojenie to jego pasja. Wymienił więc od niechcenia, na jednym oddechu, nazwy pierwszych z brzegu kilkunastu samolotów. „O matko, następny wariat" – jęknęła pani domu i ewakuowała się do kuchni, a ojciec, syn i ksiądz konferowali potem długo i szczęśliwie.

Ale zgódźmy się, że takie cuda zdarzają się rzadko. Zwykle po kilku zdawkowych uwagach („Jak tam zdrowie?", „A ten nowy obraz w kościele ładny", „No to pokażcie zeszyty do religii") tematy się dramatycznie kończą. I – jak twierdzą znajomi księża – dla nich jest to równie kłopotliwe jak dla gospodarzy. Oczywiście o ile gospodarze wpuszczą.

W mniejszych miejscowościach wpuszczają, w Warszawie jest z tym śmiesznie. Za moich kawalerskich czasów kolędę przyjąłem bodaj raz – akurat byłem w domu, zadzwonił dzwonek i proszę, kolęda. Z niezbędnych przyborów miałem przy sobie tylko krzyż i kasę, lecz jakoś daliśmy radę.

Później zamieszkałem z żoną mojej osoby w kamienicy wybudowanej w 1980 r. dla zasłużonych działaczy. Przeuroczymi – piszę to bez kpiny – sąsiadami byli więc byli wiceministrowie, dyrektorzy gabinetów, taki szczebel. Kolędę przyjmowali niemal wszyscy. Bo Kościół Kościołem, partia partią, ale kolęda rzecz święta, być musi. Bez oporów dawali więc kopertę, a jakże, trochę to pewnie traktując jak płacenie PIT-u Panu Bogu, a trochę jako zwyczaj z dzieciństwa. Forsa jest zresztą tematem w czasie kolędy, wbrew pozorom, całkowicie nieobecnym. Nigdy jeszcze ksiądz ze mną takich tematów nie poruszał, za to kilkakrotnie padały zapewnienia: „Naprawdę, nie trzeba".

Teraz mieszkam w przedwojennej kamienicy, gdzie kolęda jest na naszej klatce rzadsza niż joga, ale sąsiedzi są tolerancyjni, pozwalają mnie odprawiać ów zabobon. Tu jeszcze nadciągająca z południa miasta sekularyzacja nie dotarła, bo rozumiem, że gdybym się przeniósł do Miasteczka Wilanów, to zatroskani sąsiedzi, widząc wchodzącego do domu księdza, pomyśleliby, że umarłem. A wiadomości o mojej śmierci są cokolwiek przesadzone.

robert.mazurek@hotmail.com

Fot. Andrzej Wiktor

Saga rodzinna



Jerzy Jachowicz

Byłem przekonany, że polityk w bliskiej rodzinie to nieszczęście. Do końca życia. Czasami wydarza się coś takiego, co odwraca najeżony utrapieniami ciąg okoliczności. Tak jest z moim ukochanym wujkiem Jurkiem. Gdy tylko dostał się po raz pierwszy do Sejmu, a było to ponad ćwierć wieku temu, cieszyłem się razem z nim. Uważałem go za klejnot rodzinny, którym mogę się chwalić przed kolegami w przedszkolu.

Kilka lat później zorientowałem się, że podczas spotkań rodzinnych jego obecność staje się kłopotliwa. Chwilami przygnębiająca i obezwładniająca. Od progu nie zamykają mu się usta. Nie ma wyjścia, wszyscy przytłoczeni są polityką. Nie daje szans porozmawiania o zwykłych sprawach. Skupia na sobie uwagę wszystkich. Czasami, kiedy akurat termin spotkania rodzinnego zbiega się z okresem rekonstrukcji rządów, karmi nas jakimiś ciekawostkami zza kulis wielkiej polityki. Wówczas urasta w oczach całej rodziny. Nikt nie zwraca uwagi, że jego przewidywania i informacje rzadko się potwierdzają.

Najdziwniejsze są jednak spotkania u wujka Jurka z okazji jego imienin, urodzin itp. Niemal za każdym razem zmienia się skład jego gości spoza rodziny. Pamiętam kilkanaście lat temu polubiliśmy się bardzo z pewnym profesorem, starszym, siwym panem. Był trzy–cztery razy i nagle przestał się pojawiać. Kiedy kończyłem studia, poznałem u wujka braci bliźniaków. Po kilku spotkaniach, gdy zacząłem wreszcie rozróżniać jednego od drugiego, niespodziewanie i oni przestali przychodzić. Ich miejsce przy rodzinnym stole zajęła jakaś pani doktor. Archeolog czy coś podobnego. Wiem, że kopała w głąb ziemi. Na obczyźnie. A jak wśród swoich.

Ostatnio goście wujka przynieśli w prezencie dostojne rogi jelenie. To chyba jacyś pracownicy ochrony przyrody. Nie mieli wprawdzie broni, ale cały czas rozmawiali o walce z kłusownikami.

Muszę jednak wujkowi puścić w niepamięć wszystko, co do tej pory było z jego strony uciążliwe lub dziwne. Zapaliło się piękne światełko w tunelu. Wujek został w Sejmie szefem zespołu przygotowującego ustawę o cheerleaderkach.

CO MNIE WKURZA

Rozczarowanie



Katarzyna Łaniewska

W swojej naiwności myślałam, że ludzie przeznaczeni do pełnienia ważnych funkcji w służbach specjalnych muszą mieć do tego specjalne predyspozycje.

Nie. Z wielką uwagą śledziłam obrady komisji reprywatyzacyjnej, która przesłuchiwała Zbigniewa Lichockiego, kuratora powołanego do odszukania właściciela domu na warszawskiej Pradze – Józefa Pawlaka. Kiedy kuratorowi zadawano pytania, dowiedziałam się, że w randze pułkownika pełnił funkcję szefa biura prawnego w WSI. Pracował w różnych służbach. W jednych dłużej, w drugich krócej. W momencie kiedy do władzy dochodziło Prawo i Sprawiedliwość, był zwalniany, a następnie ponownie powoływany do służb. Pytany, jak to się stało, że został kuratorem, odpowiedział, iż nie wie. Jedna znajoma z ul. Kazimierzowskiej poleciła go współwłaścicielom domu na ul. Łochowskiej. Polecająca osoba mówiła o nim, że jest bardzo prężnym i skutecznym prawnikiem i na pewno sprosta swojemu zadaniu. Kurator tłumaczył na komisji, że pracował jako prawnik, ale uzyskał zgodę swoich przełożonych na pełnienie tej funkcji.

Józefa Pawlaka przez parę lat nie mógł odnaleźć. Mógł się udać do urzędu stanu cywilnego i sprawdzić, że w 1949 r. Pawlak zmarł. Urodził się kilka lat po upadku powstania styczniowego, więc gdyby żył do dzisiaj, musiałby mieć 130 lat. Takie fenomeny się nie zdarzają. I tu moje rozczarowanie: przecież pułkownik, ponoć prawnik z wykształcenia, to powinien być człowiek sprawny umysłowo, ze znakomitą pamięcią. A tutaj... jakoś te „poszukiwania" pana Józefa mu się przeciągały i nie udawały. Jak to kompromituje służby tamtych lat.

Lichocki ciągle zasłaniał się niepamięcią. Bardzo był uprzejmy, układny dla komisji, tylko te nogi pod stolikiem taki dziwny takt wybijały. Tu w jednym sama sobie muszę zaprzeczyć. Oni byli dobrze przygotowani do pełnienia funkcji w służbach. Ale nie we właściwym tego słowa znaczeniu. Nie w obronności przed obcym wywiadem. Nie w ochronie ludzi rządzących, tylko w pozwoleniu na bezprawie i okradanie miasta, budżetu, niszczenie ludzi – doprowadzanie lokatorów do nędzy, chorób i śmierci. Działali bezlitośnie. Świadek niczym nie uwłaczał szanownej komisji, ale uwłaczał pełnieniem funkcji w taki, a nie inny sposób. Jednak się rozczarowałam.

eprasa.pl 4ec64585d0





Przeczytaj w SIECI HISTORII

O roku ów! Można by powtórzyć za Mickiewiczem. Wkroczyliśmy bowiem właśnie w stulecie odzyskania przez Polskę niepodległości – *pisze Łukasz Michalski*

Schyłkowe lata panowania Jana Kazimierza (1648–1668) nie należały do wesołych. Po odparciu Szwedów Rzeczpospolita była wyczerpana. W dodatku targały nią spory – *przypomina Dariusz Milewski*

W czarnym dla Europy 1941 r., gdy wojska Osi zwyciężały na frontach, Tobruk, który stawiał czoła niemiecko-włoskim atakom, urósł do rangi symbolu – *pisze Maria Radożycka-Paoletti*

W późnym średniowieczu polski dwór monarszy w sferze obyczajów i konsumpcji nie odbiegał od rezydencji władców w innych częściach Europy. Dotyczyło to również wina, które od czasów Jagiełły i Jadwigi coraz częściej gościło na królewskim stole – *tłumaczy Maciej Badowicz*

Początki Warszawy zwykle opisuje się w kontekście przywileju lokacji miasta na prawie chełmińskim wydanego pod koniec XIII stulecia dla kupców pochodzących z Torunia. Stwierdzenie to jednak jest nieścisłe – *pisze Michał Janik*

eprasa.pl 4ec64585d0

***Zawistowski prezentuje:* Wizjer**



Wycinki z przeszłości

W styczniu 1937 r. wojna domowa w Hiszpanii trwała od pół roku. „Światowid" relacjonował: „Anglja i Francja wystosowały do Niemieckiej Rzeszy ostre noty – w których rządy tych mocarstw domagają się stanowczo zaprzestania wspomagania przez Niemcy narodowej Hiszpanji w walce z czerwonym wrogiem. Francja zwłaszcza dała niedwuznacznie do zrozumienia, że nie dopuści absolutnie do znaczniejszej interwencji Niemiec na Półwyspie Iberyjskim". Dziś wiemy, że dopuściła.

Wojna miała potrwać do końca marca 1939 r. Kosztowała życie od 300 tys. do nawet miliona ludzi. W naszej pamięci to pierwsze starcie totalitaryzmów zostało przesłonięte przez naszą własną tragedię wojenną. Sympatia elit politycznych i wojskowych II RP była oczywiście po stronie gen. Franco. W Brygadach Międzynarodowych walczyło kilka tysięcy Polaków, z czego zdecydowana większość pochodziła z komunizujących środowisk emigracyjnych we Francji i w Belgii.



Jeszcze raz oddajmy głos „Światowidowi": „A tymczasem na półwyspie panują: wzajemne wymordowywanie się, grabieże, okrucieństwa rozbestwionych milicjantów »rządu« madryckiego – panuje śmierć i zniszczenie. Krwawe szlaki Hiszpanji dymią oparami krwi i zasnuwają czerwoną mgłą horyzont umęczonej Europy". Nie minęły trzy lata, a i Polskę zasnuły mgły i czerwona, i czarna.

(mk)

Drogi do Polski – polskie drogi



Leszek Długosz

Jeden z najwybitniejszych przedstawicieli modernizmu, poeta, prozaik, dramaturg, wręcz symbol okresu Młodej Polski. Tak właśnie jako poetę obsadził go w „Weselu" Wyspiański. Był młodszym przyrodnim bratem malarza Włodzimierza z Bronowic (gospodarz w „Weselu"). Pewnie jak nikt bardziej przyczynił się do rozsławienia góralszczyzny w swojej „Legendzie Tatr"...

Kazimierz Przerwa-Tetmajer 1865–1940

Dla mego synka *(fragment)*

Synu mój mały! Obcobrzmiące
nazwisko będziesz nosił –
wiedz, że twój dziad na polskiej łące
trawę krwią swoją zrosił,
że tej krwi kropla na twe czoło
wieczystym padła znakiem,
że, z nazwy Niemiec, szablą gołą
zatwierdził się Polakiem!

Ułański mundur, chłopcze drogi,
może i tobie szyją,
może szlifują ci ostrogi
i kitę czaka wiją?
Kto wie?... Może...
poskoczą polskie konie
i nasza rodna pieśń ułańska
poleci po szwadronie...

„Jak wspaniała nasza postać,
jak się w słońcu błyszczy stal!
Koń rwie ziemię, nie chce dostać,
*pójdziesz, koniu, pójdziesz w dal!..."**
Gdy cię wychowam na ułana
bez lęku i bez skazy:
nie będzie służba zmarnowana,
a wiedz, że my dwa razy
za nasze obco brzmiące imię
kochać kraj musim więcej –
i przyjdzie stanąć w armat dymie:
dwakroć nam trza goręcej!

I pomnij, jakimkolwiek chodzi
los twego życia szlakiem,
że każdy wraz się tutaj rodzi
człowiekiem i Polakiem
i że to dwie są święte rzeczy
o sile apostolskiej:
piękny i dobry duch człowieczy
w gorącej piersi polskiej!

** Z pieśni Józefa Przerwy-Tetmajera, śpiewanej w kawalerii.*

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	69 zł	129 zł	229 zł
wSIECI HISTORII	21 zł	39 zł	75 zł
pakiet SIECI i wSIECI HISTORII	84 zł	158 zł	280 zł

*dane do przelewu w stopce redakcyjnej

eprasa.pl 4ec64585d0

OD A DO ZYBERTOWICZA

Lustro mroku

Niecierpliwość, zawiść, radość z cudzego nieszczęścia, cynizm, chamstwo, wulgarność, okrucieństwo, nieodpowiedzialność, debilizm, brutalizm, perwersyjność, wrogość, agresja, nienawiść, wściekłość, obsesyjność, sprzedajność, nielojalność, zdrada, narcyzm, psotność, egoizm, egocentryzm, hiperindywidualizm, niestabilność emocjonalna, wariactwo...

To wszystko istnieje. Jest częścią ludzkiej natury. Jest realne. Ale chociaż w życiu jednostek i zbiorowości takie emocje, postawy i zjawiska są obecne, raczej się nimi nie chwalimy. A przed niekontrolowanym ich występowaniem chronią normy społeczne, których nie ma w... internecie.

Przypomniałem to sobie, przeczytawszy zdanie: „Social media służą bardziej jako narzędzie kreacji niż lustro rzeczywistości". Trafne to spostrzeżenie czy nie? To słowa Michała Kłosowskiego, sekretarza redakcji „Wszystko, co Najważniejsze", który goszcząc na portalu „Teologii Politycznej", napisał ciekawe refleksje o mediach społecznościowych (w istocie: od-społeczniających).

KUMULACJA LUDZKIEJ BRZYDOTY

Media społecznościowe są pełne niedobrych zachowań i emocji wymienionych w pierwszym akapicie niniejszego tekstu. Czyż zatem obecność – jakże nadmiarowa (ale o tym za chwilę) – tej ludzkiej brzydoty w internecie nie dowodzi, że w istocie mamy tu do czynienia ze swoistym odzwierciedleniem (często zmasowanym, lecz odzwierciedleniem) rzeczywistości?

Jaka to rzeczywistość? To świat ludzkich pragnień, odruchów, obaw. Tej części naszego życia emocjonalnego, którą zazwyczaj, gdy jesteśmy wśród ludzi, zwłaszcza zaś gdy stoimy z nimi twarzą w twarz, nie odsłaniamy, a już nie w takiej intensywności, z jaką następuje to w owych od-społeczniających mediach.



Jeśli ktoś miałby wątpliwości, czy na tym świecie istnieje zło, kontakt z internetem powinien go ich pozbawić

Dlaczego tak się dzieje? Częściową odpowiedź znajdziemy u Kłosowskiego. Przypomina on, że „media społecznościowe sprawiły, iż zdjęte zostały bariery komunikacyjne i kulturowe, skrócił się dystans i każdy niemalże może wyrazić swoje zdanie".

W świecie sieci nie obowiązują reguły naszego „normalnego" świata, reguły tego, co socjologowie nazywają kontrolą społeczną, kontrolą, która ma dwa wymiary: profesjonalny oraz nieformalny. Tę pierwszą zapewniają takie instytucje jak policja i wymiar sprawiedliwości. Tę nieformalną sprawujemy jedni wobec drugich, napominając się wzajem, gdy błądzimy.

KREACJA DIABELSKA?

Czy ta nieproporcjonalna względem świata realu, świata nie-cyfrowego prezentacja tego, co w nas niedobre, poza tym, że jest swoistym lustrem ludzkiego (czy raczej: anty-ludzkiego) mroku, także coś kreuje? Kłosowski bowiem twierdzi, że owe cyfrowe media służą bardziej kreacji niż odzwierciedleniu.

Tak, ma rację, kreacja również tu ma miejsce, choć być może nie taka, jaką zazwyczaj mamy na myśli, gdy o tworzeniu (rodzeniu czegoś nowego) myślimy.

Tak, odsłonięcie się negatywnych ludzkich cech w skumulowanej postaci jakoś jest kreatywne. W tym sensie, że zdaje się tworzyć nowe wymiary, nowe domeny społecznej rzeczywistości. Wymiary, w których najmłodsi bez kłopotu mogą poznać (i zafascynować się) najbardziej zakręcone, perwersyjne wytwory ludzkiego umysłu.

OCHRONNA SIŁA TABU

Normy kulturowe, religie, dobre obyczaje, savoir-vivre, prawo, zakłady poprawcze, więzienia – to wszystko rozwiązania instytucjonalne chroniące życie społeczne przed naporem złego. Bariery, które w sieci niemal nie działają.

Jeśli ktoś miałby wątpliwości, czy na tym świecie istnieje zło, kontakt z internetem powinien go ich pozbawić.

Ale chyba to nie tu leży punkt ciężkości. Być może lepiej dałoby się taki punkt umiejscowić, gdybyśmy przeprowadzili kompleksową analizę statystyczną odpowiadającą na pytanie, czy oraz w jakim zakresie nieobecność tradycyjnych (przy braku nowych) mechanizmów kontroli społecznej w internecie trwale pogarsza kondycję ludzką.

PS Gdym powyższy tekst poprawiał, wpadł mi w rękę wywiad z Emmanuelem Macronem. Tam słowa: „Postmodernizm wymierzył najgorszy cios w demokrację. To nie jest dobry pomysł, żeby wszystko dekonstruować i wyśmiewać". Wątpię, czy akurat prezydent Francji byłby w stanie z tych słów wyciągnąć odpowiednie wnioski.

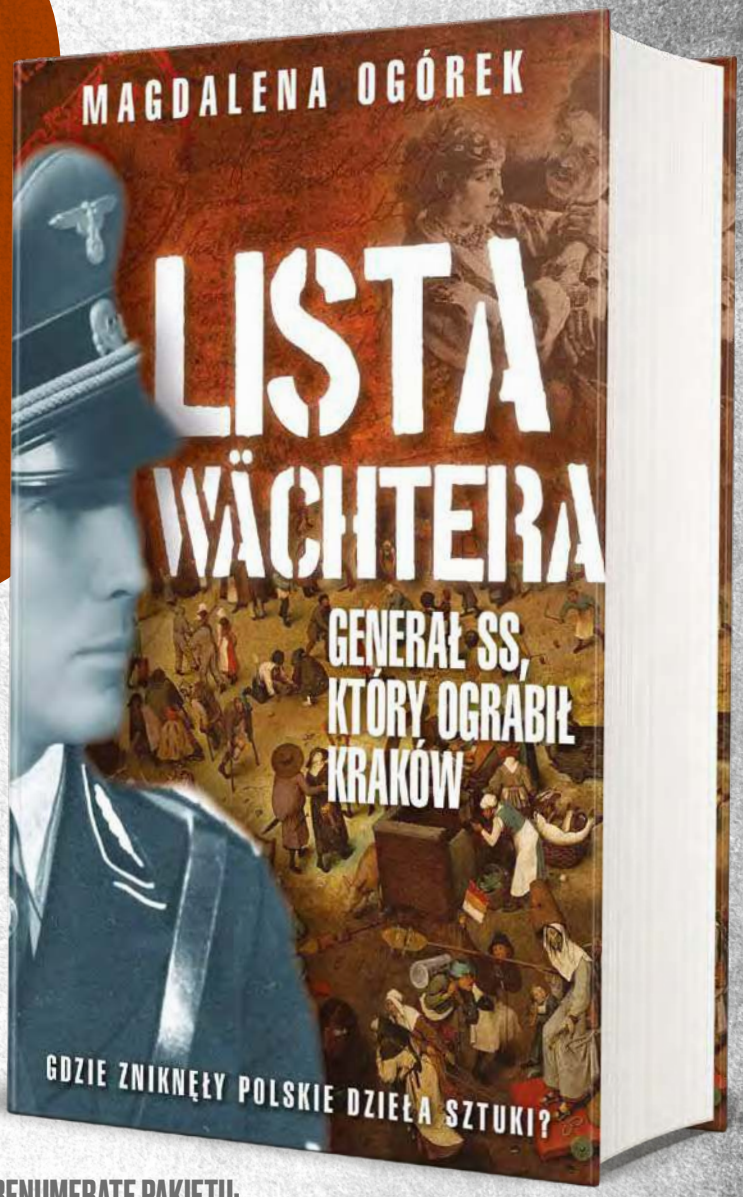
Andrzej Zybertowicz

Autopromocja x2

eprasa.pl 4ec64585d0

WYŁĄCZNIE DLA PRENUMERATORÓW

100 książek w prezencie





ZAMÓW ROCZNĄ PRENUMERATĘ PAKIETU:
TYGODNIK SIECI I MIESIĘCZNIK wSIECI HISTORII ZA **280 zł**,
A KSIĄŻKĘ „LISTA WÄCHTERA" O WARTOŚCI **49,90 zł** OTRZYMASZ **W PREZENCIE**!

SPRAWDŹ DOSTĘPNOŚĆ KSIĄŻEK NA **WSIECIPRAWDY.PL/PRENUMERATA**

ZAMÓW JUŻ DZIŚ!

tel. 22 616 15 70

PRENUMERATA@FRATRIA.PL
WWW.WSIECIPRAWDY.PL/PRENUMERATA

Wpłat za prenumeratę prosimy dokonywać na konto: PL91 1240 5354 1111 0010 7713 6290, Fratria Sp. z o.o., ul. Legionów 126-128, 81-472 Gdynia, w tytule wpłaty wpisując: Prenumerata roczna pakietu i pełne dane adresowe do wysyłki.

eprasa.pl 4ec64585d0

Już 5 lutego w tygodniku SIECI

SPECJALNY DODATEK SPORTOWY

- Kalendarium Igrzysk
- Program relacji ze zmagań naszych zawodników w TVP
- Wszystko o skokach narciarskich, w których jesteśmy potęgą
- Informacje o polskiej reprezentacji, wypowiedzi trenerów i sportowców, szanse medalowe
- Największe sukcesy polskich reprezentacji na igrzyskach

ZIMA 2018

NIEZBĘDNIK DLA KIBICÓW POLSKIEJ REPREZENTACJI



PARTNER DODATKU:

LOTOS

eprasa.pl 4ec64585d0